

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/354

1977



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

WŁ. BIEŃKOWSKI : **ROLNICTWO PO RAZ TRZECI**

W. GOMBROWICZ : **WSPOMNIENIA POLSKIE (2)**

S. KWARC : **KTO TO ZROBIŁ ?**

J. NOWAK : **TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA**

**WALNE ZEBRANIE WARSZAWSKIEGO
ODDZIAŁU ZLP**

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	<i>Wspomnienia polskie (2)</i>	2
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	18
Seweryn Kware:	<i>Kto to zrobił? (2)</i>	29

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jan Nowak:	<i>Trzecia wojna światowa (1)</i>	54
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	71

K R A J

Władysław Bienkowski:	<i>Rolnictwo po raz trzeci</i>	74
—	<i>Walne Zebranie Warszawskiego Od-</i> <i>działu ZLP</i>	90
—	<i>Sprawa „Odry”</i>	94

SĄSIEDZI

Robert Aigner:	<i>Emigracja słowacka na Zachodzie</i>	95
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	101
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	107
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	110
Stepan Wiwczaruk:	<i>Kronika ukraińska (List do Redakcji)</i> ..	114
Dominik Morawski:	<i>Kronika ukraińska (Odpowiedź)</i>	116

SPRAWY I TROSKI

Jerzy Jankowski:	<i>Helsinki czy „mesures administrati-</i> <i>ves”?</i>	119
—	<i>Azyl polityczny w Szwecji</i>	120

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Vincenz:	<i>Ogród nauk czy wirydarz poetycki? ..</i>	121
Czesław Miłosz:	<i>Uzupełnienia</i>	129

CI CO ODESZLI

Władysław Żeleński:	<i>Władysław Wolski</i>	135
Polacy z Zaolzia:	<i>Henryk Jasiczek</i>	140

K S I W Ż K I

Andrzej Koraszewski:	<i>Literatura emigracyjna w charakterze</i> <i>żyrafy</i>	141
Andrzej Koraszewski:	<i>Wierność i nostalgia</i>	142
Karel Klatovský:	<i>Nieudane wydawnictwo</i>	143
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	144



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	146
---	----------------------------------	-----



I. Henner, Ch. Joel:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
Two Przyjaciół Kultury w Lund:	<i>Oświadczenie</i>	158
—	<i>Wpłaty na Komitet Obrony Robotników</i> ..	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec – Mars

1977

INSTYTUT



LITERACKI

Serdecznie dziękujemy dr. Feliksowi Mantłowi za bezinteresowną i skuteczną pomoc w konflikcie prawnym Kultury z Radiem Deutsche Welle w Kolonii (NRF).

REDAKCJA

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Ada i Jerzy Bajor, Longmeadow, Mass. (USA), po raz piąty	F. 996,00
N. M. Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz dziewiąty	F. 109,50
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz dwunasty	F. 34,45
M. J. Błachaczek, Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 7,50
Mieczysław Błazkiewicz, Brooklyn, N.Y., po raz czternasty	F. 10,00
Inż. G. M. Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty	F. 47,50
A. I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz dziesiąty	F. 49,80
Włodzimierz Brylewski, Hollywood, Cal. (USA)	F. 49,80
Hanna Chorążyna, Bruksela	F. 200,00
Czytelnik z Polski, po raz siódmy	F. 25,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz siódmy	F. 12,45
Juliusz Dzanott, Rosario (Argentyna), w pierwszą rocznicę śp. Syna	F. 149,40
Dr Jerzy Gintel, Caracas, po raz szesnasty	F. 60,00
Aleksander Grzonka, Gossau (S.G.) (Szwajcaria), po raz 26-ty	F. 90,00
HMB, Boston, Mass. (USA), po raz szósty	F. 498,00
H. P. z Chicago, Ill. (USA)	F. 373,50
Stefan Jachna, Parsippang, N.J. (USA)	F. 99,60
J. H. z Toronto (Kanada)	F. 40,00
J. W. (USA), po raz szósty	F. 508,00
E. Kosmowski, Paryż	F. 120,00
Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz szósty i siódmy	F. 199,20
Inż. Władysław Kossakowski, Flushing, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 201,70
Edmund Kowalewski, Rutland, B.C. (Kanada), po raz trzeci	F. 109,50
Inż. dr M. Lawina, Dubendorf (Szwajcaria), po raz drugi	F. 70,00
Prof. dr Kazimierz Łaski, Wiedeń	F. 50,00
K. J. Logay, Sarasota, Fla. (USA), po raz czwarty	F. 49,80
Jerzy Lubiejewski, Caracas (Wenezuela), po raz szósty	F. 10,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 498,00
Ks. Henryk M. Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz dziewiąty	F. 22,40
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz piąty	F. 59,50
Jan F. Morelewski, Chicago, Ill. (USA), po raz szósty	F. 99,60
Leon Nalewa, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz siódmy	F. 60,00
B. Obuchowski, Bankstown, N.S.W. (Australia)	F. 58,30
M. S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz szósty	F. 10,00
W. T. Oskarbski, Hamilton, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 39,85
Jarosław Paszyński, Buena Park, Cal. (USA), po raz drugi	F. 74,70
Jerzy Jan Piórkowski, New York, po raz trzynasty	F. 49,80
D. Pipiórski, Corral, N.S.W. (Australia), po raz drugi	F. 53,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz dziewiąty	F. 120,45
Roman Prusiecki, New Britain, Conn. (USA)	F. 49,80
Zofia i Stanisław Sadowscy, Windsor, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 311,25
Jan Seremak, Santa Monica, Cal. (USA), po raz drugi	F. 109,50
Antoni Siemak, West Cowina, Cal. (USA), po raz piąty	F. 59,45

(ciąg dalszy na str. 159)

Wspomnienia polskie (2)

Jesień tego roku — 1920-go — spędziłem w Małoszycach. Szkoły były nieczynne, gdyż wszyscy prawie uczniowie klas wyższych pełnili jeszcze służbę ochotniczą w wojsku. Kiedy więc przeszły dni najgorętsze obrony Warszawy i zwycięskiej ofensywy Piłsudskiego, wysłano mnie na wieś żebym powetował sobie lato zmarnowane w mieście.

Ten kilkomiesięczny pobyt w Małoszycach zapisał się w mojej pamięci w sposób szczególnie przykry. Wiedzie już, jak bardzo zdemoralizował mnie fakt, że nie zgłosiłem się na ochotnika wzorem innych moich kolegów. Wróciłem do Małoszyc upokorzony, a zarazem zbuntowany — nikogo tam nie było oprócz służby i pani Bednarczykowej, gospodyni, z którą grywałem w szachy. Rzecz dziwna: zdawałoby się, że cały ten zamęt uczuć i myśli, wywołany kryzysem wojennym i osobistą kompromitacją, powinien doprowadzić mnie do jakiejś bolesnej rozterki wewnętrznej, a tymczasem wyładował się w atakach chorobliwego snobizmu!

Mój starszy brat, Jerzy, już od dłuższego czasu opracowywał nasze archiwum rodzinne — kilka setek dokumentów, sięgających końca piętnastego wieku. Wydobyl je ze skrzyni, posegregował i rozpoczął studia nad przeszłością rodziny Gombrowiczów. Ja naśladowałem go wtedy pilnie, więc i tę manię przyswoiłem sobie i wkrótce posiadałem dość szczegółową wiedzę o tych dokumentach. Pierwszym utworem literackim mojego życia była, napisana w tych latach, monografia „*illustrissimae familiae Gombrovici*”, jak ją pretensjonalnie ochrzcilem. Pozostała w maszynopisie, zresztą nic nadzwyczajnego nie zawierała, bo Gombrowicze nigdy ponad szlachtę nie wyrosli, ale każdy szczegółik dotyczący dóbr, urzędów, czy koligacji wypełniał mnie rozkoszą i powodował jeszcze gwałtowniejsze zadzieranie nosa.

Jak pogodzić ten głupkowaty snobizm z innymi moimi właściwościami, które czyniły ze mnie chłopca rozgarniętego, krytycznego i o dużym poczuciu komizmu. Jak to łączyło się z moją anarchią, buntem, lekturami filozoficznymi, upodobaniem w nowożytności? Tajemnica. Byłem jednocześnie mądry nad wiek i przeraźliwie niewypierzony, cyniczny i naiwny, europejski i prowincjonalny, nowoczesny i zacofany, wszystko to gnieździło się we mnie powodując jaskrawe dysonanse, zgrywę, fałsz, kompromitację!

Dziś jeszcze nawiedza mnie rumieniec gdy przypomnę sobie owe gaffy bolesne sprzed czterdziestu laty.

Oto jedna z nich. W momencie kulminacyjnym bojów podwarszawskich z bolszewikami pokazuję niby mimochodem memu szefowi w tym biurze rozsyłającym paczki, gdzie pracowałem na ochotnika, fotografię okazałego budynku.

— To pałac mojej kuzynki Tyszkiewiczowej w Wistyczu — nadmieniam, również mimochodem.

— Ależ to gmach... w Lublinie — odpowiedział chłodno szef przypatrując się fotografii i wymienił nawet nazwę instytucji, która w nim się mieściła. — Znam go doskonale — dodał.

Takie kłęski spotykały mnie co chwila. Stałem się sztuczny i afektowany. Ciotki z ubolewaniem komentowały: — Ten biedny Itek! Taki zblazowany! Pozuje! Sztuczność moja wywoływała sztuczność ludzi, z którymi się stykałem. Byłem nieszczerliwy. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca w świecie. Wszystko wypadło mi źle, nieudolnie, wszystko mnie ośmieszało, dyskwalifikowało...

W ponurym więc nastroju ducha wybrałem się do Małszyc — dni jesienne, melancholijne, samotne — polowałem trochę na zające, ale częściej włóczyłem się po polach. Pani Bednarczykowej usiłowałem imponować moją, żał się Boże, genealogią.

Któregoś dnia przybyło do Małszyc — już nie wiem skąd to się wzięło — kilku oficerów, przyjaciół Jurka. Zapomniałem dać im wódki do obiadu, im, oficerom kawalerii — oto miara mego otumanienia. Było mi tak wszystko jedno, że dałem im tej wódki po obiedzie. Wałęsałem się po polach z głową opuszczoną i końcem buta rozkruszałem grudki ziemi.

Świat stawał mi się niemożliwy. Wszystko było jak złośliwa karykatura. Moja rodzina, moja „sfera” socjalna — napuszone, wypieszczone, wydelikaczone. Społeczeństwo, naród, państwo — wrogowie. Wojsko — koszmar. Ideały, ideologie — frazesy. A najgorszy, najbardziej sztuczny i pretensjonalny byłem ja sam — każde słowo wypadło mi nie tak, jak chciałem, każdy gest był skażony.

Bóg jakoś mi zniknął z horyzontu — właściwie nie przestałem wierzyć, tyle tylko że wiara już mnie nie interesowała, nie myślałem o tym. Samotność moja uczyniła się skutek tego absolutna. A jednocześnie, spacerując tak po wsi, przyglądałem się tym towarzyszom moim z lat poprzednich, wiejskim chłopakom z dawnej mojej „gwardii”, którzy teraz chodzili już do roboty. Oni nie byli karykaturalni! Prości i szczerzy. Jacyś rzetelni. Każde ich słowo miało dźwięk należyty — nie mogłem zrozumieć, jak to się dzieje, że kultura, wykształcenie, wychowanie fałszują człowieka, analfabetyzm zaś daje tak pozytywne rezultaty. Aż w końcu nasunęła mi się pewna myśl. To objawienie napadło mnie w powrotnej drodze do Warszawy, w okolicznościach dziwnych i dramatycznych.

Wsiadłem do pociągu w Ćmielowie, a na następnej stacji, w Bodzechowie wsiadł pewien mój wuj, człowiek już starszy, ziemianin z Sandomierskiego. Jechał do Warszawy i umieścił się obok mnie w przedziale pierwszej klasy, pełnym ludzi, bo jechało się wtedy, jak się dało, i nikt nie zwracał uwagi na klasy. Wuj był świetnym strzelcem i rozmawialiśmy o polowaniu, choć ja pojęcia o tym nie miałem. Naraz wuj rozejrzał się po przedziale i powiedział niezbyt głośno, ale wyraźnie:

— Proszę wyjść.

Nasi towarzysze podróży spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Wtedy wuj sięgnął do kieszeni, wyciągnął rewolwer, odbezpieczył, i powtórzył nie podnosząc głosu.

— Proszę wyjść.

Tym razem przedział wypróżnił się w mgnieniu oka. Na korytarzu powstał rejwach, wołano konduktora, kobiety płakały. Wuj zamknął drzwi przedziału i powiedział mrużąc oko filuternie: — Nareszcie jest trochę przestronniej. Był taki tłok, że nie wiedziałem, co mówić. Jestem kiepsko z nerwami, spać nie mogę, jadę do Warszawy żeby mi się polepszyło, bo, jak się pogorszy, będzie gorzej...

Zrozumiałem: zwariował. Zwariował i będzie strzelał, jeśli go sprowokują... Biły na mnie siódme poty. Zdołałem wytłumaczyć konduktorowi, że nie trzeba go drażnić, a ja postaram się dowieźć go do Warszawy — resztę podróży, wiele godzin, spędziłem sam na sam z wariatem, który ani na chwilę nie roztawał się z rewolwerem. Musiałem go zabawiać rozmową i wreszcie, nie wiedząc już jakiego użyć argumentu, próbowałem przemówić mu do ambicji: — To okropne — powiedziałem — że każdy obywatel ziemski musi być dziwakiem i zachowywać się jakby miał klepki nie w porządku.

— Myślisz? — powiedział wuj. — Co? Ziemiaństwo dla ciebie takie dziwaczne? Prawda, jak Boga kocham, ja sam to

nieraz zaobserwowałem. Zdziwaczało to, aż wstyd! Majątki im do głowy uderzają, czy co?

— Widzi wuj, ja mam swoją teorię — odrzekłem pośpiesznie, żeby rozmowa się nie urwała. — Niech wuj posłucha, to bardzo ciekawe. Widzi wuj, według mnie, ludzie proszą mają tę przewagę nad nami, że żyją życiem naturalnym. Mają oni elementarne potrzeby, a wskutek tego i wartości ich są proste, nieklamane, rzetelne. Na przykład: człowiek prosty jest głodny, więc wartością dla niego będzie chleb.

— Co też ty mówisz — zauważył uprzejmie wuj.

— Ale dla człowieka zamożnego chleb już nie jest wartością, bo go ma pod dostatkiem. Żyjemy życiem ułatwionym, sztucznym. Nie potrzebujemy walczyć o byt, więc wymyślamy sobie sztuczne potrzeby. Wtedy staje się wartością papieros — albo elegancja — albo genealogia — albo charty... Ta sztuczność potrzeb powoduje sztuczność formy — dlatego jesteśmy tacy dziwni i tak trudno nam znaleźć ton właściwy...

Kiedy w kilkanaście lat potem opowiadałem przy stoliku literackim w Ziemiańskiej jak ze strachu przed nabitym rewolwerem wpadłem samodzielnie na tę — jakby marksizm powiedział — dialektykę potrzeb i wartości, zakrzyczano mnie, że zmyślam. A jednak tak było! I ta myśl o sztuczności formy klasy wyższej miała stać się jednym z punktów wyjściowych mojej pracy pisarskiej.

Szkoła po tym wstrząsie wojennym zaczęła się z kilkumiesięcznym opóźnieniem i bez entuzjazmu, gdyż dryblasom, którzy powąchali prochu, nie w smak była rutyna i jejkie nauki nieszczej „budy”. Mnie również. Wprawdzie Wasiński z Braksalem już mnie nie „wkręcali w śrubę” i moje przewagi umysłowe zapewniały mi w tej siódmej klasie minimum poszanowania, ale za to coraz wyraźniej objawiał się absurd programu i całego systemu nauczania. W *Ferdydurke* znajdziecie opis lekcji polskiego i lekcji łaciny, tudzież opis „ciała pedagogicznego” — te sceny pełne szaleństwa rodziły mi się w mózgu już wtedy, w siódmej klasie, gdy pływając w cikliwym wykładzie pocziwego zresztą profesora Cieplińskiego o wieszczach narodowych, lub z przerażeniem przyglądałem się pokracznej i uciśnej figurze naszego łacinnika.

Nie raz postanawiałem sobie tu, w Argentynie, wypytać dokładnie przybywających z Polski o obecny program szkoły średniej, ale zawsze rozmowa schodzi na inne, pilniejsze, tematy. Obawiam się, że niewiele się polepszyło, gdyż nauczanie jest potwornie ciężkim i nieporęcznym aparatem, obfitym w ludzi skostniałych, idee skostniałe, gdzie ten biedny szczeniak — ofiara edukacji — jest właściwie na najdalszym planie, a najważniejszą

rzeczą jest zatrudnić nauczycieli, wielotysięczną rzeszę tej biurokracji. Poza tym szkoła musi nadal wychowywać „w duchu narodowym”, a to oznacza zupełne spaczenie perspektywy na całą kulturę światową. Lokalne bitwy urastają do rozmiaru wydarzeń dziejowych, a o faktach naprawdę ważnych prawie się nie wspomina.

Pewnego dnia miałem następującą polemikę z naszym polonistą, profesorem Cieplińskim, którego ceniłem za łagodny sceptycyzm, jaki wkładał w swoje nauczanie.

— Proszę pana profesora, dlaczego polska młodzież szkolna nie uczy się tego, co rzeczywiście jest godne wysiłku, a tylko zmuszona jest pakować sobie w głowę rzeczy drugorzędne?

— O co chodzi, Gombrowicz? Co to znaczy?

— Bardzo proste. Na lekcjach polskiego musimy wkuwać Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, co jest zupełnie drugorzędne z punktu widzenia literatury powszechnej — już nie mówiąc o Towiańskim. A pojęcia nie mamy o Szekspirze, lub na przykład Goethem. Tracimy czas na studiowanie wojen z Turkami, a o historii Europy, czy świata, prawie nic nie wiemy. A słówka łacińskie? Z tego powodu już nie ma czasu na zapoznanie się prawdziwe z Rzymem czy z Grecją i właściwie pojęcia nie mamy o owej kulturze. Co jest warta taka nauka?

— Możliwe, że Gombrowicz ma trochę racji. Szkoła mogłaby nieco więcej uwagi poświęcać kulturze uniwersalnej. Ale proszę nie zapominać, że jesteśmy Polakami.

— No to co z tego?

— Gombrowicz zapomina, że jeszcze niedawno Żeromski i jego koledzy byli przesładowani za mówienie po polsku w szkole.

— No to co? To dlatego my dzisiaj mamy być niedouczeni?

Jak dobrze słyszę, po latach, sarkastycznie wzgardliwy ton, którym opatrzyłem słowo „niedouczeni”. Nie chciałem nic wiedzieć o sentymentalizmach z czasów niewoli, o racjach patriotycznych — domagałem się oświecenia i wykształcenia, opartych nie na drobnym w proporcji do świata dorobku polskim, a właśnie na najznakomitszych ogólnoludzkich wartościach. Do dziś zachowałem ten punkt widzenia. Nie jest zdrowe, gdy ojczyzna staje się parawanem, zasłaniającym świat — nie jest zdrowe nawet dla tejże ojczyzny. Ale wówczas nie wiedziałem, że systemy nauczania w innych krajach nie są mniej ciasne od polskiego.

Zdawałoby się, na przykład, że w Argentynie, która liczy sobie tylko 150 lat historii i nie miała większych kłopotów z utrzymaniem niepodległości, można by sobie pozwolić na program w większym stylu, ogólnoludzki. Gdzie tam! Im mniej mają historii, tym więcej jej wykładają w szkole, żeby nadrobić. Mają

swoich wielkich mężów, tak zwanych *proseres*, ale o niejednym z nich dałoby się powiedzieć, że na bezrybiu i rak ryba. Rezultat taki, iż przeciętny Argentyńczyk, mając głowę wypełnioną miejscowymi generałami, słabe tylko ma wyobrażenie o reszcie ludności. Na szczęście literatura argentyńska jest kiepska i to zmusza ich do czytania książek zagranicznych. My, Polacy, cierpimy na domiar na niezłą literaturę, dość dobrą aby zapłacić nam godziny, które przeznaczamy na lekturę, a niedość dobrą aby zrównoważyć powstałe wskutek tego braki znajomości wielkich światowych pisarzy, na których studiowanie już nie mamy czasu.

Obawiam się, że teraźniejsza szkoła polska niewiele się różni pod tymi względami od tamtej sprzed lat czterdziestu. Cóż z tego, że — jak sobie wyobrażam — wyrzucono z klas łacinę wraz z jej majestatyczną głupotą i że wprowadzono, zapewne, więcej nauk ścisłych i więcej techniki? Szkoła nie ma być jedynie fabrykacją inżynierów, czy adwokatów, ale tworzeniem ludzi jako tako zorientowanych w świecie i w ludzkości. Czy uczeń ma, powiedzmy, jakie takie wyobrażenie o współczesnej myśli, nie tej fachowej, ciasnej, a tej najszerzej, najgłębszej? Czy wie coś o Kancie, Schopenhauerze, Nietzschem, Heglu? Czy znane mu jest nazwisko Kierkegaarda i czy zasłyszał o egzystencjalizmie? Czy wie co to jest surrealizm? Czy znane mu są wielkie prądy duchowe, które stworzyły Europę? Czy też jego wiedza jest ograniczona Polską i względami praktycznymi?

Niestety marksizm, zamiast otworzyć uczniowi głowę na świat, jeszcze silniej ją zablokował. Lektury materializmu dialektycznego są bardzo podobne do wykładów religii w szkołach jezuickich z osiemnastego stulecia — podaje się tę doktrynę jako jedyną i najwyższą prawdę i w ten sposób marksizm staje się żelazną kurtyną, izolującą od wszystkich innych osiągnięć Europy. Marks był człowiekiem niegłupim i dobrym Europejczykiem — póki nie spreparowali go marksiści. Prowincjonalność rosyjsko-komunistycznego myślenia, przypisującego Rosjanom wszystkie zynalazki kiedykolwiek dokonane, i nacechowanego dziecinna zarozumiałością, także musi mieć trochę wpływu na szkołę w Polsce.

Według statystyki UNESCO z roku 1953, szkoła polska zmusza ucznia do wytężonej pracy. Dwieście dwanaście dni szkolnych na rok i 6.840 godzin wykładowych — gdy w Stanach mają 180 dni i 5.400 godzin, a w Belgii 200 dni i 4.800 godzin. Ja, jeśli czego nauczyłem się w szkole, to raczej na pauzach od kolegów, gdy mnie tłukli... poza tym kształciłem się na czytaniu książek, zwłaszcza zakazanych, a także na nic nie robieniu — bo swobodnie błędząca myśl próżniaka jest tym co najbardziej rozwija inteligencję. Niezbyt tedy podoba mi się ta olbrzymia ilość godzin szkolnych, zabierających uczniowi jego życie osobiste

— jeśli w dodatku owe godziny zostaną wypełnione nauką nie-inteligentną, ciasną, dążącą jedynie do stworzenia fachowca z automatyczną duszą marksisty, no to trudna rada, pozostaniemy narodem nieoświeconym.

Dogorywały w tym czasie pewne formy... do niedawna pełne życia... czemu przyglądałem się z dziką uciechą wyrostka, pracującego w przyszłość. Dogorywał więc honor, ten dawny honor uroczysty i groźny, z sekundantami, cylindrami, pistoletami i protokołami. Dobre wychowanie było sztywne — jeśli się nawiązywało rozmowę w pociągu, należało po kilku zdaniach wstać i przedstawić się: jestem X. Pozwoli pan, że się przedstawię. Mam nadzieję, że już nie jest aktualna w Polsce anegdota, którą raczyłem się za czasów mego dzieciństwa: pewnie jegomość zaszedłszy do ustępu stwierdził po niewczasie, że nie ma przy sobie papieru. Wspina się niewiele myśląc po przegródce, oddzielającej od sąsiedniego ustępu i mówi: — Pozwoli pan się przedstawić. Jestem X. Czy mogę prosić o kawałek papieru? Na to ten drugi jegomość z kolei wspina się po ścianie i mówi: — Bardzo mi przyjemnie. Jestem Igrek. Oto papier, Tak, ufam, że ta anegdota już między wami niemożliwa, ale głowy bym za to nie dał.

Damy całowało się w rękę i na większych przyjęciach można było oglądać mężczyzn cmokających i cmokających dłonie wysuwające się z kanapy. Były już na skonaniu sztywne kołnierzyki, getry, laski, spodnie prążkowe, żakiety, tużurki — i wiele innych rzeczy, których nie zliczę. Honor jeszcze czasami objawiał się krwawo. Pewien oficer nie chciał pokazać konduktorowi biletu: — Pan nie ufa słowu oficera polskiego? — zapytał marszcząc brwi i zaczął strzelać, gdy konduktor wezwał policjanta. Przypuszczam, że dzisiaj honor nieco pofolgował (oby nie zanadto), natomiast wcale nie jestem pewny, czy Polska proletariacka wyleczyła się z ceremonialności. Panie inżynierowe i panie mecenasowe, nadjeżdżające tu z Polski, wciąż jeszcze wypadają trochę uroczyście na tle swobodnych manier argentyńskich, a ich wysłowienie nie wyzbyło się tytułomanii, tyle tylko że już nie szlacheckiej, a mieszczańskiej i biurokratycznej.

Kiedy pewne obyczaje są na wykończeniu, ulegają rodzajowi sklerozy — uchodzi z nich treść żywa, a pozostaje tylko sztywność „czystej formy” jakby powiedział Witkiewicz. Otóż mnie pasjonował ten formalizm, drażniło mnie to, ale i zachwycało artystycznie — w mojej twórczości pełno takich form umierających, kilka razy, na przykład, przewija się scena pojedynku, nie mówiąc już o innym, dworskim i arystokratycznym, ceremoniale. I te gwałtowne przemiany w powszechnym sposobie bycia coraz bardziej zwracały moją uwagę na rolę formy w życiu, na wpływ potężny gestu, miny, na nasze najbardziej wewnętrzne treści.

Myślę iż odczuwałem to tak silnie dlatego, że przyszło mi wchodzić w życie w momencie, gdy umierające formy owej odchodzącej epoki miały jeszcze pewną żywotność i mogły ugryźć... my na przykład, w budzie, jeszcze wymierzaliśmy sobie dumne i rozgłosne policzki, choć one już nie kończyły się pojedynkiem. Znieważony musiał „oddać”, jeśli nie chciał stracić honoru — ale wtedy jego przeciwnik musiał z kolei „oddać”, gdyż prawo niepisane głosiło, że ten kto ostatni da w mordę wygrywa. Kiedyś z Tadeuszem Kępińskim przeszliśmy dwukrotnie całe podwórko szkolne waląc się po mordzie i twarz miałem jak banię, a on także.

Dziwne były te mastodonty z tamtego, już zamkniętego, czasu, blakające się po tej nowej demokracji, która z każdym dniem stawała się bardziej wszechobejmująca. Ale anachronizm kołatał się tu i ówdzie aż do ostatnich lat dwudziestolecia i niekiedy wystrzelał niesamowitym dziwactwem. Pamiętam, w roku 1936, czy 1937, mój brat mnie poprosił o wyszukanie rządcy na wieś, do majątku. Zjawiło się na oznaczoną godzinę kilku kandydatów, a między nimi młody blondyn, który przez służącą przekazał mi swój bilet wizytowy, nader dystygnowaną wizytówkę, na której widniało nazwisko z przydomkiem oraz herb. Po krótkiej rozmowie okazało się, że nie ma odpowiednich kwalifikacji — wówczas wstał i poprosił o zwrot biletu wizytowego. — Jakto? Po co? — zapytałem. — Proszę mi oddać — powiedział. Zacząłem szukać, ale przekłeta wizytówka gdzieś się zapodziała. — Nie wyjdę póki pan mi nie zwróci biletu! — Ależ na co panu ten bilet?! — To jest bilet z herbem i ja nie jestem pewny, czy pan go uszanuje. Nie pozwolę żeby mój herb został wrzucony do kosza... albo i co gorszego! Widząc, że jestem o krok od sprawy honorowej, wlałem pod wszystkie meble w bezpośrednim zasięgu i w końcu na szczęście znalazłem.

Jedną z najważniejszych przemian formalnych owego czasu, bogatego w zmiany, było skasowanie zarostu męskiego — nie tylko brody, ale i wąsy znikły — zmiana potężna, olbrzymia, zważywszy że brodacze i wąsacz to zupełnie inny typ człowieka, niż wygolony. Skłonny jestem sądzić, że następstwa tego wydarzenia były niezmiernie — w sztuce, w moralności, obyczajach, nawet w polityce, nawet w metafizyce, choć może nie trudne do uchwycenia. Nigdy nie zapomnę wrzasku, jaki podniosła jedna moja kuzynka na widok ojca wchodzącego do mieszkania z twarzą zupełnie ogoloną — właśnie zostawił brodę i wąsy u fryzjera, zgodnie z duchem czasu. Był to krzyk przeraźliwy kobiety, obrażonej w najgłębszej swojej wstydlivosti, gdyby ojciec był goły nie narobiłaby okropniejszego krzyku — i właściwie miała rację, bo to rzeczywiście był bezwstyd pierwszej klasy ta twarz ojcowa-

ska, dotąd zawsze ukryta w uwłosieniu, teraz po raz pierwszy wyłaniająca się skandalicznie.

Tak właśnie wyłaniała się nam, wyrostkom, twarz epoki — i mój już wtedy dosyć wyczulony smak dyktował mi jasno, że pewne czyny lub opinie były „w duchu epoki”, a inne nie... i to dla tych innych było wyrokiem śmierci. Aczkolwiek co chwila popadałem, jakby na umyślnie, w rozmaite anachronizmy — jak ów snobizm, o którym wspomniałem — to jednak miłość mojego czasu była we mnie bardzo silna a wraz z nią poczucie solidarności z moim pokoleniem. Kiedyś rozmawialiśmy o tym, tu, w Ameryce, z pewnym rówieśnikiem moim, pisarzem z Ameryki Środkowej i on przyznał się do tej samej słabości, a nawet sformułował ją jaskrawo. — Ja wtedy dla mego pokolenia — rzekł — mógłbym być poświęcić mego ojca. Dlaczego nawet Ameryka doznała wówczas czaru historii, którego dzisiejsza młodzież nie doświadcza? Ależ bo tamten, to był czas wyzwalający, epoka pełna obietnic nie tylko dla nas, Polaków — dopiero potem przyszły ciosy, jeden za drugim, i wszystko jęło się obsuwać w krew, boleść, nudę i gniotącą szarość... Nie wiedzieliśmy wtedy, że w dwóch imperiach rozgromionych wojną już tłą się zarzewia nowej katastrofy.

Ze wszystkich kończących się po pierwszej wojnie środowisk, stylów, duchów, najwspanialej wykańczało się ziemiaństwo, duch szlachecki. Był to duch okazały, który wczoraj jeszcze rządził krajem, urobiony przez tradycję, polerowany przez literaturę, zawierający w sobie prawie wszystkie krasy polszczyzny. Jakim widowiskiem były męki szlagonów, dobroduszných, poczciwych, zażywnych a ograniczonych, gdy wszystko zaczynało kurczyć się im w rękach i musieli stawiać czoło nowoczesności zbrojni w garść truizmów, z Weyssenhoffa i Sienkiewicza! Gratka nielada dla młodocianego sadysty — i ja z rozkoszą jałem oddawać się prowokacji w rozmaitych dworach i dworach sandomiersko-radomskich. Ruch robotniczy jeszcze wtedy mnie nie interesował. Z komunizmem się nie stykałem. W socjalizm nie wierzyłem — przy pierwszym zetknięciu wydał mi się kliwym marzycielstwem.

Zbliża się matura. Byłem w sytuacji nieco kłopotliwej, gdyż od kilku lat prawie nie zaglądałem do podręczników, na lekcjach ćwiczyłem się w coraz świetniejszych podpisach, z zakreślasem lub bez, a z klasy do klasy przemyciałem się psim śwędem. Jeszcze w czwartej klasie dyrektor Jaczynowski wykrzyczał mnie za to, że nie przynosiłem ze sobą do szkoły książek, a tylko mały kajecik do robienia notatek. Odpowiedziałem na to wynajmując posłańca — stali wówczas tacy posłańcy na rogach ulic

— i ten to posłaniec wkroczył za mną do gmachu szkolnego dźwigając tornister z książkami.

Kazio Baliński i Antoś Wasiutyński byli mocni w matematyce, a siedzieli na pierwszej ławce — im zawdzięczam podpowiadanie i ściągaczki na klasówkach. W innych materiach, mniej strasznych, ratowała mnie wrodzona bystrość, wymowa i wybitna zdolność zawrócenia głowy profesorowi. Ale jechałem na trójkach i choć raz tylko spadła na mnie poprawka — z łaciny — byłem uczniem kiepskim i starałem się jedynie osiągnąć minimum bez którego pod koniec roku nie można było przedostać się na wyższy szczebel nauczania.

W dniu, w którym ujawni się cała prawda o tym nauczaniu szkolnym — dzień ten jeszcze bardzo odległy — ludzkość znajduje się w obliczu gigantycznej mistyfikacji i monstrualnego oszustwa. Wyjdzie na jaw wtedy, że nauczyciel głądzi, uczeń nie słucha; że nikt nic nie robi; że uczeń oszukuje, nauczyciel daje się oszukiwać; że, gdyby ścisnąć, trzydzieści godzin intensywnej nauki starczyłyby za trzy kwartały obecnej szkoły. Szkoła w obecnej postaci jest znakomitym przygotowaniem... ale tylko do życia urzędniczego, do biurokratycznego trwonienia czasu i „markowania” roboty. To nauczanie rozwleczone, rozglądzone, biurokratyczne, apatyczne, jest przeciwieństwem prawdziwej nauki, tej zwieżłej, natężonej i elektryzującej.

Na kilka miesięcy przed egzaminem maturalnym zdałem sobie sprawę z grozy położenia. Od lat nie uczyłem się systematycznie, pojęcia nie miałem o łacinie, algebrze, trygonometrii i w innych przedmiotach byłem koronnym osłem... Czekano mnie pięć egzaminów piśmiennych i osiem ustnych — co robić? Jako konsekwentny próżniak postanowiłem nic nie robić, tym bardziej że właściwie już nic nie było do roboty poza oddaniem się w opiekę Najwyższemu. Tak nadszedł groźny dzień, w kwietniu chyba, 1922 roku: zasiedliśmy w największej z sal szkolnych, każdy na osobnej ławce, aby uniemożliwić ściąganie i w śmiertelnej ciszy podano nam temat wypracowania polskiego. Napisałem sporo i dosyć byłem z siebie zadowolony. Właściwa tragedia rozpoczęła się dnia następnego gdy pojawił się na moim pulpicie papier z łacińskim tekstem, który należało przetłumaczyć. Rzucając okiem na tych kilka zdań, pojąłem, że nic nie wiem, nic nie rozumiem, nic nie chcę wiedzieć, że nie przetłumaczę nawet trzech słów. Cisza panowała śmiertelna. Sam na tej ławce wobec tego idiotycznego papieru, sam wobec tej łaciny z nieprawdziwego zdarzenia — nigdy absurd, zarzynający, zabójczy, nie uderzył we mnie z równą mocą.

To samo powtórzyło się — niestety — na egzaminach piśmiennych z matematyki. Mój antytalent matematyczny zaznaczył

się jaskrawo. Zadanie trygonometryczne zaatakowałem ze śmiałością straceńca — i ku najwyższemu zdumieniu po dziesięciu minutach już je rozwiązałem. Wypadło mi wszystko jakoś tak gładko, że tylko zsumować kilka cyfr i już gotowe. Ale wiedziałem że to zbyt piękne aby mogło być prawdziwe i, przerażony, szukałem jakichś innych rozwiązań... cóż kiedy za każdym razem wjeżdżałem, jak pociąg na ślepym torze, na to samo prościutkie, głodziutkie, bijące w oczy swą oczywistością, rozwiązanie. W końcu uległem — nie można było się oprzeć oczywistości — i tonąc w najgorszych przeczuciach oddałem kajet. Wiedziałem że dostanę sztyka — ale cóż miałem robić jeśli nie było skazy na mym dziele? Tak, sztyk z trygonometrii, sztyk z algebry, sztyk z łaciny — trzy jedynki uwieńczyły te moje wysiłki. Zdawało się, że nie ma ratunku.

Ale z wypracowania polskiego dostałem piątkę z plusem. A z francuskiego, którym władałem nieźle z domu, też piątkę z plusem. Komisja egzaminacyjna zbaraniała i postanowiła przesłać moje prace do ministerstwa, gdzie zapadł wyrok przychylny: zdałem. Maturę oblewaliśmy w mieszkaniu tak zwanego Prezesa, czyli Miecia Grabińskiego, na ulicy Jerozolimskiej wprost Dworca Głównego. Ja się upiłem, jak wszyscy, i rzygałem z okna piątego piętra na ulicę; ale nie zauważyłem w pijanym widzie, że na dole była kawiarnia i stały stoliki na chodniku. Ryk dochodzący z dołu skłonił mnie do pośpiesznego zaalarmowania moich towarzyszy i zabarykadowaliśmy drzwi wejściowe, gotowi bronić się do ostatka.

To lato spędziłem nad Bałtykiem w Sopotach. Co miałem studiować na uniwersytecie? Nic mnie nie pociągało Bogiem a prawdą — trochę może filozofia — ale już wtedy zorientowałem się, że aby coś wiedzieć o filozofii trzeba pójść do księgarni, kupić trochę książek i poczytać, nie tracąc czasu na słuchanie wykładów i seminaria. Wybrałem w rezultacie wydział najwyższej jakości i najbardziej pociągający leniów: prawo. Na jesieni zacząłem chodzić na wykłady prawa rzymskiego profesora Koschembara Łyskowskiego.

W przedce jednak przestałem pokazywać się na uniwersytecie. Prawo okazało się nieludzkim nudziarstwem, a koledzy też nie byli zbyt interesujący. Kiedy czytam w dziennikach Żeromskiego o jego latach uniwersyteckich, barwnych, obfitych w przyjaźń, politykę, marzenie, wiersze i inne deklamacje, tak wypełnione tym „genialnym, studenckim gadaniem”, jak on to określa, zazdroszczę — bo mnie los odmówił tych entuzjazmów. Dziwna rzecz — choć Żeromski dojrzał bardzo szybko i w wieku lat dwudziestu paru miał brodę oraz sporą ilość złamanych serc na rozkładzie, nie mówiąc już o innych doświadczeniach, ja, szcze-

niak w porównaniu z nim i mamin synek, byłem jednak w jakiś inny sposób o wiele bardziej dojrzały. Ta moja dojrzałość objawiła się w przeświadczeniu że „życie jest życiem”, jak mawiali moi wujowie na wsi i że żadne reformy, akcje, zrywy, walki nie przysporzą moim kolegom ani szczypty rozumu i nie przemienią świata w raj. Byłem realistą do szpiku kości — miałem wstręt do złudzeń, frazesów i teorii papierowych. Nienawidziłem entuzjazmu.

Istnieje aforyzm — nie wiem kto go wymyślił — że „gdy się ma lat dwadzieścia jest się podpalaczem; a po czterdziestce — strażakiem”. Szczęśliwie czy nieszczęśliwie — prawdopodobnie nieszczęśliwie, jeśli idzie o moje osobiste życie — zaliczałem się do strażaków już w okolicach dwudziestki i ze sceptycznym uśmieszkiem przysłuchiwałem się gromkim mówom i śpiewom wzburzonej, jak zawsze w dziejach, studenterii. Dzisiaj nie mam sobie tego za złe. Brak tej wrzaskliwości duchowo-fizycznej nie oznacza bynajmniej ani miękkości, ani uступliwości — Anglicy są tego dowodem — i można doskonale zdawać sobie sprawę ze wszystkich nędz naszej zapalnej łatwowierności, tudzież z całej surowości życia, a jednocześnie obstawać twardo przy tym co się uznało za wartość. Możliwe że dręczył mnie już jakiś przedsmak nadchodzącego bankructwa, tajne przeświadczenie, że szklanym domom sądzony jest druzgoczący kopniak podkutego buta. Nie brałem udziału w festynie niepodległości, trzymałem się z dala, a gdy na ulicy zdybały mnie dźwięki wojskowego marsza i rytm przechodzącego oddziału, starałem się maszerować nie w takt. Szukałem może własnej muzyki i własnego marsza? Ale bieda z tym była, że jeszcze nie miałem pojęcia, czego się imać. Czym będę? Adwokatem? Sędzią? Groszorem? Profesorem? Filozofem? Artystą? Hreczkosiejem? Żadna z tych ról nie była mi całkowicie niedostępna, ale też żadna nie przypadała mi zanadto do smaku.

Pod jednym względem byłem, jak moje pokolenie... nie mogłem znaleźć „swojej” rzeczywistości. Brałem jedną książkę po drugiej do ręki i mówiłem „to nie to”. Czytałem gazety wszystkich odcieni i mówiłem „to nie to”.

Na jesieni tego roku rozchorowałem się na płuca. Było to tylko tak zwane zajęcie szczytów w połączeniu z lekką podgorączką w godzinach wieczornych, ale moja matka się przestraszyła i postanowiła wysłać mnie na wieś. Mój brat Janusz niedawno się ożenił, a żona jego była właścicielką majątku w Iłżeckim, który nazywał się Potoczek — dwór był w lasach, które to lasy przecinała smuga pięciu stawów, ciągnących się rzędem kilka kilometrów aż do wsi — krajobraz iście weyssenhoffowski. Braterstwo moi mieszkali wtedy w Małoszycach i rzadko tutaj zaglądali.

Postanowiono tedy, że do tego Potoczka nasyczonego żywicą leśną mam jechać na całą zimę. Wybierając się tam nie wiedziałem, co mnie czeka.

Dom w lesie, to zawsze trochę melancholijne. Ale dom w lesie, gdy nie ma w nim nikogo, gdy zmierzch jest niczym niezakłócony i konający, gdy noc jest naprawdę nocą wraz ze wszystkimi swoimi szafami, z wyciem i szczekaniem psów rozpaczliwym... Co prawda nie byłem sam. Zostawiono mi kucharza, który wspólnie mnie karmił obtłuszczając moją chudość, miałem też lokajczyka Bolka do posługi i jeszcze trochę miejscowych dziewczek kręciło się po kuchni — a jednak byłem sam, jak palec, bo to nie było dla mnie towarzystwo. Ze względów łatwo zrozumiałych nie mogłem pozwolić sobie na żadną ekscentryczność, na poufalenie się... nie mogłem „demoralizować” służby, i trzeba mi było zachowywać się z taktem. A więc zachowywałem się z taktem. Młody „jaśnie pan” zasiadał przy stole, na którym już czekała, powiedzmy; ryba w żelatynie, wychylał kieliszek wódki, wymieniał kilka słów w rodzaju „jak się masz, Bolek, widziałeś ile śniegu nawaliło przez noc?”, a popołudniu wyruszał w las z dubeltówką. Pękałem od jedzenia. W domu było gorąco. Służba dogadzała mi, jak mogła. Nudziłem się i żarłem — żarłem i wałęsałem się po lesie — wracałem do domu, żarłem — kładłem się spać i wsłuchiwałem się w nagły rejwach psów, w ponocne popłochy i w gorszą jeszcze ciszę, rozfalowaną szumem chojarów.

Miałem co prawda zajęcie — pisałem rozprawkę o „Solidaryzmie” Leona Bourgeois, socjologa francuskiego, była to praca seminaryjna. Ale cała ta socjologia nudziła mnie i wprędce ją zarzuciłem. Co robić? Głuchy niepokój, natężające się odczucie, że coś tu nie jest tak jak być powinno — ze mną w tym dworze — że za długo już wyleguję się, że trzeba siebie jakoś usprawnić, zerwać z tym sybarytyzmem, już duszącym... szukałem gorączkowo wyjścia, zabrać się do czegoś, działać, oczyścić się wysiłkiem... ale co robić? Śnieżna cisza drzew otaczających była jedyną odpowiedzią. I w końcu, zdenerwowany, prawie zrozpaczony, nie wiedząc dokąd uciekać i w co się schronić zabrałem się do szkicowania powieści — o jakimś buchalterze — i powoli wciągnąłem się, zacząłem nad nią pracować już systematycznie.

Była to dziwna robota — trująca. Dla początkującego pisarza wszystko jest trudne — samo opowiedzenie czegoś najprostszego, na przykład że „siadła i poprosiła o szklankę wody” gotowa stać się dla niego problemem. Ja przeto pisałem sapiąc, jęcząc w ciągłym usiłowaniu aby tę moją prozę wywindować na wysokość sztuki, gdzie by stała się wibrująca i błyszcząca. Pracowałem ciężiej, niż furman czy kucharz, więc to mi oczyszczało sumienie

— a jednak, mimo to, ta praca była jakaś podejrzana, jak gdyby skłamana, była wprawdzie wysilona, ciężka, a przecież nie wzbudzała szacunku... wówczas po raz pierwszy zetknąłem się ze wstydem, który towarzyszy wszelkiej robocie artystycznej, tej zwłaszcza która nie zdobyła sobie uznania i nie jest pokupna. Ten wstyd miał ciążyć nade mną przez długie, długie lata — od niedawna dopiero trochę pofolgował.

Utwór rodzący się w takich bólach był bardzo niezgrabny. Ja nie tylko nie miałem wczesnych zdolności Krasińskiego, który w dwudziestym roku życia już pisał „Nieboską”, ale moja dzikość wewnętrzna, nieobycie literackie, wszystkie moje fermenty i nieokrzesania pozbawiły mnie nawet tej gładkości, której łatwo nabywa byle młodzik kręcący się w kołach literackich.

Przeczytałem kawałek moim braterstwu, gdy mnie odwiedzali.

— Okropność — powiedział Janusz. — Wyrzucić to, bo wstyd ci przynosi, nikomu nie mów żeś się tym zabrał i na przyszość zajmuj się wyłącznie czymś innym...

A moja bratowa, tak zwana Pifinka, zauważyła:

— Jaka szkoda, żeś więcej nie polował.

W duchu przyznałem im rację. Dzieło spaliłem i zabrałem się z powrotem do socjologii. Ale ta moja pierwsza próba wskazywała, że w potoczowskiej samotności coraz silniej dawały się we znaki te jady już od dawna mnie dręczące. I wkrótce po tych odwiedzinach mojego brata i jego żony zdarzył się fakt dziwny, któremu przypisuję spory wpływ na moje życie psychiczne.

Rzecz tak się miała: pewnej nocy obudziłem się czując na nogach ciężar — domyśliłem się, że to spory pies, który czasem przedostawał się do pokoiów z kuchni, wylał na moje łóżko. Zrzuciłem go nogami i krzyknąłem „poszoł”. Pies warknął i oddalił się — ale go nie widziałem bo było ciemno.

A w tej samej chwili złapało mnie za gardło straszne podejrzenie... nie, pewność prawie, że nie był to pies, a stwór stokroć okropniejszy... Sam byłem w tym domu — tylko za oknami skrzypienie studni na wietrze i kapanie z dachu topniejącego śniegu, była pełnia, ale prawie nie dochodziło jej światło poprzez zasłony okien. Zesztywniały ze strachu, usiłowałem sobie wytłumaczyć, że nic mnie nie upoważnia do przypuszczenia aby ten pies nie był zwykłym psem — ale, jak zawsze w takich razach, od razu przychodzi do głowy pytanie „jeśli tak, to dlaczego mnie napadła ta myśl, dlaczego tak silnie się mnie uczepliła — w tym musi coś być, że ja się boję bez widocznego powodu...”.

Nie zmrużyłem oka do świtu, a dzień nie przyniósł mi ulgi, prześladowało mnie to bez przerwy — że za tym psem coś się ukrywa... że on wyraża coś przerażającego, o czym nie wiadomo... ale nie mogę sobie uprzytomnić... Tak spędziłem kilka

nocy i dni, jakby na progu jakiegoś okropnego wtajemniczenia, ale nie mogąc uchylić zasłony...

Wreszcie wyjaśniło się!... Znienacka w głowie zapaliła mi się świeczka!

Przypominałem sobie... czy to opowiadał ktoś przy mnie, gdy byłem dzieckiem, czy też ja sam byłem obecny przy tej scenie...? Kiedyś odwiedził moich rodziców biskup sandomierski, Ryx i zwierzał się, jak to nawiedził go zły duch, gdy, będąc jeszcze klerykiem, miał otrzymać święcenia kapłańskie. W nocy poczuł na nogach ciężar. Zrzucił psa nogami. Pies był niewiarygodnie ciężki a spadając wydał dźwięk metaliczny i — opowiadał biskup — ujrzałem w świetle księżyca nie psa a małego człowieka, jak gdyby z metalu, mającego może z pół metra wysokości. Krzyknąłem „wszelki duch Pana Boga chwali” a to coś wrzasnęło i skryło się pod szafą. Potem okazało się że w tym miejscu podłoga była wypalona. Ja uciekłem z domu na pole, choć mrozy były, i całą noc spędziłem pod gołym niebem.

Zatem — jasne! Ta opowieść zapadła mi w podświadomość, ona to naładowała zacnego kundla, którego przegnałem, diabelską esencją. A jednak dziś widzę, że ten incydent miał dla mnie daleko idące następstwa... dni, przeżyte w cieniu owej złowrogiej zagadki, wprowadziły mnie w niezbrane dotąd okolice ducha, do których nie tak łatwo bym się dostał na zwykłej drodze. Zetknęły mnie one z Tajemnicą, z Maską, ukazały potęgę znaczeń ukrytych, wyrwały ze zwykłego osadzenia w codzienności aby wtrącić w patos, w dramat naszej prawdziwej sytuacji w świecie. Te prawie senne rewelacje objawiły mi język sybiliczny a potężny, do którego nieraz starałem się sięgać w moich późniejszych utworach artystycznych.

Witold GOMBROWICZ

Wspomnienia Polskie, Wałęsam się po Argentynie jak również kilka innych tekstów przeznaczonych dla Radia (które nigdy nie były nadane), ukazały się w najbliższym czasie w wydaniu książkowym jako ostatni tom „Dzieł Zebranych” W. Gombrowicza.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 5 stycznia 1977

Miłosz odparował elegancko wzmiankę o *Zniewolonym umyśle* w moim dzienniku. Ma oczywiście rację, że nie załatwił sprawy jednym zdaniem „książka świetnie napisana, lecz błędna, wydumana za biurkiem”. Tę wymówkę przyjmuję z zawstydzeniem. Co nie przeszkadza, że biję się w piersi tylko za grzech skrajnej lakoniczności.

Miłosz odwołuje się do „heglowskiego ukąszenia”. Jego skutki są następujące: przekonanie że „należy stawiać na ruch, który ma przyszłość, zorganizowany centralnie, hierarchicznie, oparty na marksizmie”; olśnienie że „historia naszej planety stanowi jedność, rozwijającą się prawidłowo, zgodnie z pewnymi prawami”; urzeczenie „koniecznością historyczną”, a co za tym idzie pilnowanie „żeby nie narazić się bogini-Historii”. Kto (jak ja) tłumaczy wszystko strachem, upraszcza zjawiska i procesy bardzo skomplikowane. Według Miłosza moje „zainteresowania są czysto moralistyczne”, toteż „Igniecie tzw. intelektualistów do komunizmu” skłonny jestem powierzchownie wyjaśniać „po prostu ich głupotą i znieprawieniem”. Miłosz dodaje: „Różnica między nami na tym polega, że zarówno dawniej jak teraz przypisuję to działaniu przyczyn o wiele głębszych”.

Miłosz uważa kryterium „moralistyczne” za mało tu przydatne, zbyt płytkie. Ja za główne, jeśli nie jedyne. Natomiast w owych „przyczynach o wiele głębszych” — w heglowskim zawierzeniu „historii rozumnej” i „przyszłości” (czyli w praktyce sile) — widzę istotnie maski strachu, znieprawienia, często głupoty, czasem ciągłot do udziału we władzy.

W dzienniku Gombrowicza jest taki zapis: „Etyka marksizmu. Zgadza się, że komunizm urodził się stokroć bardziej z obrażonego poczucia moralnego, niż z pragnienia poprawy bytu materialnego. Sprawiedliwość — oto jego krzyk... Prawdziwy komunizm to męczarnia poczucia moralnego, które uświadomiło sobie krzywdę społeczną i już nie może zapomnieć — ta krzywda pożera mu wątrobę jak Prometeuszowi”. Pierwsze zerwania intelektualistów z „prawdziwym komunizmem” miały podkład prawie wyłącznie moralny. Silone, który z partii wystąpił około roku 1930, lubi dziś powtarzać za Simone Weil: „Sprawiedliwość, wieczna uciekinierka z obozu zwycięzców”. Co, gdy się dobrze zastanowić, jest programową negacją „heglowskiego ukąszenia”.

Zapis Gombrowicza pochodzi z roku 1956, z roku przebudzenia się „poczucia moralnego”. Trudniej byłoby wyobrazić go sobie w latach, które Miłoszowi posłużyły za materiał do *Zniewolonego umysłu*. W Polsce były to lata przyspieszonej, brutalnej lekcji sowietyzmu. Jakież zatem siły pchały nazajutrz po wojnie polskich intelektualistów w objęcia Nowej Wiary? Działanie „prawidłowości historycznej”, uznanie żelaznych „praw rozwojowych”? Wiem coś o tym z własnych obserwacji, że Lwowa pod okupacją sowiecką, który był swego rodzaju poligonem powojennej rzeczywistości krajowej: szalały na nim wśród intelektualistów (z nielicznymi wyjątkami) strach, głupota i znieprawienie, bez śladu „heglowskiego ukąszenia”. Broniewskiemu, o którym Miłosz powiada że doznał „heglowskiego ukąszenia” w roku 1920, zaaplikowano wtedy we Lwowie koński przeciw niemu zastrzyk. Działal on jeszcze w Jerozolimie, nawet zanadto: nie rzadko zbierało się na mdłości, gdy podczas jerozolimskich seansów alkoholicznych Broniewski wpadał w trans płucia na komunizm i ZSSR. Cóż z tego, odpowie pewnie Miłosz: wrócił przecież, napisał poemat o Stalinie, rozsiadł się na tronie księcia „rewolucyjnych” poetów. Mogłbym dorzucić: więcej, pod koniec życia bronił w rozmowach zaciekle Stalina, usprawiedliwiał „historycznie” jego zbrodnie. Odżyło w nim „heglowskie ukąszenie”? Skądże znowu, raczej niż Stalina bronił z konieczności (już nie historycznej) swego nieszczęsnego *Słowa o Stalinie*. Do mojej listy deprawacyjnej trzeba dołączyć chorobę nagminną u literatów: próżność.

We Wschodniej Europie i w Rosji wiele się pod tym względem zmieniło, i dalej zmienia, na lepsze od czasu ukazania się książki Miłosza. I szczególnie ważną sprężyną tych zmian jest właśnie fakt, że „zainteresowania moralistyczne” wzięły tam na powrót górę nad wybiegami „zniewolonych umysłów” w poszukiwaniu „historycznego” alibi.

8 stycznia

Seria porwań i napadów powiększyła we Włoszech szeregi zwolenników przywrócenia kary śmierci, tym razem nawet w parlamencie. Egzekucja Gilmore'a (na życzenie skazanego) odblokowała pewnie w jakimś stopniu w Stanach przeszło dwieście wyroków śmierci niewykonanych, bezterminowo „zawieszonych”. Patrick Henry wzmacniał we Francji obóz obrońców gilotyny. Zachód wzdycha do kata.

Przeciwnicy kary śmierci (do których się zaliczam) używają przede wszystkim argumentu praktycznego, stawiając pod znakiem zapytania jej właściwości *deterrent* w stosunku do potencjalnych przestępców. Ojcem tej szkoły myślenia jest osiemnastowieczny illuminista włoski Cesare Beccaria, autor rozprawy *O zbrodniach i karach*. Beccaria nie tylko zakwestionował spełnianie przez karę śmierci roli postrachu, posunął się aż do przypisywania jej roli podniety, specyficznej krwawej ostrogi: „Ten sam duch okrucieństwa który kieruje ręką prawodawcy, uzbraja rękę mordercy”. W roku 1930 raporty angielskich komisji rządowych kończyły się wnioskiem: „Zbadane przez nas statystyki potwierdzają, że zniesienie kary śmierci w krajach abolicjonistycznych nie pociągnęło za sobą wzrostu ilości morderstw”. Trochę za słabe, żeby przyznać słusność oświeconym wywodom markiza-jurysty z Mediolanu. Należy się cofnąć do czasów, gdy stosowano podwójny *deterrent*, karę śmierci i egzekucję publiczną. Oto opis świadka naocznego egzekucji publicznych, dokonywanych za kradzież, w *Vacation Thoughts on Capital Punishment* z roku 1858: „Złodzieje znajdujący się w tłumie zwołanym na egzekucję wybierali moment, w którym skazaniec huśtał się już na stryczku, jako najpomyślniejszy dla siebie do zaatakowania cudzych kieszeni, gdyż wiedzieli że oczy obecnych zwrócone były w górę ku wisielcowi”. W roku 1866 powołano komisję królewską dla zbadania tego osobliwego fenomenu. Kapelan więzienny w Bristolu, Roberts, złożył przed nią zeznanie, że na 167 skazańców oczekujących w więzieniu na wykonanie wyroku śmierci 164 przyglądało się uprzednio co najmniej raz w życiu egzekucji publicznej. Beccaria miał trafną intuicję.

Ale wątpliwy *deterrent* nie wyczerpuje sprawy. Przeciwników kary śmierci przeraża możliwość omyłki sądowej, nie do naprawienia już po egzekucji (Victor Hugo nazywał gilotynę Lesurques od nazwiska świętego niewinnie w aferze lyońskiej); i procedura tego, co jako „mord biurokratyczny” określał cytowany przez Camusa sędzia Falco, który raz jeden w swojej karierze zdecydował się podwyższyć wymiar kary i skazać oskarżonego

na śmierć za zamordowanie córeczki i wrzucenie zwłok do studni („myślałem że mimo odegranej przeze mnie roli potrafię z zimną krwią asystować przy egzekucji, a jednak potem tygodniami i miesiącami moje noce pełne były obsesji tego wspomnienia”). U schyłku lat czterdziestych abolicjoniści angielscy odgrzebali wypadek młodej kobiety, skazanej na śmierć i powieszanej w roku 1923 za rzekome podburzenie kochanka do zabójstwa męża. Wleczono ją na szubienicę. Wypadły z niej dosłownie wnętrzności, zanim zniknęła w zapadni. Z uczestników egzekucji kat Ellis próbował w kilka tygodni potem popełnić samobójstwo, naczelnik więzienia nabawił się ciężkiej choroby psychicznej, kapelan więzienny wyznał że „odruch rzucenia się i uratowania skazanej siłą był prawie nie do powstrzymania”.

Opowiadając się przeciw karze śmierci, zapomina się o ofiarach zbrodni, o potwornościach obciążających tamtą szalę? Nie, usiłuje się całą wagę uchronić od eskalacji okrucieństwa.

11 stycznia

Słówek o *Przepastnych wyżynach*, książce (a raczej Księdze) logika moskiewskiego Aleksandra Zinowiewa. Jest bezsprzecznie wydarzeniem: pisarsko i jako zdumiewająco wnikliwa, miejscami genialna anatomia sowiezizmu. Ale odnoszę się sceptycznie do jej posępnej konkluzji. Zdaniem Zinowiewa w ZSSR powstało już społeczeństwo „homogeniczne” nowego typu, o którym nie ma sensu mówić w kategoriach „my” (rządzeni) i „oni” (rządzający), bo wszyscy stali się po zamiatinowsku MY. Nic na to nie poradzi garsteczka ostatnich mohikanów na wymarcu, ludzi którzy wciąż jeszcze gorzej czy lepiej widzą, ginąc w ogromnych rzeszach ślepców; ludzi niemal anormalnych, którzy toną w morzu stabilnej normalności totalitarnej. Gdyby nawet usunięto terror i gwałt (naturalnie czysta hipoteza, władcy ZSSR nie mogą sobie na coś podobnego pozwolić), sytuacja nie uległaby zmianie, skoro do społeczeństwa „homogenicznego” nowego typu nie wolno „podchodzić niedorzecznie z punktu widzenia prawa i moralności”. Decydujące jest jedno: fikcja „ideologiczna” sowiezizmu zdominowała rzeczywistość życia sowieckiego, życia społeczeństwa i jednostki. A tam gdzie fikcja i irrealizm zdołały zapanować nad realnością, zwykłe miary społeczne i jednostkowe tracą rację bytu; „mechanizm zwany życiem duchowym okazuje się zbyt kruchy i łamie się przy pierwszym zderzeniu z otoczeniem”.

Mój sceptycyzm wobec konkluzji Zinowiewa płynie stąd, że w ustroju totalitarnym i policyjnym nie da się ustalić prawdzi-

wego stanu społeczeństwa, tym mniej stopnia jego „homogeniczności”. Pod pokrywą obrzędowego języka obowiązującej „ideologii” kryje się milczenie, czasem tak głębokie, że człowiek nie odważa się na formułowanie dokładniej w myślach dla samego siebie tego co czuje. Być może, nad tym co tu piszę zaciążyło przesadnie doświadczenie mojej półtoramiesięcznej podróży przez Rosję u progu 1942 roku, w okresie wojennej degrengolady sowieckiej: pękła wówczas pokrywa. Pięknie (zauważy ktoś), ale działo się to bardzo dawno i pękła pod naciskiem klęsk militarnych. Zgoda, trzeba tę poprawkę brać w rachubę. Trzeba jednak brać też w rachubę współczesne, pośrednie sygnały: na przykład, nieprzerwany wzrost religijności i wielorakich aspiracji narodowych, przy równoczesnym wzmożeniu rusyfikacji. O czymś te rzeczy przecież świadczą, w każdym razie nie o szczelnej „homogeniczności” społeczeństwa sowieckiego.

Bezpieczniej chyba stwierdzić tyle tylko, że trwa nadal „roz-ziew” między sowieckim „ideokratycznym surrealizmem” (jak go definiuje Besançon) i sowiecką rzeczywistością. Choć trudno do-trzeć do jej najskrytszych zakamarków, a i nie łatwo ocenić należycie pośrednie formy jej wyrazu, nie wyzbyła się pewnej autonomii, nie dała się ujarzmić raz na zawsze i bez reszty przez „ideologiczną” fikcję.

14 stycznia

London z żoną, Liehm, Pelikan, Fejtö i Ronchey w telewizji włoskiej, rozmowa o *Karcie 77*. Podkreślono oczywiście wymowę i znaczenie dwóch nowości: rozszerzania się opozycji w skali „bloku”, współpracy socjalistów z katolikami w przygotowaniu dokumentu praskiego. Ucieszyła mnie część dyskusji, poświęcona stanowisku „eurokomunistów”. Kwitując protest sześciu profesorów-członków PCI (za wiedzą Berlinguera) przeciw represjom w Pradze, dyskutanci byli zgodni że to nie wystarcza, że pora cofnąć się wstecz poza rok 1968 i zrewidować stosunek do całego „wschodniego socjalizmu”. Z dzisiejszych gazet dowiaduję się, że na ten sam pomysł wpadli nareszcie socjaliści włoscy. Redaktor *Mondo Operaio*: „Nie można ograniczać się do solidarności z indywidualnymi ofiarami represji; dla naszych towarzyszy komunistycznych nadeszła chwila poddania uczciwej krytyce samej istoty społeczeństwa, które jest socjalistyczne tylko z nazwy”. (Jakby przytaczał uwagę z mojego poprzedniego dziennika). Że oba apele są uzasadnione, dowodzi wypowiedź Berlinguera w *Unità* z maja zeszłego roku o ZSSR, gdzie „urzeczywistniła się podstawowa przesłanka prawdziwej wolności i prawdziwej demo-

kracji”. Krytycy mojej „nadmiernej nieufności” wobec „eurokomunizmu”, cierpliwości, cierpliwości! Każda okoliczność podkopująca mój upór będzie w tym dzienniczku sumiennie odnotowana.

16 stycznia

Ładny artykuł Bolesława Sulika o środowisku opozycji w Polsce zatytułowany jest *Oblężeni*. Tytuł odpowiada dobrze atmosferze, opisanej przez Sulika. Myślę jednak że tyleż oblężeni, co oblężyciele. Wbrew pozorom ani to płód galopującej nieprzytomnie wyobraźni, ani ostre zachwianie zmysłu proporcji. Pod rządami dyktatury zwyczajne, powszechnie przyjęte proporcje są bardzo względne. Warunkiem stabilności systemu jest cisza, kto ją zakłóca i nie może być natychmiast uciszony (z tych czy innych powodów) starymi metodami represji fizycznej, staje się forpcztą utajonych sił społecznych, kimś niewymiernie większym i groźniejszym niż „izolowany osobnik” lub „jeden z niedobitków” w języku oficjalnej propagandy. Dwudziestu członków KOR prowadzi regularną bitwę. Trzystu sygnatariuszy *Karty 77* wywołuje półrewolucję. Havemann i Biermann mobilizują rząd NRD. Sacharow i grupka bliskich mu osób traktowani są przez władzę niekiedy tak, jakby tworzyli sztab niewidocznych gołym okiem oddziałów szturmowych. W uszach totalitarnych władców każdy donośny i śmiały głos ma dźwięk jerychońskiej trąby. I jest nią w jakiś sposób, oby oblężyciele uzbrojeni tylko w słowo nigdy o tym nie zwątpili.

20 stycznia

Rzeczywiście zbliża się „godzina prawdy” dla „eurokomunistów”? I rzeczywiście warunkiem *sine qua non*, przy którym się tak upieram, będzie w niej uczciwa analiza sowietyzmu? Nowe i dość znaczące fakty przedstawiają się tak. Carillo, w rozmowie ze znanym dziennikarzem włoskim, przyznał że w ZSSR nie ma dyktatury klasy robotniczej, jest dyktatura cienkiej warstwy społecznej nad całym społeczeństwem; odmówił ustrojowi sowieckiemu prawa nazywania się komunizmem czy socjalizmem; i dodał że należy obnażać mechanizm aktów represji wobec opozycji, sięgać do źródła, a nie poprzestawać na ich potępianiu. Gruppi, naczelny teoretyk partii włoskiej, musiał podczas wczorajszej debaty komunistów z socjalistami odpowiedzieć na pytanie co sądzi o oświadczeniu Carillo. Przyłączył się z pewnymi modulacjami

do hiszpańskiego sekretarza: „W ZSSR w rękach jednej partii skupiona jest władza policyjna, przy biernym akcesie klasy robotniczej”; nie wolno poprzestawać na potępianiu aktów represji wobec opozycji w ZSSR i w bloku, trzeba zejść do korzeni; ustrój sowiecki nie zasługuje na miano „demokracji socjalistycznej”. Jak na początek, wcale nieźle. Teraz chciałbym to samo usłyszeć z ust Berlinguera. Mój przyjaciel Z., ex-komunista włoski dobrze zorientowany w „dialektyce partii”, twierdzi że nie usłyszę. Zapisuję co mi powiedział:

„Założmy kilka rzeczy, dla większej jasności. Po XXV Zjeździe w Moskwie Berlinguer rozmawia na osobności z Breżniewem i Susłowem. Dają mu chcąc nie chcąc *placet* na heterogeniczną operację ograniczoną do Włoch i Zachodu, z zastrzeżeniem że nie będzie się wtrącał do spraw bloku. Nie są projektem zachwyceni, liczą jednak że *per saldo* zyski przewyższą straty. Z drugiej strony (pozostając na gruncie założeń), Berlinguer jest człowiekiem przyzwoitym, w dobrej wierze stara się powiększyć dystans między komunizmem sowieckim i eurokomunizmem nie doprowadzając jednocześnie do zerwania, w głębi ducha gotów byłby podpisać się pod tym co wykrztusił przyciśnięty do muru Gruppi. Nie przewidział że na obecnym zakręcie „włoskiej drogi do socjalizmu” będą rosły warunki tzw. kredytu demokratycznego, że wydukawszy A trzeba będzie wydukać B i C, że przestanie rychło wystarczać odmachiwanie się protestem przeciw inwazji Czechosłowacji i prześladowaniom dysydentów. A przy tym — co najważniejsze — doły partyjne akceptują jego linię dystansu raczej z poczucia dyscypliny, niż z przekonania. Gdyby podzyrował opinię swego naczelnego teoretyka, gdyby Rosjanie doszli tym samym do wniosku że przebrał miarę, czy nie spróbowaliby za dbać o to by znalazł się w mniejszości albo postawić na kartę rozłamu w partii? Mają swojego człowieka we Włoszech. Jest nim Cossutta, najbardziej sowiecki z komunistów włoskich i najbardziej włoski z komunistów sowieckich, do niedawna kurator więzi finansowych partii z Moskwą, obecnie odsunięty na boczny lecz nie martwy tor. Na nieco dalszym planie wisi wciąż groźba śmierci Tity, penetracji sowieckiej aż pod Triest. Carillo jest w innej sytuacji: dalej od Moskwy, na czele niewielkiej partii, w kraju o odmiennej strukturze politycznej. Może, a po części i musi, grać odważniej, bardziej na efekt. Nie, nie wierzę w podzyrowanie przez Berlinguera wypowiedzi Gruppiego. Ale poza dyskusją wydaje mi się jej doniosłość, jako ogniwa naturalnie, jako ogniwa w nieprzewidzianym łańcuchu”. Mnie też.

(Dopisek z 25 stycznia, wywiad z Carillo w tygodniku *Spiegel*. Padają słowa „schizma” i „zerwanie”, Carillo nie obawia się ich,

mówi o Moskwie tonem wyzywającym. To on jest akceleratorem w reakcji łańcuchowej. Komunistom włoskim trudno byłoby chwycić go za poły, a jeszcze trudniej odciąć się od niego demonstracyjnie).

22 stycznia

Wczoraj pierwsze po operacji dłuższe wyjście z domu, spacer i *Casanova* Felliniego. Jakie rozczarowanie! *La mia vita* awanturnika weneckiego jest fascynującą lekturą dzięki przeplataniu się dwóch elementów. Casanova osiemnastowieczny libertyn, lekki, zabawny, pełen fantazji, rozkochany w swoich romansach (a nie w zdobywanych kobietach), nie odróżniający już sam prawdy od kłamstwa w autobiograficznej gonitwie wspomnień. A tuż obok Casanova ponury, maniak seksualny, „rekordzista orgazmów”, erotyczny narkoman szukający w łóżku ucieczki przed myślą o śmierci, zapamiętały karczownik niewykorzenionego nigdy ze szczętem katolickiego poczucia grzechu cielesnego. Na trzech tysiącach stron obaj są wciąż obecni, żyją i miotają się w nierozzerwalnej symbiozie. Nie można ich rozszepić. Zrobił to co prawda Artur Schnitzler w pięknej noweli *Casanovas Heimfahrt*, ale świadomie wybrał zmierzch kariery weneckiego awanturnika, ostatnią i nieudaną próbę wyszarpięcia się bankruta z zaciskających się kleszczy starości poprzez romans z młodzieńką dziewczyną, obojętną na jego zużyte już wdzięki i fortele uwodzicielskie. Drugi Casanova w noweli Schnitzlera, tu i ówdzie tragicznie podcieniowany z domieszką makabrycznej groteski, obchodzi się dobrze bez pierwszego w tym pojedynku miłości ze śmiercią. Bierze bowiem udział we własnym epilogu, wydobywa z siebie krótki łabędzi śpiew.

Niepodobna jednak, u szczytu kariery Casanovy, pokazać tylko jego drugą naturę. A takiego właśnie Casanovę pokazał Fellini: ciężkiego, opętanego rują i porubstwem, mistrza turniejów kopulacyjnych, wulgarnego kolekcjonera bab, ekshibicjonistycznego wariata. Znikła cała dwuznaczność figury, ustępując miejsca barokowej i nekrofilskiej orgii. Nie jestem wcale pewien czy Fellini uległ po prostu swoim osobistym gustom stylistycznym, czy też odczytał pamiętniki Casanovy zgodnie z duchem naszej epoki.

26 stycznia

Przeczytawszy któregoś wieczoru na nowo nowelę *Vanina Vanini*, ozdobę *Kronik włoskich* Stendhala, Tomasi di Lampedusa

zagryzał się myśląc iż tak należy pisać; po czym doszedł do wniosku że potrafią to wyłącznie *the happy few*, gdyż aby tak pisać „trzeba mieć do rozporządzenia więcej idei niż słów”. Raczej wrażeń, uczuć, niż idei; *il n'y a de sûrement vrai que la sensation*, zapewniał Stendhal. Cud dwudziestostronicowego arcydzieła, jakim i dla mnie jest *Vanina Vanini*, nie spełniłby się przy pomocy samych „idej”. Niesłuchanie szybka, gwałtowna przemiana miłości w nienawiść mogłaby być równie przekonywująca i zwięźle opowiedziana bez daru docierania do serca *sensation*? Powtarza się często zdanie Stendhala o jego „idealnym stylu”, ukrytym w paragrafach kodeksu cywilnego. Niewiele ono mówi, jest celową i odrobinę kokieterijną redukcją. Styl Stendhala, odporny na wszelkie pokusy ornamentacji, wrogi wszelkim balastom, skąpy w przymiotniki, wyzwolony z hamulców zbyt rygorystycznego rytmu wewnętrznego, ten niedościgniony styl wykarmiła osiemnastowieczna proza; ale w służbie oszczędnego przekazywania uczuć, a nie owoców rozumowania. Niektórzy przebakują o stendhalowskim „stylu improwizatora”, nie zdając sobie sprawy czym była ta pozorna „improwizacja”: długim eliminowaniem w pamięci wszystkiego co zbędne, powolnym filtrowaniem esencji minionych obserwacji, doświadczeń i doznań. Gdy brał pióro do ręki, pisał rzeczywiście jak improwizator, w szalonym pośpiechu, w euforii graniczącej ze szczęściem (istnieje opinia, że leczył nerwy pisanie); lecz przedtem pisał i kreślił bez pióra całymi latami.

W ciągu paru ostatnich wieczorów połąkłem *Życie Henry Brularda*. Mniejsza o niepotrzebną i nieudaną mistyfikację w po-myśle książki (Stendhal, chcąc mieć swobodę „utrwalania najdrobniejszych drgnień duszy”, postanowił stworzyć sobie większy luz autobiograficzny i narrację w pierwszej osobie włożył w usta swoistego sobowtóra; chwyt działa krótko, Henri Beyle wypiera Henry Brularda). Co mnie oszołomiło i zachwyciło w *Życiu*, to możliwość opowiadania o własnej odległej przeszłości z absolutnym lekceważeniem „praw” autobiografii. „Błagam czytelników, jeżeli znajdują się tacy kiedykolwiek, by nie zapominali że roszcze sobie pretensje do prawdy w tym wyłącznie co dotyczy moich uczuć; w odniesieniu do faktów miałem zawsze słabą pamięć”. Trzy czwarte *Życia*, czyli okres dzieciństwa i wczesnej młodości w Grenoble, wypełnione są uczuciami. I jak opowiadany! Jak gdyby każde zawierało w błyskawicznym i celnym skrócie, w ulubionej stendhalowskiej „krystalizacji”, wszystkie te przesuwające się po wierzchu wydarzenia, które zwykło się uważać za naturalną materię autobiografii, chociaż dają o życiu człowieka pojęcie blade i przeważnie banalne. Ale, po chwili namysłu, nie widzę tu właściwie żadnych szczególnych powodów do „oszołomienia”.

Kto w wieku Stendhala piszącego autobiografię (po pięćdziesiątce) ogląda się wstecz ku dzieciństwu i wczesnej młodości, może ożywić naprawdę i zmusić do prawdomówności jedynie ową pamięć emocjonalną; zobaczyć tylko kapryśny, zygzakowaty, niknący i wynurzający się na przemian, strumień uczuć. Natomiast podtrzymuje „zachwyty”: wobec Stendhala, który umiał również do samego siebie zastosować tak znakomicie swoją dewizę pisarską.

29 stycznia

Dzisiejszy popołudniowy spacer był za długi, wśród straganów na *Tribunali* odezwało się dalekie echo bólu, ledwie dowlokłem się do Świętej Klary. Była pusta, ani żywej duszy. Obsunąłem się na ławkę koło jednego oświetlonego ołtarza bocznego i natychmiast zapadłem w częsty teraz u mnie stan ni to płytkiej drzemki, ni halucynacji. Zaśnieżone i wyludnione miasto na tle białych gór, bardzo cicha muzyka spoza zamkniętych okiennic na wąskich uliczkach, oblodzone zatoki placów, gładka tafla nieba z dużą przeręblą księżycą po środku. Salzburg? Po tylu latach? Spędziłem tam Boże Narodzenie 1952, w jednym z najcięższych okresów mojego życia.

Lekkie szturchnięcie. Obok stał dzwonnik Świętej Klary, maleńki i wysuszony franciszkanin, w za szerokim habicie, z trupią główką przechyloną na ramię, uśmiechnięty smętnie i jak zawsze wylekniiony. Znam go od dwudziestu lat, ilekroć zachodzę do Świętej Klary, przechwala się w lichej włoszczyźnie (jest rodem z Austrii), że „jego dzwon słychać w całym Neapolu”. Stał w milczeniu, jakby wahając się czy mi coś powiedzieć. Wreszcie przybliżył swoją trupią główkę i szepnął mi na ucho: „Mam chore serce, chcę mi odebrać mój dzwon”. Odsunął się, spojrzał na mnie z ukosa, znikł mu z twarzy uśmiech: „Umrę bez mojego dzwonu, nikt mi nie wierzy, ale ja wiem na pewno że umrę”. Miałem ochotę pocieszyć go i ucisnąć, kiedy jednak poruszyłem się gwałtownie w ławce żeby wstać, obok mnie nie było nikogo. Więc też półsenne przywidzenie? A przecież dźwięczy mi w uszach jego skarga: *Morirò senza la mia campana*.

30 stycznia

List z Warszawy: „Otrzymałem od Pana kartkę pocztową i przechowywałem ją do dziś, gdybym nie trafił na kolekcjonera podobnych kartek wśród funkcjonariuszy MO, przeprowadzających w moim mieszkaniu rewizję. Ponieważ wzięli wśród

innych rzeczy także kopię Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, myślę że Pańska kartka znalazła się w godnym towarzystwie. Do dzisiaj wspominam, jak wielką radość sprawiło mi jej otrzymanie".

Coraz obficie wypełnia się „trzeci koszyk” na czerwcową „weryfikację” Helsinek w Belgradzie, w ojczyźnie głodującego za kratami (i podobno dogorywającego) Mihajlova.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

A CHRONICLE OF HUMAN RIGHTS IN THE URSS

KHRONIKA PRESS (Kwartalnik)
505 Eight Avenue
NEW YORK, N.Y. 10018.

Ukazuje się w językach rosyjskim i angielskim. Publikuje i komentuje ważne wydarzenia i zarządzenia w Związku Sowieckim, odnoszące się do praw człowieka. Redaktor Walery Czalidze; członkowie redakcji: Edward Kline i Paweł Litwinow; autorzy artykułów i raportów: Andriej Sacharow, Lidia Czukowska, Andriej Twierdochlebow, Josef Brodski, Andriej Amalrik, Walentyn Turchin, Jurij Orłow, Roy Miedwiediew, Aleksander Wolpin i inni.

Prenumerata roczna (4 numery) na rok 1977 — dol. 15,00.

PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH
ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Kto to zrobił? *

II

Nie podnosił słuchawki. Sygnał powtarzał się co kilka sekund. W ciszy mieszkania jak alarm brzmiał ten dźwięk. Wiedział kto dzwoni: Profesor. Dlaczego nie reagował? Na pewno sprawa jego stypendium. Dziś ostateczny termin. Przez tydzień uchylał się od decyzji. Powtarzał z rosnącym uporem: zastanowię się, muszę mieć trochę czasu do przemyślenia. Na takich unikach minął tydzień. Dziś ostateczny termin. Musi powiedzieć tak lub nie. Ponownie ten przeraźliwy dźwięk. Ogarnął go popłoch. Jednak nie podnosił słuchawki. Może wyłączyć? Śmieszne to. I nielogiczne. Od kilku już lat pracuje w Instytucie. Jego praca doktorska uzyskała wysoką notę. Kilka istotnych rozdziałów zostało przetłumaczonych i wydrukowanych w zagranicznych kwartalnikach specjalistycznych. Jest w trakcie przygotowywania habilitacji. Droga wzbijającej się gwiazdy. Tak mówią koledzy. Złośliwie i niezłośliwie. To są fakty. Jego kariera naukowa nie budzi wątpliwości. I zapamiętał ten radosny, figlarny uśmieszek starego Profesora, który zaprosił go do gabinetu tydzień temu dokładnie.

— Mam dla was interesującą nowinę, kolego — zaczął Profesor. Uczynił długą pauzę. Przedłużał moment zaciekawienia. Dozował napięcie.

— Uzyskałismy roczne stypendium w ośrodku badawczym w Stanach — podjął Profesor — jeden z najlepszych tego typu ośrodków na świecie przy uniwersytecie w Harvard — znów efektowna pauza dla podkreślenia ciężaru gatunkowego wiadomości. — Otóż wytypowałem pańską kandydaturę, przedstawiłem w ministerstwie i żadnych sprzeciwów nie czynią. Wydaje

* Część I-sza w *Kulturze* Nr 1/340-2/341, 1976.

mi się, że należy podjąć starania w zakresie niezbędnych formalności.

Czekał Profesor na reakcję swego pupila. Zdumienie, radość, wdzięczność. Tak sobie musiał wyobrażać. Cekał i niecierpliwił się. Onio wiadomość przyjął obojętnie. Sam był zdziwiony swoją reakcją. Szansa na którą wyczekuje wielu. Wyjazd do Francji rok temu. Ilu kandydatów! Jaka zażarta walka między chętnymi! Jego tymczasem ta nowina wcale nie ucieszyła. Wręcz przeciwnie. Najeżył się obronnie.

— Co pan na to? — Profesor chrząknął zakłopotany.

— Ja! — ocknął się Onio. — Sam nie wiem, panie profesore. Takie to nagle, nieoczekiwane. W każdym bądź razie, dziękuję, bardzo dziękuję! — Może za późno to przyszło? Nigdy dotąd nie wyjeżdżał na Zachód. Wiadomość tym większe powinna sprawić poruszenie.

— Dziękuję — powtórzył i dalej zbrakło mu słów.

Na gwałt próbował wyrazić radość, wdzięczność, ożywienie. Nie chciał przecież sprawić przykrości staremu. Domyślał się, ile musiał Profesor pokonać trudności. Wyobraził sobie nawet ziemistą, ściągniętą twarz dyrektora Instytutu i jego argument. — Postawa polityczna... hm... postawa polityczna jednak.

Dyrektor, karierowicz i czuły barometr wszystkich zmianających się prądów, traktował Onia z niezmienną podejrzliwością. Albo docent Błasiak... Jednak posłyszawszy dobrą nowinę od starego Profesora, zareagował przede wszystkim obronnie. Śmieszne to i dziecinne. Ten wyjazd skojarzył mu się w irracjonalny sposób z przegraną i rezygnacją. Opuszczaniem pola bitwy, nazwał to patetycznie. Jaki z niego bojownik? Gdzie jego pozycja? O co walczy? Od dawna już zaszył się w sanktuarium Instytutu, pochłonięty pracą naukową i szczególnie odizolowany od innych spraw. Pochłonięty swymi wykresami, równaniami; chłodny i sceptyczny, nieraz z satysfakcją stwierdzał: mam swój świat, nie zrani mnie już nic, oto moje doświadczenie, oto mój światopogląd. Gabinety i pracownie, sala posiedzeń rady naukowej, biblioteka gdzie księgozbiór nawarstwiał się od lat, ciemne korytarze o wyfroterowanej posadzce, spokojny, uregulowany rytm. Jednak sanktuarium, mimo dokuczliwej obecności dyrektora, tego ogara o ściągniętej twarzy żołądkowca czy docenta Błasiaka. Skąd więc ten popłoch w nim? Tandetne obrazy, które odżyły w pamięci. Koledzy w Instytucie z Anglikami. Ta Francuzka, brzydka, niezgrabna, w okularach. A oni wokół niej w lansadach, potach językowych i nadziei. Ten szept w bufecie. Rozpoznał od razu kto mówi.

— Słuchaj stary, ona przyśle prywatnie zaproszenie i skoczyć będzie można... Niedokończone marzenie. Paryż i jego czary,

cały tamten świat w niedokończonym szeptcie. Nie chciał wyjeżdżać. Nie wyjedzie. Koniec. A jednak... Sprzeciw wobec szansy nielogiczny przecież w stosunku do jego postawy. Azyl, sanktuarium. Chłód. Spojrzenie z dystansu. Nic go nie łączy. Ostatnio nawet kontakty z ludźmi sprowadził wyłącznie do płaszczyzny zawodowej. Zastanawiał się nad tą redukcją życia towarzyskiego. Patrząc na swoich kolegów z czasów młodości, widział już jedynie obcych ludzi. Pograżeni w wirze zajęć; przygód, miłostek, interesów i kłopotów. Rozmienieni na drobne po prostu. Pozarci przez miątką codzienność. Zastanawiał się również nad swoją postawą. Czy nie jest jednym z nich?

— Uniesienia młodości — mówili pobłaźliwie jego koledzy o zamierzchłej epoce ideałów, wiary, nadziei. Wzruszali ramionami. Uśmiechali się sceptycznie. Nazywali tamten czas daremnym trwonieniem sił i zdolności. Rozważni, dojrzali. W każdym posunięciu zachowywali się jak wytrawni gracze szachowi. Czuło się ich doświadczenie. Najchętniej uznawali się za realistów. Posługiwali się tym terminem w przeróżnych kontekstach.

— Trzeba realistycznie. Realizm jest bronią naszych czasów. Realizm dyktuje nam ustępstwa.

Z nimi miał rozmawiać? Jaką dadzą odpowiedź na jego rozterki, zwątpienia i gorycz? Zdumione milczenie, obłudna troska o jego nerwy lub pobłażliwe — „No, nie przejmuj się, wszystko bierzesz zbyt romantycznie, nie bądź naiwny”.

Może nawet przy najbliższej okazji powiedzą o tym docentowi Błasiakowi. Błasiak, strażnik zdrowia ideowego kolektywu. Nastąpił czas kiedy o sprawach najważniejszych nie uchodziło mówić. Było to w złym guście. Wzruszeniem ramion kwitowano podobne tematy. Nie miał Onio wspólnego języka z rówieśnikami. Czuł się wśród nich obcy i jedynie udawał pozory współzycia.

I tylko Profesora mógł pytać z zapalczywą bezradnością: — Dlaczego od wszelkiej władzy zawsze już wiać będzie dla mnie obcością? Kłamstwem i brutalnością przede wszystkim. Przemoc podstawą fikcyjnego dialogu ze społeczeństwem. Przemoc lukrowana humanitarną frazeologią. To tylko widzę. Głęboka nieufność i indiosynkrazja we mnie dla wszelkich jej oświadczeń. Wiem doskonale czym to przekonanie jest podszyte. Czy nie jest to psie uczucie chłopca batożonego na pańskim? Człowieka zniewolonego. Może to przejaw mego zgorzkniałego usposobienia? Czy doświadczenia młodości mogą taką czarną smugą rzutować na wszystko? I ciągle we mnie takie przeczucie: Nieraz jeszcze władza obnaży swoje wilcze kły.

Przypominał mu się pewien ormowiec, który kierował ruchem na rozwidleniu dróg za miastem. To rozwidlenie dróg w porze

letniej stawało się niezwykle obciążone. Karawany samochodów ciągnęły nieprzerwanie w stronę kąpieliska nad zalewem. Starzec, ormowiec zajmował pozycję jak generał na polu bitwy. Obok niego inwalidzki samochodzik Velorex. Był więc inwalidą, ale czego mu brakowało, nie wiadomo. Poruszał się sprężysto i pewnie. W postawie stojącej tkwił na swoim posterunku wiele godzin. Czy miał jastrzębie. Najmniejszą nieprawidłowość w ruchu samochodów wyławiał natychmiast. Nawet kilka nieprawidłowości naraz... Wtedy się ożywiał i przypuszczał szturm.

Władczym i niedbałym zarazem gestem przywoływał upatrzonego samochód. Powoli wyciągał mandatowy bloczek. Kreacja była zamknięta na ostatni guzik. Starzec ten samą kreacją. Ono niegdyś jadąc samochodem, świadomie spowodował uchybienie w przepisach drogowych i chciał nawiązać rozmowę ze starcem. Bezowocny to był wysiłek. Nic oprócz mandatu nie uzyskał. Tylko wyobraźnia miała w tym przypadku nieograniczone możliwości. Jaki ten starzec w domu po służbie? Może śmieszny dobrotliwy dziadziuś dla wnucząt? Pomiatany przez żonę. Prze-myka się z kąta w kąt. Patrząc pod innym kątem, starzec stawał się postacią budzącą szacunek. Pełnił bowiem funkcję niezwykle użyteczną społecznie. Oświetlając to jeszcze inaczej, groźne obszary się odsłaniały. Bezwzględne oddanie, surowość i bezduszność ambicji wykonawcy. Władza!

Gdzie kończy się jej ślepe ramię, a zaczyna świadomy udział? Od najniższego szczebla poczynając, za pomocą tego pytania posuwać się można wysoko w górę. Wszyscy testowani reprezentanci władzy uchylają się przeważnie od świadomego uczestnictwa.

— Oni — odpowiadają — oni kazali. Oni powiedzieli.

Docieklivość w tym przedmiocie inspirowała go do rozmaitych pomysłów. Od dawna zastawiał sidła na sąsiada z tego samego piętra. Mundurowy policjant, oficerskiej rangi, często nosił się po cywilnemu. Spotykali się w windzie, nieraz uchylali jednocześnie drzwi swoich mieszkań i zabierali butelki z mlekiem z wyocieraczek. Tamten również kawaler. Sąsiadzka życzliwość spowodowała zbliżenie. Spotkali się wieczorem przy autobusowym przystanku. Policjant był lekko wstawiony. Zaprosił Onio sąsiada do restauracji. Tęgi męski ochłaj i wspólny powrót do domu już po bruderszafce. Następnie zwałił go do swojego mieszkania pod pretekstem dobrze zaopatrzonej lodówki. Oto przebieg tego dawno upragnionego spotkania. Wylał policjant z pancerza munduru, nieufnej powściągliwości i krzepy. Rozluźnił pas i zaczął mówić. W pierwszej fazie ciągle jeszcze był nadęty i pyszałkowaty. W drugiej fazie dominowały chytryść i egoizm w zwierzeniach. Mozolna droga do życiowej sytości. Niezłe warunki pracy, premie, dodatki, mieszkanie bez wieloletniego wycze-

kiwania. Płynnie cytował dziennik ustaw regulujący jego przywileje.

— Ze względu na wagę służby — podkreślił z satysfakcją.

Wymieniał swoje tłuste kęsy, rozstawiając palce jednej dłoni, wielość tych przywilejów spowodowała konieczność użycia drugiej dłoni.

— Ja też przycisnąć mogę — zwierzał się ze swoich możliwości — raz jeden mówi: czy wiecie kto ja jestem, a ja go pała po plecach raz za razem, żeby nie zdążył legitymacji pokazać, w razie komplikacji powiem: skąd mogłem wiedzieć kto to jest, czy na czole ma to wypisane. — W trzeciej fazie libacji domowej wystąpiły rozterki i niepokoje. Myśl niezależna z nagłą zakiełkować potrafi. Regulamin wyklucza podobną samodzielność.

— Wam cywilom to dobrze, więcej pyskować możecie, nawet jeżeli się wychylicie to często żadnych konsekwencji nie macie. Większy luz, was nie cisną z każdej strony. — Czy miał po ludzku smutne.

— W cywilu też dużo teraz służby rozmaitej — zauważył Onio. Myślał o docencie Błasiaku.

— Informatorzy — przytaknął policjant.

Finalna faza tego posiedzenia poświęcona została marzeniom o innym życiu. Zwolnić się i zacząć inaczej. Bezradny stał się i płacziwy. Nic innego robić nie potrafi.

— Trzeba ludzi cisnąć — wyznał z rezygnacją. — Jak nie będziesz cisnął, to dopiero ciebie przycisną. — Z butelki bezpośrednio popijać zaczął. Wycie, rozpacz i udręka cechowały to opilstwo.

— Bij! — wołał — dobrze wiem kim jestem! Co mam robić, powiedz?

Pistolet wyciągnął z kabury. Rzucił na podłogę. Łzy mu pociekły obficie. Następnie usnął. Wtedy Onio jego pistolet schował pod poduszkę. Sam też spać się położył. Sen człowieka uzbrojonego. Pierwszy raz tego doświadczył. Rankiem policjant zerwał się z krzesła. Obmacał kieszenie. Ze zdumieniem spoglądał na pustą kaburę.

— Gdzie gnat! — zawołał.

— Gnat? — powtórzył Onio. — Co to znaczy?

— Broń! — wrzasnął tamten.

Onio śledził go spod przymkniętych powiek. Sąsiad popędził do swojego mieszkania. Nie było go długi czas. Wrócił jeszcze bardziej przerażony. Onio miał już dość tej zabawy. Nie był przecież sadystą.

— Aha, już wiem — powiedział.

Sięgnął pod poduszkę. — Wymachiwałeś tą pukawką. Chciałeś strzelać. — Policjant dziękował wylewnie. Choć podejrzliwe błyski zamigotały w jego oczach. Zapewne próbował rekonstruować wydarzenia pijackiej nocy. Odtąd ich stosunki wróciły do poprzedniego dystansu... Zachnął się Onio. Jałowość tych przypominanych zdarzeń. Idiotyczna penetracja przedstawicieli władzy na jej szczyblach najmniejszych.

— Wilcze kły władzy! — Profesor uśmiechał się wyrozumiale. — Twoje przecucia, kochanku, banat to wprost. Jakie to przecucia? Mogę ci obliczyć z niewielkim odchyleniem prawo cyklu w układzie sprzecznych interesów. Spreczne interesy: władza, obce mocarstwo, ekonomika spętana bezsensownymi dogmatami i zwykli ludzie, ich życie zarobki, potrzeby i temu podobne. W tym układzie rozpiętym na sprzecznościach monotonicznie powtarza się taki oto schemat: wspinanie się, tendencja zwykła, zastrzyki kredytów, apogeum, następnie bezwarunkowo jednak następuje załamanie, spłata kredytów, brak rezerw, bilans ujemny, konfliktowa sytuacja, trzeszczy cała budowa, zapadają się fundamenty. Właśnie fundamenty. Tu ciągle u podstaw błąd pokutuje — ucieszył się z odpowiedniego porównania Profesor. — Otóż wtedy obnażają się te twoje zbyt poetycznie nazwane, wilcze kły... — spoważniał Profesor. — Miałkość i bzdura. Życie całe można strawić na tej nicości i bezcelowej szarpaninie. I nic z tego nie wynika. Żadnego sukcesu, satysfakcji. Tylko klęski, żółć, smutek, nieodwracalnie już wypaczone widzenie świata i ludzi. Równocześnie ile zdolności, energii zmarnowanej bezużytecznie. Młody kolego... — mówił głosem twardym, rąbiąc słowa jak oficer komendę — naszą jedyną szansą jest rzetelny, sprawdzalny system wartości. W badaniach które prowadzimy nic nie można ukryć, opuścić, zafałszować. Nie otrzymamy wtedy wyników. Kryterium żelaznej logiki, prawda? Wywód zamykający się wzorem. Wzór sprawdzony w bezbłędnie działającej konstrukcji. Oto efekty naszych poszukiwań. Tylko to mogę panu, młody kolego, poradzić. W tym również kryje się inna szansa, znacznie szersza, uniwersalna. Przecież w ten sposób jesteśmy w ścisłym związku z całym światem, pokonujemy polityczne bariery.

Stary, ciągle żarliwy romantyk. Takim był Profesor. Przedstawiciel już zanikającej generacji szlachecko-inteligenckiej. Legiony i niepodległość. Socjalistyczne ideały i obrona praw człowieka. Piękna karta okupacyjna, dotkliwe represje w stalinizmie i ciągle niezachwiana wiara w zwycięstwo dobra nad złem. Trwały system wartości. Jego kapliczka. Cierpliwa służba dla postępu. Ciasny to i fikcyjny azyl. Przydeptany polityką. Każde działanie wypadkową wyrzeczeń i ustępstw. Haracz konieczny

po prostu. Gorzkie poczucie własnej bezsilności. Profesor wybuchał nieraz z tego powodu. Sztuczne raje, wyspy, oazy na pustyni. Stary Profesor. Orzeł. Ptasi, suchy profil i głos pełen spokoju. Orzeł ze związanymi skrzydłami.

— Przechować, i uratować najważniejsze wartości — powtarzał Profesor. — Przekazać wstępującym pokoleniom.

Miałkość i bzdura. Tak powiedział Profesor. Myślał o tych co życie swe strawili w służbie zmiennych racji władzy.

Tego starego działacza spotkał Onio na ulicy. Nagle zmarlały. Zauważył Onia od razu. Ale czekał, wyraźnie czekał na jego ukłon. Ukłonił się. Działacz podbiegł do niego żwawo.

— Wielu teraz stroni ode mnie — wyjaśnił. Przyłgął natrętnie do Onia, dalekiego przecież od jego spraw i kłopotów. Może z tego właśnie powodu. Potrzebę mówienia miał wielką, aż kipiał od natłoku myśli. Błagalnym spojrzeniem prosił o cierpliwość.

— Wiem, wiem, — gorączkował się, szukając ewentualnych argumentów przeciw zarzutom — wiem, ta nasza droga z samych pomyłek złożona, lecz naprawdę wierzyliśmy w to co robimy, szło nam o sprawę, wiem, krzywdą z tego dla ludzi wynikała, jednak bezinteresowni byliśmy i ideowi... Tak rozpoczął się jego monolog, chaotyczny, najeżony dygresjami i urywanymi z nagłą wątkami. Stali na ulicy przy wystawie sklepowej. Jak z trudem wywnioskował Onio, zawiłe te ich sprawy, język również specjalny — był nowy kurs, zmiana linii, nowe wytyczne, a działacz wychylił się, wyraził odmienne zdanie czy też pozostał na dawnym stanowisku. Z tego powodu stał się od razu osamotniony. A może to wszystko przydarzyło się przez przypadek, pogubił się w komplikacjach politycznej gry, zbyt indywidualnie myślał lub odczuwał się w nim atawiczna niezależna od wszelkiej gry ludzka godność i uczciwość. Usunięto go z wysokiego szczebla hierarchii. Wykopali, tak mówi się u nich, albo, poszedł w odstawkę. W wyniku tych działań meandrycznych stał się załosnym rozbitkiem. Miotał się gorączkowo, chodził do swoich przełożonych, przedstawiał im własne racje i argumenty, pisywał memoriały, co najdziwniejsze, nie korzystał się jednak, tylko z uporem uzasadniał swoją postawę i pytał — Dlaczego to ma być niesłuszne? Patrzone na niego zimno i obojętnie. Był już obcy.

— Tam na górze — mówił ten działacz za burtą — chyba jakaś frakcja rewizjonistów doszła do głosu, na pewno odchylenie, będą musieli to później prostować, znam się na tym, ja przecież dla partii kilkadziesiąt lat.

Przypierał Onia do wystawy i mówił nieprzerwanie. Zawile i mętne. Ten ich język odwykł od wyrażania zwykłych ludzkich

racji, nafaszerowany sloganami i matowymi pojęciami, tylko rzadko z martwej skorupy jego mowy wypryskiwały zwykłe słowa, świadczące o bólu i rozterce człowieka. Zapatrzył się w ohydne manekiny na wystawie sklepowej i prawie załkał. — Co krok niszczeni ludzie, upiorny tłum, lata mijają, idzie niby ten sam człowiek a inny już, czasem trudno samemu rozeznąć się w sobie, tyle ciemności, po latach już wcale iść nie można, kręgosłup złamany, na czterech łapach, pełzaniem już tylko można się posuwać... Porzucił tę ledwo napoczętą refleksję o swoim losie i opowiadał o wizycie w komisji kontroli partyjnej. Dyskusja z towarzyszami, krytyka jego postawy, dawni przyjaciele nagle powściągliwi i dalecy. Zamilkł wreszcie, zmęczony tą swoją sytuacją zawiłą, kaleką już nieuleczalnie.

— Coś panu jeszcze pokażę — nagle uśmiechnął się.

Wyjął z portfela fotografię chłopca najwyżej dwudziestoletniego. — Syn — powiedział i oczy miał po raz pierwszy normalne. Pojawił się w nich radosny, ojcowski błysk.

— Jest marynarzem. Byłem u niego na statku. Tam panuje taka czysta, piękna atmosfera koleżeństwa i pracy. Znakomici ludzie. To wspaniały zawód, niezależny, tak z żywiołem w harmonii.

I w tym zapewne była tęsknota za życiem normalnym, jasnym, ludzkim celem podporządkowanym. Oddech orzeźwiający. Statek i syn. Odtrutka na jego mroczne, wynaturzone problemy. Długo patrzył na fotografię syna. Młodego marynarza, krzepkiego i uśmiechniętego szeroko, opartego o reling na tle komina, lin, dźwigów, szalupy.

— Lecz o niego też się boję — niepokoje zamigotały oczy działacza — żeby w związku z moją sprawą jakichś kłopotów nie miał.

Wzdrygnął się Onio. Jak po złym śnie. Zaszczuta twarz tamtego. Jego głos wibrujący histerią. Wyjazd! Wyjazd jako szansa. Z zaduchu na świeże powietrze. Nie cieszył się jednak. Może za późno to przyszło?

— W takim razie pozostaje wyjazd za granicę — przeszedł Profesor do kuszenia w tamtej pamiętnej rozmowie. Był przejęty nastrojem swojego ulubieńca.

— Zbyt wrażliwie reaguje pan na kolce tutejszej struktury. Zmęczenie, kochanku, brak odporności. Najbardziej realny będzie uniwersytet w Harvard. Mam tam kilku przyjaciół. Mój bliski kolega jeszcze z politechniki lwowskiej, wybitny autorytet, niedawno został *chairman*'em wydziału. Sądzę, kochanku, że tam znajdziesz wreszcie prawdziwą możliwość naukowej i ludzkiej swobody. Choćby sam język. W języku odbija się dusza narodu.

Precyzyjny, jasny. Sam dla relaksu często zaglądam do ich literatury pięknej.

Uśmiechnął się zagadkowo. Sięgnął do szuflady biurka. Wyglądził arkusiki papieru zapisane starannym maczkiem.

— Oto analogiczna sytuacja — powiedział — list zza oceanu. Wyjechał i został. Też był moim studentem niegdyś. Czytaj. — List był treści następującej — „Zna mnie Pan Profesor dosyć dobrze. Jestem uczciwym i prawdomównym człowiekiem. Uważam również, że nie można nazwać mnie karierowiczem ani cynikiem w żaden sposób. Nigdy nie interesowałem się ideologią i jej rolą w naszym życiu, bardziej natomiast pewnymi regułami etycznymi, którymi winien kierować się człowiek bez względu na aktualną sytuację społeczno-polityczną. Na pewno jestem patriotą w sensie swoich powiązań narodowych i poczucia powinności ojczystych. Nawet dostrzegam w sobie dużą dozę pierwiastków sentymentalnych w tym zakresie. Z rozróżnieniem wspominam wciąż tak samo żywo nasz krajobraz, ludzi, w ogóle tę trudną do określenia atmosferę polszczyzny. Status osobisty w kraju miałem dobry, żeby wymienić ten stosunkowo w młodym wieku uzyskany doktorat itp. Również moja specjalność tam w kraju podlegała małym ciśnieniom zewnętrznym czyli wpływom pozanaukowym. Reasumując byłem w naszym układzie stosunków na wysokim szczeblu, zarówno pod względem spełnień materialnych jak i ambicjonalnych. Mogę przytoczyć jeszcze inne dowody moich ścisłych powiązań z krajem. Brat, siostry, co nie jest bez znaczenia, byłem bowiem z nimi w serdecznych stosunkach. Tutaj jestem bardzo samotny. Stan ten pogłębia znana zapewne Panu Profesorowi moja nieśmiałość i trudność w nawiązywaniu ściślejszych znajomości z ludźmi. Zresztą konstrukcja psychiczna ludzi na tym kontynencie, ich doświadczenia, mentalność są dla nas Polaków szczególnie, obce, utrudniając obiektywnie możliwość wzajemnego zrozumienia się. To wszystko jeszcze bardziej pogłębia moją nostalgię, doprowadzając wręcz do apoteozy przeszłości. Nieraz wspominam wyprawy w Tatry, a nawet rekonstruuje w pamięci szkolne wakacje sprzed wielu lat. Odczuwam ponadto chroniczny głód wiadomości o naszym kraju, ludziach i zdarzeniach. Emigracją polityczną nie interesuję się raczej i nic mnie z nią nie łączy.

Przedstawiwszy Panu Profesorowi ważniejsze argumenty doprowadzające moich związków z krajem, muszę jednak stwierdzić, że tutaj w Stanach atmosfera w moim zakładzie naukowym składa się z takich oto podstawowych cech: rzetelność, uczciwość, absolutna koncentracja, jednoznaczne kryteria w ocenie naukowej jako człowieka oraz brak ingerencji w autonomiczny zakres swobód i praw ludzkich. Być może powie ktoś, małe powody małe

względny dla pojęcia tak radykalnej decyzji. Jednak one w sposób zasadniczy warunkują ludzką kondycję. Dopiero tutaj w pełni to rozumiałem i przeżyłem. Odczuwam jak błogostawieństwo brak tak typowej u nas koteryjności, dwulicowości, demagogicznego wygrywania za pomocą polityki i ideologii swoich małosłownych celów, pragnień. Tu w moim zakładzie naukowym w sposób wyłączny liczą się: umiejętność, talent, odwaga, wytrwałość i silna wola. Zwykle podstawowe kryteria współżycia społecznego, zdawać się może, banalne wyróżniki, tak oczywiste w życiu każdej zbiorowości przecież. Niestety zagubione u nas lub obudowane dwuznacznymi przydatkami, bagażem przeszłości, czy jak to jeszcze nazwać. Za każdym człowiekiem u nas ciągnie się ogon jakiś, zduszony rodowód, niejasne dziedzictwo, coś trzeba zawsze ukryć, zataić, w sumie nigdy w pełnym, rzetelnym rozumieniu nie można być sobą. W moim liście spostrzec łatwo nielogiczne zwroty, ciągle powtarzające się „tam u nas” zamiast „tam u was”, tak zapewne już pozostanie, będę połową tam, połową tu, ciągle powyższe zwroty mylić mi się będą. Proszę mi wierzyć jednak, w takich wyznaniach ważniejsze są uczucia niż rozumowe racje, że tutaj w Stanach z odległości tysięcy mil, nasze sprawy, przede wszystkim te utajone, podskórne, wiecznie jęczące, wydają mi się jak monstrualny garb. Przypominają mi się dwa poprzednie moje wyjazdy do Anglii i Szwajcarii na zaproszenie tamtejszych ośrodków badawczych. Nigdy nie opowiadałem Panu Profesorowi o powrotach stamtąd. Wstydzilem się i brzydziłem, również nie ufałem w tej kwestii nikomu. Tchórzliwe i małosłowne było moje stanowisko, ale ono przecież stanowi konsekwencję naszej sytuacji krajowej. W niektórych kwestiach panuje absolutna nieufność, a nawet zwierzęca obawa. Otóż wracając do kraju stawałem się automatycznie podejrzanym, nawet sam wobec siebie gorączkowo odtwarzając swój pobyt, każde słowo i gest. Wzywano mnie kilkakrotnie do wiadomej instytucji i rozpoczynała się smutna farsa. Indagacja na przemian wykwiłtna to znów brutalna, podchwytliwe pytania, szperanie w grubych aktach, jak mogłem przypuszczać stanowiących moje dossier, uporczywe nawroty tych samych pytań, przetykane gościnną kawą i papierosem. Proszę mi wierzyć, były to dla mnie do głębi poniżające sceny, czułem się policzkowany a reagowałem pokornie i milcząco. Raz tylko nie wytrzymałem, rozmawiałem wówczas z dwoma panami, jeden siedział za biurkiem, drugi w kącie pokoju schowany za palmą i jego pytania padały zza tego liściastego ukrycia. Miałem już dosyć wszystkiego i podniosłem się nagle z krzesła, odsuwając palmę przesłaniającą jednego z moich rozmówców. Stropił się wyraźnie. Popsułem im starannie opracowany scenariusz i taką tylko miałem satysfakcję.

Chcę jeszcze napisać, że ostatnio nawet miałem taki sen-koszmar: wracam do kraju, wzywają mnie do wiadomej instytucji, w tym śnie ona jak gmach-labirynt, a powrót do kraju to bezpośrednie wejście w ogromne wrota tego gmachu, wokół mnie osobnicy rośli, brutalni o urodzie odrażającej. I miałem w tym śnie pewność, że już nigdy nie pojedę nigdzie. Próbowiałem uciekać przez niekończące się korytarze, nogi wrastały w podłogę, tak zwykle we śnie bywa, nie można uciec. Obudziłem się spokojny. Był świt. Widok z mojego okna ładny. Campus na wzgórzach, dużo bujnej, nieco egzotycznej zieleni, z niedalekiego *high-way*'u szum jadących aut, zaczynał się *weekend*, ogrodnicy polewają klomby i trawniki. Poczułem się znów normalnie i spokojnie.

W ogóle mam jeszcze tyle do powiedzenia Panu Profesorowi, tylko forma pisemna nie bardzo odpowiada mojemu pragnieniu. Jednak jak już zapewne domyśla się Pan Profesor, inne możliwości porozumienia między nami są na razie niemożliwe...”

W mroku gabinetu czy starego Profesora za grubymi szklami pobłyskiwały zmiennymi refleksami światła. Na półkach rzędy książek w sztywnych okładkach ze złożonymi grzbietami. Cisza i wyczekiwanie. Od kilku dni żył Onio w zawieszeniu. Namawia stary gorąco. Dziś ostateczny termin. Jutro odbędzie się rada wydziału. Dlatego nie podnosił słuchawki. Jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty.

— Wymowny ten mój kolega zza oceanu — powiedział Onio półgłosem. No więc zgoda. Występuje o paszport. Czekają. Coraz dłużej czeka. Docent Błasiak uśmiecha się coraz wredniej. Wreszcie przychodzi odpowiedź. Paragraf taki a taki. Odmawiają. Wciąga się w tryby działań żalosnego petenta. Odwołania, wyczekiwanie. Jak ten jego kolega nieszczęsny z Polibudy. Do tej pory pisze i czeka. A w ogóle czy liczą się jeszcze choć trochę ze zdaniem starego Profesora? Już od pięciu lat na emeryturze. Owszem, jego wiedza, osiągnięcia. Chwała, wymieniają. Lecz on sam dla nich jest już chyba tylko efektywnym sztydem. I narodziło się zwątpienie w realność tego stypendium. Poruszył się niecierpliwie. Spojrzał z udręką na czarny lśniący telefon. Onio. Barczysty, nieco przygarbiony mężczyzna w sile wieku. Jeszcze sprawny fizycznie, dbałość o kondycję regulowana poranną gimnastyką i sportami wodnymi oraz narciarstwem w czasie urlopu. Siwizna nawet interesująca i dyskretna elegancja z przewagą brązu w ubiorze. Samochodziarz równocześnie. W przypływach optymizmu uważał, że nie poddał się jeszcze. Nadzieja w nim tliła. Błysk z nieba i zaczęnie się wspaniała, olśniewająca przemiana losu. Tak jak w młodości oszukiwał się pozorami swobody i odrębności. Jak ci biedni, zaszczeni bikierniarze w tamtych latach. Forpocza anarchistycznej wolności.

Tak wtedy uważał. Przypomniat sobie ten scenę pod rachitycznym drzewkiem na Pradze.

— Kwik i fik! — roześmiał się, znów przeżywając pokonanie mundurowego przeciwnika sprzed wielu lat. Obaj postarzali teraz. On. Tamten. Zmarszczki, siwizna, dolegliwości średniego wieku. Tyle lat temu. Ożywił się rekonstrukcją tamtej komicznej sceny. Pamiętał ją w najdrobniejszych szczegółach. Dać świadectwo swojej prawdzie. Swoim doświadczeniom. Gdzie jego własny głos? Ginie zupełnie w gromkich porykach z gigantofonu. Cudaczne zdrobienie własnego imienia jako metaforę zobaczył. Onio, rodzaj męski, nijaki. Zanurzał się z uporem w swojej niewesołej młodości. Przydeptana, w szarej tonacji, ale młodość to jednak. Cały siłą przekorną wtedy pulsował. Przypominał dawne miejsca, ludzi o błyszczących oczach widział. Co było w tamtych oczach? Przypomniane szybko zagasało. Pozostała gorycz i świadomość siły na próżno wyczerpanej. Racja po stronie starego Profesora. Walenie głową w mur. Ciągłe ten mur. Miałkość i bzdura. Skok za ocean. Inny świat. Szansa być może jedyna. Angielski zna jako tako. Uczył się wiele lat. Metodyści, kabiny ze słuchawkami, poranna płyta. Gramatyka, zasób słów, idiomy, akcent. Skok za ocean. Żadnego w tym patosu czy dramatycznej alternatywy. Po prostu ucieczka, egoistyczna szansa dla własnej egzystencji. Pieniądze, kariera, spokój, perspektywy. Jaką mógłby mieć twarz wobec przyjaciół, wrogów? Ich aproba, zazdrość. Znaczyć to będzie: przyjął reguły panującej gry. Święty, niezależny, aż tu naraz taka gratka. Bez wahania pakuje manatki. Nie pojedzie, zostanie. Dumnie odrzucił tę propozycję. Niech się Błasiak przewietrzy trochę. Żadnej w tym dumy. Ugrzązł już. Banalnie ugrzązł. Woli złorzeczyć, miotać się i rozdrapywać stare rany. Nie chce nic zmieniać. Przyzwyczaił się już. Strach wobec nieznanego. Woli posuwać się dobrze znanymi, cuchnącymi kanałami. Ogarniał go niepokój. Czyżby popadał w histerię, szaleństwo, paranoję? Te twarze... Niedawno półsen miał w gorączce. Mglista powtórka sceny, którą widział na ulicy. Kursanci Instytutu Nauk Społecznych wracali ze swoich zajęć. Wychodzą mężczyźni z gmachu udekorowanego czerwonymi flagami i transparentami. Wszyscy z plastikowymi teczkami, w których znajdują się materiały z konferencji, referaty, broszury, tezy. Dzień pogodny, ładny, liście purpurowe i żółte ścielą się na ulicy. Idą roześmiani aktywiści. Przeważnie przysadziści i otyli, te rozrosłe zasy, te rozrosłe brzuchy. Elegancja zbyt jaskrawa, zbyt dokładna wobec mody, te krawaty, spodnie, marynarki. Twarze ich kwitną szerokimi uśmiechami, sama szczerość i pogoda, lecz oczy zimne, bystre, bacznie sondują rozmówcę, nieufnie obmacują go szybkimi błyskami, bez życzliwości

te oczy, a równocześnie uśmiech szeroki, częsty, jak skurcz czy grymas. Ci mężczyźni z szerokimi uśmiechami potakują gorliwie, oburzają się to znów cieszą, szybkość tych reakcji یدie kuglarska. Wszyscy w jednego wpatrzeni. Ten jeden, jeszcze bardziej przysadzisty, jeszcze grubszy, z upartą, sytą twarzą bez cienia wątpliwości. Za tą pierwszą grupą idą następni też grupą. Przysłuchują się osobnikowi w okularach, który peroruje zawzięcie i wyciąga papiery z teczek. Słuchają go pobłażliwie i potakują zdawkowo, ziewnięcia niedbale dłonią maskując, wcale nie skępowani gadatliwym w okularach, zapewne podrzędnym jakimś prelegentem. Ta uroda współczesnych mężczyzn. Ci z warstw górnych, od rządzenia, administrowania, nauczania, aktyw właśnie, dużo w nich otyłości, dużo konferują i wysiadują, podgardla obfite, twarze fałdzyste, spojrzenia otwarte i jasne, a w środku kipiel obłudy, czujnego wyczekiwania, żeby na czas przytaknąć lub zganić, oburzyć się czy zachwycić, nieustająca pod tą napiętą formą galareta strachu, niepewności, cynizmu. Twarze mieniące się jak tęcza wieczną gotowością. Tak idą, idą. Liście sucho szeleszczą. Za dziesięć, piętnaście lat następni znów wyjdą z plastikowymi teczkami i pójdą ulicą. Idą, idą. Liście szeleszczą. Są coraz bliżej. Już pory i węgry widać na twarzach, które traciły regularność rysów, rozdymały się i w miarę zbliżania zamieniały się w jakieś zwierzęce ryjopsy. Nie chciał mieć Onio takich braci. Nie chciał mieć takich synów. Nie chciał być w takiej rodzinie.

Jechał samochodem. Podwoził do domu kolegę z Instytutu. Po lewej stronie tej arterii wylotowej z miasta, burzono starą kamienicę. Przyhamował i patrzył. Z bólem żegnał solidną, wiele lat temu wzniesioną budowlę. Jedną z ostatnich wśród nowej zabudowy w tej dzielnicy. Kolega z Instytutu mówił o jakimś wyjeździe do Wiednia, o dyrektorzce, który nikogo nie dopuszcza i krępuje inicjatywę, o docencie Błasiaku, podpierającym swoje nieuctwo aktywnością partyjną, jeszcze o kimś, kto przywłaszcza sobie cudze osiągnięcia. Onio przestał słuchać.

— Tak burzą — wyrzucał przez zaciśnięte zęby — stoi coś, mocne, oryginalne, a oni, Hunowie zasadzą się, wyskoczą i zniszczą.

W tym dramacie miejskiego pejzażu z całą jaskrawością wystąpiło jego własne rozdarcie w świecie. Wypychany zewsząd. Z osobistym emocjonalnym stosunkiem reagował na nieuchronne, architektoniczne zmiany. Zawierała się w tym istotna dla niego metafora. Obcość. Próżnia. Zahuczało. Spycharki i ciągniki ruszyły niczym czołgi. Nie ma już warownego kasztelu, obrosłej historią mieszczańskiej kamienicy.

— Co z tobą? — zdziwił się kolega z Instytutu.

— Nic — Onio klepnął się w czoło — umówiłem się z dziewczyną i zapomniałem.

— Te siksy u nas — powiedział kolega — aż piszczą za tobą.

Dla wszystkich w Instytucie był Onio osobą intrygującą. Kawaler czyli dotąd nieustabilizowany. Osiągnięcia w pracy naukowej posiada znaczne. Jednak nie rozpycha się i po szczeblach kariery nie wspina się zbyt gwałtownie. Zastanawiające i dziwaczne. Tak to komentowano. Wyśluzona Syrena ruszyła jak strzała. Paru taksówkarzy z postoju zagapiło się ze zdumieniem. Jeszcze jedna zabawa Onia. Może już ostatnia. Pod zardzewiałą, plamistą blachą Syreny krył się silnik Lanci. Cała ta Syrena toporna, rękodzielo wprost, perfidnie została dostosowana przez właściciela do harmonijnej współpracy z silnikiem. Koszty operacji były znaczne. Lecz Onio do tej sprawy przywiązywał dziecinne zgoła znaczenie i pieniędzy nie żałował. Mija wozy przednich marek, ściga się ochoczo i pozostawia za sobą rozmaite Taunusy, Ople, Peugeoty.

— *On the Road* — Onio uśmiechnął się ujmująco do kolegi — książka amerykańskiego pisarza, Jacka Keruaca, już nie żyje niestety, swego czasu bardzo popularny wyraziciel *beat generation*, James Dean i inni, pogoń za czymś nieokreślonym, niepokój i sprzeciw wobec stabilizacji, narkotyki i wolność, smutek i anarchizm, kryzys społeczeństwa amerykańskiego, ochoczo mówili u nas, młode pokolenie za oceanem straciło wiarę w sens życia, bardzo frasowali się nasi diagności, minął ten trend dosyć szybko, obecnie mamy komuny dzieci Boga, sekty buddyjskie, ogolone fby, nirwana i zen.

— Przydałoby się im trochę ruskiej piąchy — powiedział mściwie kolega z Instytutu — wszystko mają i jeszcze im mało.

— Niezupełnie się z tobą zgadzam, mój drogi — odparł Onio. Dodał gazu. Ostry zakręt. Byli już za miastem, pusta szosa. Lekki dotyk kierownicy i wóz coraz szybciej jedzie. Wiatr i świst. Mijanie wszystkiego. Poczucie swobody i dystansu. Kolega dosyć niepewnie spoglądał na tarczę szybkościomierza.

— A ja — podjął flegmatycznie Onio — pod sztandarem Keruaca właśnie.

— Uważaj — syknął kolega.

Z bocznej drogi schowanej wśród wierzb wynurzył się samochód-chłodnia. Onio po nonszalancku minął chłodnię, ocierając się prawie o srebrzysty bok kolosa.

— Ty natomiast — ciągnął — świetną willę sobie postawiłeś, teściowie zapewne dopomogli — była to aluzja dosyć gruba do tych badylarzy, w których majątek wzenił się sprytny

kolega z Instytutu — komfort zachodni, dwie łazienki, gabinet, *living-room*, dwa garaże. Czy jest tam oranżeria? Oranżerię powinieneś koniecznie. Egzotyczne kwiaty pod opieką fachowca.

Kolega spojrzał podejrzliwie. Onio zachował pokerową twarz.

— Taka willa to niewątpliwie trwały element w naszym świecie zmiennych wartości. Błasiak na pewno zazdrości.

Kolega stracił czujność i pojaśniał satysfakcją.

— No — przytaknął — tak ślepia wytrzeszczył.

Rozejrzał się po wnętrzu wozu. Też dziwaczne niebywale. Oklejone fotografiami z kolorowych magazynów. Fizyk Landau, Einstein, Mao, tajemnica żółtego wschodu. Zdjęcie amerykańskich kosmonautów. Sołżenicyn, pisarz bojownik.

— Sołżenicyn — zniżył głos kolega — żebyś nie nabawił się jakichś kłopotów.

Onio wzruszył ramionami. To był jego prywatny teatrzyk. Szybki silnik schowany pod maską, osobliwa tapicerka z portretami, ucieczki przed patrolami na szosach, wódka z sąsiadem-policjantem, studium ornowca... Tak sobie żartował. Jeszcze trująca wiadomość o stypendium nie zakiełkowała w nim. Jeszcze balansował z uśmiechem. Mała zabawa z rzeczywistością. Czy mogła wystarczać jednak? Czy nie stawiała się czasem żalosną parodią? Nagłymi zrywami próbował brać udział w działaniach społecznych. Dawne skłonności, echa młodzieńczych uniesień. Zebranie w Instytucie. Ktoś bardzo ważny z centralnego szczebla popisywał się przemówieniem pustym, gładkim i usypiającym. Słuchacze drzemali w większości. Tylko Onio wsłuchiwał się w ten potok dźwięków, zaznaczanych dość ubogą gestykulacją. Rozdrażnił go ważny z centralnego szczebla. Popatrzył na audytorium. Tylu uczciwych myślących ludzi w tym gronie przecież. Niektórzy mrugają do niego porozumiewawczo. Znać to może dowodnie, że mają własne, niezależne zdanie. Nie ulegają demagogii z mównicy. Onio energicznie poprosił o głos.

— Żądam konkretów — powiedział w ciszy napiętej — żądam szacunku dla słuchaczy. Dość mamy banału i sztampy. Domagam się rzeczowych propozycji i logicznych wniosków z przedstawionego przez nas stanu faktycznego — mówił gorąco, uczciwie i mądrze. Jednak w trakcie wystąpienia opuszczać go zaczęła swada. Wkradło się rozczarowanie i zwątpienie. Widział przecież jak powstaje wokół niego próżnia. Fizyczne poczucie tego stanu. Nieruchome, zamknięte twarze. Martwe, szklane oczy. Wrażliwsi opuścili jedynie głowy. Nikt go w rezultacie nie poparł. Wezwany następnego dnia do dyrektora Instytutu. Rozmowa pełna troski o jego los, nasycona komplementami na temat zdolności, dobrej woli i słuszności proponowanych rozwiązań, przeplatała się z aluzyjnymi pogrozkami i szantażem.

— Tu trzeba dyplomacji — powiedział dyrektor — a nie tak walić prosto z mostu.

Zgodzi się na to cholerne stypendium. Nagle o tym pomyślał. Skąd jednak można wiedzieć, czy dyrektor nie nada temu negatywnego biegu. Stary Profesor, naiwny przecież i nie zna zbyt dobrze tutejszych, krętych ścieżek.

Koledzy zwracali się do Onia z przyjacielską troską:

— Po co się wychylałeś?

— To i tak nic nie da.

— Tylko sobie narobisz kłopotu.

— I nam też.

— Wezmą na celownik cały Instytut.

— Lepiej siedzieć cicho i swoje myśleć.

Ciągle wątkowali sprawę tego idiotycznego zebrania. Nawet docent Błasiak w przystępie życzliwości zwrócił się do niego mimochodem w kłozie:

— Kolego, rozumiem wasze intencje, ale na takich nieprześlanych wystąpieniach można sobie zęby połamać — spuścił wodę z rezerwuaru i dodał — to bardzo wpływowa persona. Profesora Włodarskiego zdmuchnął jak świeczkę.

Przypuszczalnie w personalnej kartotece notowano starannie wszystkie jego ekstrawagancje. Leżą w zielonej teczuszce i czekają. Apatycznie spoglądał na telefon. Ożywił się. Taka infantylna zabawa. Jeżeli zadzwoni, podniesie słuchawkę i powie: tak. Czekaj. Nie dzwonił. Może Profesor zrezygnował. Ogarnęła go irytacja na rozterki swego pupila, machnął ręką, koniec. Błasiak w ubikacji ostrzegał. W jego mulistej, pełnej niedomówień konwencji było to niewątpliwe ostrzeżenie. Zniewolniczone rozważania. O czym? Czemu tyle myśli poświęca? Ogarnęło go znużenie. Oto droga. W dół, opadanie. Jakiś poeta o opadaniu nieźle. Pytał kolegów: — Wierzycie? W co wy wierzycie?

— Czyś ty oszalał? — dostawał odpowiedź. — Tak musi być a żyć trzeba.

Poszeptywano o nim w Instytucie. Dziwak. Nie umie się przystosować. Wieloletnie doświadczenie dyktowało tę opinię. Doświadczenie zmęczonych, przegranych, którzy pragną spokoju za wszelką cenę. Może mają rację? Błasiak, dyrektor, wszyscy. Chcą żyć. Być może i oni odprawiają wieczorami te swoje ponure godziny rekolekcji. Dlaczego mają nie odprawiać? Nie czuł do nich nienawiści. Był jednym z nich. Tylko dość miał tego po prostu. Wyjechać. Najlepiej wyjechać. Sprawdzi tam siebie. Nie uda się, to wróci. Czy to są pytania warte udręki? Ogarnęło go pragnienie obojętności, spokoju. Nieraz przychodziło takie pragnienie. Wykastrowana wrażliwość, żadnych skojarzeń i porównań. Niski pułap, płaskość wegetatywna. Rze-

czywistość jednak ciągle atakowała. Męczący stan uczestnictwa. Choćby rejestracja tylko.

Był wtedy późny wieczór. Cicho na ulicach. Gasły światła w oknach domów. Dotarł Onio na dalekie przedmieście. Zbliżył się do kościółka ukrytego w topolach. Zobaczył milczący tłum na kościelnym dziedzińcu. Ulicę przemierzały policyjne patrole. Kroki oddalały się, to znów zbliżały. Tłum w miarę narastania stukotu po bruku falował gwałtownie i szumił. Przystanął Onio zafascynowany tym niecodziennym widokiem. Wkrótce dowiedział się o przyczynie wieczornego wzburzenia. Kościółek, a właściwie barak o spadzistym dachu, schowany wśród starych drzew, od dłuższego czasu stanowił ognisko zapalne w tej dzielnicy. Fama o tym zataczała szerokie kręgi. Kilka lat temu uzyskała parafia prawo kupna placu. Wzniesiono prowizoryczną świątynię i zgromadzono cegły, deski, wapno. Jednak władze miejskie nie udzieliły zezwolenia na budowę kościoła. Starał się proboszcz, zabiegał biskup a parafianie podpisywali petycje. Ludzie zdążający na dziedziniec kościelny byli rozgorączkowani i zawzięci. Władze postanowiły zająć część kościelnego placu, motywując swoją decyzję planem zabudowy dzielnicy. Podniecenie ogarnęło również Onia. Stał i patrzył. Dał się słyszeć warkot samochodów. Elektryczność przeleciała przez tłum. Z tyłu na ślepią uliczkę podjechały policyjne ciężarówki. Onio, pracownik naukowy Instytutu, racjonalista i ateusz, poczuł nagłe zespolenie z tłumem, kłębiącym się za parkanem. Narastał w nim gniew. Zabrzmiął religijny śpiew. Onio zaciskał dłonie na sztachetach parkanu. Ktoś mocno trącił go w ramię.

— Szczęścia szukasz? — głos jak warknięcie.

Obejrzał się. Niski, pękaty, w płaszczu. Tajny.

— Patrzę — odpowiedział Onio.

— Zmykaj, koleś — groźnie naparł na niego tajny.

— Patrzę — powtórzył Onio.

Wskazał na tłum, który zawodził tę od lat ciągle przejmującą pieśń: „Do Ciebie, Panie, zanosim błaganie, Ojczyznę wolną racz nam...”. Wraz z tym śpiewem potęgowało się w nim uniesienie. Dawno zapomniane już uczucie.

— Zmykaj — powtórzył tajny i poruszył dłonią w rękawie. Z rękawa pojawiła się pałka.

— Ty śmieciu — wybuchnął Onio.

Tajny w odpowiedzi użył pałki. Bił Onia po dłoniach wczepionych w sztachety. Onio zawył przenikliwie.

— Biją — ktoś krzyknął.

Tłum jak ogromny taran zaczął zbliżać się do parkanu. Tajny czmychnął w ciemność. Noc spędził Onio na dziedzińcu

kościelnym wraz z zebranymi tam parafianami. Rozpalili ognisko i śpiewali bogobojne pieśni. Do rana pilnowali placu. Wracali Onio szarym świtem i ochłoniwszy już, analizował swoje zaskakujące doświadczenie. Emocjonalna zgodność z tłumem. Potrzeba protestu. Ponadto sam rodzaj zaangażowania. Chłodny, sceptyczny racjonalista, przynajmniej za takiego się uważał, wśród wierzących. Dewotki z zapalonymi świecami, złote chorągwie z wizerunkiem świętego patrona, ten śpiew. Temperatura jego uniesienia była jak za czasów październikowych wieców, pochodów i manifestacji. W swoim prywatnym bilansie ocenił to doświadczenie bardzo wysoko. A popuchnięte, sine od uderzeń pałki palce oglądał z satysfakcją.

— Co ci się stało? — dziwili się koledzy z Instytutu. — Pewnie pijatyka i zatarg z władzą.

— Zatarg z władzą owszem — przyznał Onio.

Koledzy uśmiechali się domyślnie i przypuszczali, że rzecz rozeszła się o kobiety.

Zazdrościli mu wyraźnie. Sami z latami obrośli w rodziny, dzieci. Stali się ociężali i nie skłonni do posunięć dyktowanych porywami serca czy pożądania. Dlatego wyobrażali sobie wciąż nowe podboje Onia. Jego lekkie, barwne i pełne przygód życie. Onio wcale nie wprowadzał ich z błędu. Uśmieшек Don Juana. Elegancja też żurnalowa. Niech tak sobie myślą. Ponadto będąc wieloletnim członkiem spółdzielni mieszkaniowej, uzyskał prawo wyboru punktu, domu itp. Wybrał miejsce ustronne i ładne. Dom-plombę, to znaczy starą kamienicę wśród nowego budownictwa. Ulica zadrzewiona, spokojna, rzadko przejeżdżały tędy samochody. Mieszkanie o metrażu większym niż standartowy, urządził sobie starannie i ze smakiem.

— Zwłaszcza z taką chatą — mówili koledzy z Instytutu. — Może baletować ile chce.

Jeszcze raz wdarła się rzeczywistość w życie Onia podczas studenckich manifestacji w marcu. Słuchał trybunów na dziedzińcu uniwersyteckim. Brudne, pokryte topniejącym śniegiem ulice wypełniły się młodzieżą o rozgorączkowanych oczach. Zobaczył policjantów wynurzających się zewsząd, słyszał tupot ich podkutych butów, białe pałki migotały w sprawnych dłoniach, a na murach pojawiły się napisy o treści żywej i namiętnej. Wyobraził sobie następne pokolenie, które podąży na przemiał historii. Towarzyszył narodzinom gorzkiego protestu, bezsilnej nienawiści, cynizmu, tępej bierności i niewolniczej pokory wreszcie. Uciekać zaczął od burzliwego życia na ulicach i dziedzińcach uczelni. Obciążony doświadczeniem swego wieku nie mógł się zdobyć na odrobinę choćby optymizmu.

— Chwilowo straciłem formę — mówił później, usiłując z dystansem powrócić do swojego tak pracowicie zbudowanego ładu i niezależności. Jeszcze później analizując spustoszenia, które jego nie ominęły również, powiedział: — I Żydów nauczyłem się wtedy odróżniać, paradoks niestety. Protestując przeciw tym hecom, zdobyłem nicomylne rozeznanie rasowej odrębności. Pouczające, prawda?

Opowiedział o instrukcji dawanej przez kolegę S. doktorowi Kobyłeckiemu.

— Dawniej Żydzi byli znaczni, panie doktorze, teraz trudno ich wyłuskać, cały szkopuł na tym polega, rozpoznać i rozpracować, jednego chyba mamy, rudy, te kudły tak mu się kręcą, a nos jaki, nie zauważył pan, doktorze? — I odprowadził kolega S. znaczącym spojrzeniem dyrektora.

Onio, który słyszał te szeptki przypadkiem, również powiódł w zastanowieniu wzrokiem za dyrektorem Instytutu.

Stary Profesor bezradnie rozłożył ręce w odpowiedzi. Wtedy miał znacznie mniej dystansu i pobłażliwości dla zgiełku historii rozgrywającej się za oknami. Na korytarzach zacisznego Instytutu też tupotały podkute buty. Dotąd spoglądał Onio ze swoistą fascynacją na kolegę S. Był to dla niego wzorcowy kondotier tutejszego formatu.

— Wierzyć w coś? Fiut — chętnie powiadał. — Dostatecznie już się na tym sparzyłem.

Odcinał się od wszelkiej wiary, poglądów. Naiwnością to nazywał. Był wyłącznie skoncentrowany w dążeniu do kariery. Cechowała go serdeczność, prostota, w razie potrzeby imitował gorące zaangażowanie. Świetnie znał sposoby, stosowane w różnych grach. Od dłuższego czasu szykował się na fotel dyrektora Instytutu. Działal jednak niezwykle ostrożnie. Wysyłał na pierwszy ogień głupców i nienawistników. Idealnego awangardzistę znalazł w osobie doktora Kobyłeckiego.

Nafaszerował go plugawą ideologią tamtych dni i wskazał ofiarę. Miał nią zostać dyrektor, ten ogar o ziemistej twarzy żołądkowca. Doktor Kobyłecki ruszył do ataku. Tępawy, ociężały w myśleniu pięćdziesięciolatek. Ponadto nie pieściło go życie. Po wojnie wyrok za przynależność do WIN-u i wiele lat złe papiery rozpychały jego teczkę w kadrach. Stał się podatny na smak jakiegokolwiek zemsty i szarżował ochoczo. Za nim kolega S., przemyślnie ukryty w cieniu, inspirator wszystkich posunięć i intryg. Mieli jednak podstawowego pecha. Złego pochodzenia nie mogli dyrektorowi udowodnić. Jeździli do jego rodzinnego miasteczka, sondowali ludzi, buszowali po cmentarzu. Na nic. Dyrektor przetrzymał nawałnicę. Minał czarny miesiąc, przyszły inne miesiące. Doktor Kobyłecki padł ofiarą złej passy, która

być może na stałe już towarzyszyć mu będzie we wszystkich poczynaniach. Zwolniono go z Instytutu. Kolega S. gładko wkroczył do nowego etapu. Dyrektor, choć doskonale zorientowany w jego poprzedniej aktywności, takiego sojusznika potrzebował właśnie. Inteligentnego, cynicznego i sprzedajnego. Toteż mocno ściskają sobie dłonie i patrzą w oczy.

— Nie ma pan żadnej rodziny — powiedział Profesor. — Lżejsza decyzja, kochanku. Przefrunie pan ocean jak ptak odlatujący na zimę.

Ptak odlatujący na zimę. Skok za ocean. Mit zaczyna działać. Spokój, dystans, zblizni się wiele ran. Wraz ze zmianą miejsca szansa na nowe życie. Praca naukowa, normalna atmosfera, zdrowe bodźce. Tak pisze ten dawny uczeń Profesora. Bez tu-tejszego fałszu, intryg, niepewności, uników i demagogii. Odczuwa jak błogosławieństwo brak tak typowej u nas... Tak pisze. Nieznany, wielki kraj. Kontynent. Przestrzeń, szeroki oddech. Bogate w doznania życie. Życie właśnie. Bzdura. Nie nadaje się już do zaczynania od początku. Jego czas już minął. Zacznie tęsknić, wyć. Samotny wśród obcych ludzi. Ani tu, ani tam. Nie był jednak przekonany. Nawet idylliczny wątek zaczął snuć. Napotka gdzieś tam cudowną dziewczynę. Spoglądał na czarny, lśniący telefon. Uparte pudło tortur.

— Kolego — wspomniał kiedyś docent Błasiak — mam dla was pozdrowienia od przyjaciół z roku, z uczelni znaczy. Bardzo serdecznie was wspominają.

Przyjął to obojętnie. Teraz powstało zastanowienie. Być może Błasiak dawał w ten sposób do zrozumienia jak wiele o nim wie. Niebezpieczny uparty kornik. Będzie drążyć aż do skutku. I rykoszetem powróciło myślenie dolne, szczurze, jak mówił. Będzie zabiegał o paszport. Patrzył wiernie i poddańczo dyrektorowi w oczy. Będzie szukał porozumienia z Błasiakiem. Tyle było w nim zmęczenia. Sygnałów starości. Pokory, strachu. Pragnienia spokoju za wszelką cenę. Bał się czasem. Strach był irracjonalny. On, samotny i bezbronny, a naprzeciw potężny, chamski tłum. Za chwilę ten tłum rozdepcze go jak robaka. Deformuje rzeczywistość, czyniąc z niej ponurą makabrę. Przyłapał się na takiej refleksji. Poczul się jak oszust. Oszust wobec własnego, niezależnego stanowiska. Ogarnęło go upokorzenie.

Mówił kiedyś Profesor:

— Władza, jej gromkie nazewnictwo, groźne nakazy i zakazy to jedynie czapa, sztuczna czapa czy klosz, którym siłą przykrywają życie, a ono samo broni się, biegnie swoim nurtem, wymyka się z tego betonowego łożyska, ludzie sami odrzucają ten prze-

— Wątpię w to — przerwał gwałtownie Onio — ten prze-szczep zaczyna się już przyjmować.

Profesor wyraźnie się zdenerwował. Milczał długą chwilę. Następnie już rzeczowym, ostrym głosem przeszedł do spraw wyłącznie zawodowych.

Rozległ się tupot kroków na schodach. Zgrzyt klucza w drzwiach sąsiedniego mieszkania. Zapewne wrócił policjant. Testowany przez niego reprezentant władzy. Stał w oknie. Noc na ulicy. Palą się latarnie. Samochód stoi po przeciwnej stronie. Syrena z silnikiem Lancii. Błazenada. Dlaczego ukrzyżował się na ramionach nierealnego dramatu? Wyjazd — równa się ucieczka. Zostać — znaczy trwać, walczyć. Co to wszystko oznacza? Nic. W pokoju też ciemno. Głowa roiła się od pytań bez końca. Od obiadu pogrążył się w wyjazdowych dylematach. Ta szarpanina jak majaki chorego umysłu. Zapalił lampę. Podeszedł do telefonu. Wykręcił numer. Usłyszał głos Profesora.

Usłyszał swój głos:

— Tak, zdecydowałem. Bardzo dziękuję, panie Profesorze, za tę propozycję. Chętnie wyjadę. Przemyślałem wszystko.

Mówi Profesor. Ucieszył się. Mówi o tamtejszym ośrodku. Mówi o badaniach, w których oni są pierwsi na świecie. Mówi o jego szansie naukowej. Mówi o *chairman*'ie wydziału. Odpowiadał dziarskimi monosylabami. Koniec. Położył na widełki słuchawkę. Po prostu kilka słów. Zwykła sprawa. Załatwione. Aż był zdziwiony banalną pointą.

— Zwijam manatki — powiedział głośno.

Poczul satysfakcję. Jednak pointa nie była wcale tak banalna. Przepełniała go pustka, znużenie jak po nocach trawionych nad papierami, kiedy borykał się nad jakimś problemem swojej specjalności. Może więcej jeszcze. Prostota rozwiązania. Odkrycie, które przychodzi nagle po tylu bezskutecznych wysiłkach i dziwi swoją oczywistością. Nie mógł już usiedzieć w domu. Przytulne wnętrza jego pokoju zamieniło się w ciasną klatkę o zgoła odmiennym przeznaczeniu. Przestronność, ład i harmonia tego pomieszczenia straciły swój dotychczasowy charakter. Wypychały, jeżeli można znaleźć słowo dla określenia jego spojrzenia, którym błakał się po ścianach, meblach, ulubionych przedmiotach i książkach. Wziął kąpiel. Ogolił się starannie. Rozmyślał też chwilę nad wyszukaniem odpowiedniego garnituru. Zrezygnował ze swetra, gdyż ten jesienny wieczór był ciepły niczym w lato. Wyszedł z domu. Pożegnalny spacer. Roześmiał się. Symboliczne określenie. Ale niech będzie. Pożegnalny spacer albo łabędzi śpiew miasta. Tak swoje wyjście nazwał i nie raził go wcale melodramatyczny patos słów w ten sposób do-branych. Szedł starym zwyczajem bocznymi ulicami, unikając

gwarnych, oświetlonych miejsc. Wstąpił do piwiarni, wypełnionej pijanym tłumem mężczyzn. Otoczył go bełkotliwy gwar, charakterystyczny dla takich lokali. Przyjemny w tej chwili. Po długim oczekiwaniu w kolejce dostał wreszcie piwo i manewrując kuflem ponad głowami chwiejnej cizby, znalazł miejsce w kącie między wahadłowymi drzwiami a szybą okienną zajmującą całą ścianę pomieszczenia. Zaczął saczyć piwo, wsparty o kontuar. Obok niego stał wyrostek najwyżej osiemnastoletni o przegubach dłoni drobno posiekanych żyłką. Pocentkowana sinawymi bliznami skóra dziwnie sprawiała wrażenie. Kojarzyła się w sposób nieodparty z pogardą dla własnego ciała. Wyrostek dostrzegł zainteresowanie w oczach Onia.

— Bierzesz pan żyłkę — powiedział wyzywająco — i ciach, ciach. Tylko trzeba głęboko, żeby dostać się do żył.

Onio trącił się z nim kuflem. Wyrostek prychnął pogardliwie.

— Jest czym się stukać.

— Słaby trunek — przyznał Onio.

— Masz pan chęć na coś mocniejszego? — zapytał wyrostek.

Onio pokiwał głową.

— Mogę przynieść — wyrostek przeciągał słowa.

Onio bez wahania dał mu stułotowy banknot. Ciekaw był czy wróci. Wrócił.

— Toni — przedstawił się.

— A ja Onio, czyli rodzaj męski-nijaki — zażartował.

Wyrostek przyjrzał mu się uważnie.

— Długo się trzymasz w tym rodzaju nijakim.

Pod kontuarem rozpieczętował butelkę i do połowy napełnił kufle.

— Chłęptaj — powiedział. Zachowywał się nonszalancko i gwałtownie. Uśmiechał się, ale oczy pozostawały ponure, skupione. Z nieco złośliwą uwagą śledził sposób, w jaki Onio opróżniał kufel.

— Alembik to nie jest — Onio z trudem zdobył się na żart.

Wyrostek przytknął kufel do ust i duszkiem wlał jego zawartość do przełyku.

— Chodzi o to, żeby w głowie zakotłowało — powiedział.

Onio wkrótce poczuł działanie alkoholu. Nie czuł już znużenia i kłębiący się wokół tłum piwoszów wydawał się zaczął nierealny. Złudne uczucie spokoju i bezpieczeństwa. Siły też przybywało.

Wyrostek obserwował go z ukosa. Znał tu wielu mężczyzn i wymieniał z nimi niedbałe pozdrowienia.

— Kiedy wyskoczyłeś? — zapytał jeden z tutejszych bywalców, mężczyzna w wieku Onia o zarośniętej twarzy ze strupami na czole.

— Będzie parę dni — odparł wyrostek.

— Wyskoczyłeś? — powtórzył Onio.

— Z więzienia — wyjaśnił wyrostek.

Rozpiął koszulę na brzuchu. Odsłonił ciało. Brzuch kreśliły grube pręgi blizn.

— Na samym początku porząłem się — powiedział wyrostek i patrzył na swoje blizny z upodobaniem. — Musieli mnie przenieść do szpitala. Jak nie zaczniesz z nimi po swojemu, to oni dopiero zaczynają...

Twarz miał zaciętą i występłą. Świadczyła o życiu, które prowadził. Życiu brutalnym i poza prawem.

— Co teraz robisz? — zapytał Onio.

— Teraz? — zastanowił się wyrostek. Zapiął starannie koszulę na brzuchu. — Szukam.

— Ja też — rzekł Onio.

— Ty? — zdziwił się wyrostek. — Jeszcze szukasz? — Wziął go za krawat. Obejrzał. Pomacał. — Dobry gatunek — powiedział.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Onio wytrzymał jego spojrzenie.

— Z nudów — powiedział Onio.

Wyrostek z poszatkowanym żyłką ciałem stał się dla niego cofnięciem we własną młodość. Wyobraził sobie siłę, gniew i niecierpliwość tego chłopaka.

— Nie wiadomo co robić — burknął wyrostek i uparcie pochylił głowę. Udręka zabrzmiała w tym skąpym wyznaniu. Onio począł zazdrościć. Zazdrość i smutek. Tęsknić zaczął za czymś skończonym bezpowrotnie.

— Jeszcze im wywinę — powiedział wyrostek. Rozlał resztę wódki do kufli. Nie zwracał już na Onia żadnej uwagi. Zapatrzony w taflę szyby, w której odbijał się zamazany tłum w piwiarni i zarysy domu po przeciwnej stronie ulicy. Krzepki wyrostek o zawziętej twarzy. Onio rozstał się z nim bez pożegnania. Szedł szybkim krokiem. Ciągle jednak myślał o chłopcu z piwiarni. Był dla niego wysłannikiem z dalekiej przeszłości. Przypadek?

Doszedł do mostu. Światła odbite w wodzie. Miasto po drugiej stronie rzeki. Co znajdzie tam? Przeszedł mostem. Późno. Pusta ulica. Stare, czarne mury czynszowych kamienic. Ulica jego młodości. Uciekał z ostatniego wiecu pod akademikiem. Osaczony tłum. Policyjne kordony. Tupot podkutych butów. Zwarte szeregi. Znalazł szczelinę w sieci. Wydostał się z matni. Bocznymi uliczkami dotarł do rzeki. Przyszedł na drugą stronę. Przystanął pod małym, wątłym drzewkiem. Gdzieś w pobliżu

powinno być to drzewko. Siusiać zaczął. Dopadł go policjant. — Pęcherz ciśnie — powiedział wtedy flegmatycznie.

Gdzie jest to nędzne drzewko? Osaczone płytami chodnika, z trudem przebijało się z jałowej ziemi, wypuszczając wątłe pędy. Gdzie ono jest? Tajny epizod jego życiorysu. Był wzburzony. Powracać zaczęły natarczywe obrazy z przeszłości. Ohydny Marian G. z czyrakowym turbanem na głowie. Jego zapiekła nienawiść. Płomienny działacz głosem czystym, porwijącym elektryzuje studentów w auli. Pochód, okrzyki. Przypadkowy trybun niesiony na rękach. Mysikrólik który nie uwierzył...

Znalazł to miejsce najważniejsze. Tylko inne to było już drzewo. Niczym nie przypominało tamtego wątłego krzaczka. Wysokie, o grubym pniu z rozrośniętymi konarami, listowie szumiło nad nim. Ucieszył się ze swego odkrycia jak archeolog dokopujący się do niezwykle cennego znaleziska. Gładził szorstki pień z gruzłowatymi naroślami. I zaświtała myśl przekorna. Natrętny, uporczywy chochlik. Zafascynowany swym pragnieniem ustawił się w kręgu światła z latarni i czekał. Czuł się jak ten wyrostek z piwiarni, który nawet żartuje ze swoim ciałem ryzykując tak wiele. Charakterystycznym sposobem oparł się ramieniem o pień drzewa i szeroko rozkraczył nogi. Starannie reżyserował realistyczne elementy sytuacji. Nadśluchiwał. Idą. Dwaj. Nocny patrol Pusto. Muszą zauważyć. Przyłgnął do drzewa i rozpoczął manipulację. Wystawił się do nich przodem, wyliczając rozważnie, że zauważą go podczas mijania i zajądą od tyłu. Minęli go obojętnie. Nie zauważyli. Dalej niecierpliwie wyczekiwał. Idzie. Jeden. Rozgląda się. Czujny. Wtedy Onio rozpoczął. Głośną strugą poleciało po pniu. Policjant przystanął. Zbliżył się. Jest już za jego plecami.

— Co wy?

Onio siusiał dalej.

— Nic — odparł — pęcherz ciśnie.

Obejrzał się. Policjant był młody, rostry. Gniewnie zmarszczył brwi.

— Chory pęcherz — Onio spróbował zażartować, jednak głos mu zadrżał i w tej samej chwili narodziła się świadomość załosnej śmieszności tego pomysłu. Naprężone mięśnie zwirowały. Z trudem zmobilizował resztki uciekających sił i z pół obrotu schwycił za klapy policjanta. Nieudolnie to uczynił spocone palce ześliznęły się po suknie munduru. Policjant uchylił się. Onio przytknął oczy i była w nim już tylko bezradność. Poczł żelazny uścisk na przegubach swoich dłoni. Szargnął się. Nie potrafił jednak wyswobodzić się z tego uchwytu. Skulił się. Policjant zmusił go do wyprostowania się bolesnym kopniakiem i powlókł pustą ulicą. Przyparł do niszy w bramie i uruchomił-

szy nadajnik przewieszony przez ramię, powtarzać zaczął w mikrofon:

— Tu Gołąb, tu Gołąb. Przyślijcie wóz.

Wkrótce nadjechał radiowóz. Kierowca wychylił się z szoferki i popatrzył na Onia.

— Pijaczek czy złodziejaszek? — zapytał.

— Taki jakiś — powiedział młody policjant. — Chciał mnie zaskoczyć i nadział się na kontrę.

— Z tobą mało kto wygra — przyznał kierowca ze szczerym uznaniem.

Młody policjant wpełznął Onia na tylne siedzenie w samochodzie. Usiadł obok niego. Kierowca grzebać zaczął w raporcie. Coś brzęczało i zgrzytało.

— Trzeba go zaobrączkować? — wyciągnął błyszczące sinawo kajdanki.

— Daj spokój — zbagatelizował młody policjant. — Nie warto.

Trącił Onia w ramię.

— Za słaby byłeś dla mnie, kolego — uśmiechnął się.

Onio posłusznie pokiwał głową.

— Wiem — wymamrotał i była w nim znużona, jałowa odrętwiałość na wszystko.

Seweryn KWARC

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów
świetnego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Archiwum polityczne

Trzecia wojna światowa (I)

I

Czy Zachód przegrał третią wojnę światową?

Kiedy Sołżenicyn rzucił to pytanie na łamach prasy zachodniej dwa lata temu i sam odpowiedział na nie twierdząco — słowa wielkiego pisarza przyjęte zostały w zachodnich kołach politycznych jako literacka metafora.

Dopiero po wypadkach w Angoli, w końcu 1976 r. poważna placówka jaką jest Instytut Badania Konfliktów w Londynie potraktował na serio tezę Sołżenicyna, że pokój ostatnich trzydziestukilku lat jest fikcją, niebezpieczną bo ukrywającą prawdziwy stan rzeczy. Dyrektor Instytutu, Brian Crozier, w studium pt. „Bezpieczeństwo i mit pokoju — sprawa przetrwania trzeciej wojny światowej” zgadza się z Sołżenicynem, że świat w rzeczywistości znajduje się w stanie wojny, odrzuca natomiast fatalistyczne twierdzenie pisarza, jakoby miała się ona już skończyć przegraną Zachodu.

Aby uprzytomnić sobie lepiej dotychczasowy przebieg „trzeciej wojny” wyobraźmy sobie na chwilę, że rozłożona na sztabowym stole mapa świata przedstawia szachownicę, na której dwóch graczy prowadzi partię szachów. Dla uproszczenia określimy ich skrótowo: „Wschód” i „Zachód”.

Rozgrywka zaczęła się od zagarnięcia przez Wschód połowy Europy po Łabę i granice Grecji. Crozier na liście następnych zdobyczy Wschodu umieszcza Chiny, Północną Koreę, Kubę, Wietnam (wpierw północny — później południowy) Laos i Kambodżę, ostatnio — Angolę. Pełny obraz przesunięć na szachownicy świata ukaże nam się jednak dopiero wówczas, gdy obejmiemy rzutem oka także te „pola”, które w chwili zakończenia

wojny należały niepodzielnie do zachodniej strefy wpływów — dziś zaś albo znalazły się poza nią, jako tzw. „kraje niezaangażowane”, albo przechodząc w różnym stopniu pod wpływ Moskwy stały się jej „klientami”. Wtedy dopiero, gdy do satelitów dodamy klientów i uwzględnimy zneutralizowany obszar „ziemi niczyjej” uprzytomnimy sobie w pełni jak dalece skurczył się stan posiadania Zachodu pod względem terytorium, ludności, potencjału gospodarczego a w pierwszym rzędzie źródeł surowców strategicznych.

Nie znaczy to, by rozgrywka była jednym nieprzerwanym pasmem sukcesów Wschodu. Ekspansja — nadmierne rozciągnięcia władzy i wpływów, rodzi sama przez się tendencje odśrodkowe. Ciosem najdotkliwszym było rozpadnięcie się komunistycznego monolitu kierowanego centralnie z Moskwy, a więc rozłam chińsko-sowiecki poprzedzony oderwaniem się Jugosławii i Albanii. Przejawami tych samych tendencji odśrodkowych były ruchy rewolucyjne wewnątrz sowieckiej orbity: w Niemczech Wschodnich (1953), w Polsce (czterokrotnie), na Węgrzech i w Czechosłowacji. Ostatnim symptomem jest zarysowujący się euro-komunizm.

Dążenia ekspansyjne napotykały niekiedy na lokalne przeszkody, które zmuszały do zatrzymania się, rzadziej do cofnięcia w jednym określonym punkcie. Bezpośrednio po wojnie komuniści przegrali kierowaną z Moskwy walkę o władzę w Grecji. Wojska sowieckie zmuszone zostały do opuszczenia północnej Persji, udaremniono zamiary wchłonięcia Zachodniego Berlina. W latach późniejszych nie udały się próby podboju od wewnątrz Indonezji a w latach ostatnich Chile i Portugalii. Na Bliskim Wschodzie utrata dwóch najważniejszych klientów: Egiptu i Syrii, klęska PLO i manipulowanej przez Rosjan marksistowskiej lewicy w Libanie — oddaliły plany opanowania Bliskiego Wschodu. Lecz żadne przeszkody tamujące drogę w jednym punkcie lub rejonie nie skłoniły do poniesienia podobnych prób na innym sektorze. Lokalne porażki, nawet klęski, nie osłabiły woli nieustannego parcia naprzód, wykorzystywania każdej nadarzającej się okazji do rozszerzenia własnego stanu posiadania lub uszczuplenia zasięgu wpływów i sił przeciwnika.

Zachód wyrzekł się od początku wszelkich posunięć ofensywnych, które mogłyby doprowadzić drugą stronę do przegranej. W obliczu ustawicznego natarcia na wszystkich polach światowej szachownicy — strona zachodnia stosuje się do narzuconej samej sobie reguły eliminującej z gry kontratak. Ogranicza się wyłącznie do osłony i poruszeń obronnych.

Co najmniej do połowy lat pięćdziesiątych Stany Zjednoczone miały w ręku absolutny monopol broni nuklearnych. W kilka

lat po Hiroszynie zapas tych broni był dostateczny, by w ciągu pół godziny zniszczyć Związek Sowiecki, jego wojska konwencjonalne, główne centra miejskie i przemysłowe. Nigdy jeszcze przewaga jednego mocarstwa nad potencjalnym nieprzyjacielem nie była tak miażdżąca. W owych latach Stany Zjednoczone samym tylko zdecydowanym zagrożeniem użycia środków masowego zniszczenia mogły nie tylko zepchnąć Rosję bez wojny z powrotem w jej granice, ale narzucić jej warunki zapewniające pokój i bezpieczeństwo być może na okres stulecia.

Głoszona z fanfarami polityka *roll-back* — odepchnięcia Rosji bez wojny — mieściła się całkowicie w sferze realnych możliwości jeszcze w roku 1956 a więc w momencie październikowego zrywu w Polsce i na Węgrzech. W trzy lata po dokonaniu pierwszego eksperymentalnego wybuchu bomby wodorowej — Rosja wciąż jeszcze nie miała arsenału nuklearnego, który pozwalałby na zastosowanie proporcjonalnego odwetu. Polityka Johna Foster Dulles'a, nadęta groźnie brzmiącymi frazesami *liberation, roll-back, brinkmanship* pękła jak przekłuty balonik, gdy czołgi sowieckie na oczach biernie przyglądającego się Zachodu wtargnęły do Budapesztu.

Zabrakło w owych latach *woli* i gotowości ponoszenia jakiegokolwiek ryzyka. Co gorsza, zabrakło odwagi spojrzenia w przyszłość — o trzy, cztery dekady dalej do momentu, kiedy amerykański monopol nuklearny skończy się i ustąpi miejsca najprzód równowadze a w następnej fazie przewadze przeciwnika. Nie chciano ani widzieć ani przemyśleć do końca wszystkich konsekwencji, jakie z takiego stanu rzeczy muszą prędzej czy później wynikać. Nie do pomyslenia było zastosowanie środków zapobiegawczych póki był na nie czas.

USA prowadziła politykę powstrzymania wówczas, kiedy mogła być jeszcze skuteczną polityką odepchnięcia. W roku 1946 wystarczyła mglista groźba, że Stany Zjednoczone nie będą przyglądać się obojętnie sowieckim wojskom okupacyjnym w północnej Persji, by skłonić Stalina do ich wycofania. Wojnie na Korei towarzyszyły publiczne zapewnienia, że Ameryka nie użyje wobec napastnika broni nuklearnej. Skończyło się na podziale półwyspu i pozostawieniu zażewia konfliktu. W obronie Zachodniego Berlina wybrano raczej niewiarogodnie kosztowny most lotniczy aniżeli — jak później w wypadku Kuby — groźbę zastosowania kontrblokady lub po prostu siły. Powstrzymanie exodusu z Niemiec Wschodnich przez wzniesienie muru berlińskiego przyjęte zostało biernie, choć stanowiło naruszenie umowy czterech mocarstw.

Dopóki zdecydowana przewaga strategiczna była po stronie Zachodu — polityka powstrzymania odnosiła poważne sukcesy.

Pomoc Marshalla postawiła na nogi gospodarkę Europy Zachodniej i uniemożliwiła jej podbój od wewnątrz. Powstanie NATO i EWG skonsolidowało ją wojskowo, gospodarczo i politycznie.

Ultimatum amerykańskie zmusiło Sowiety w 1962 roku do wycofania z Kuby zainstalowanych tam potajemnie wyrzutni pocisków nuklearnych. Prerażony własnym sukcesem i upokorzeniem przeciwnika, Kennedy zobowiązał się do powstrzymania się w przyszłości od wszelkich prób uwolnienia wyspy od reżimu Castro. Moskwa uzyskała więc „gwarancję”, która pozwoliła jej zamienić Kubę z klienta w satelitę. Po raz ostatni amerykański alarm atomowy zapobiegł desantowi sowieckich wojsk spadochronowych na Bliskim Wschodzie w roku 1973. Lecz ZSSR czuł się już dość silny, by podyktować cenę: powstrzymanie przez USA sojusznika stojącego o krok od zniszczenia wroga. Tym razem nie było jak na Kubie upokarzającego odwrotu lecz obustronny kompromis.

W dwa lata później Północny Wietnam mógł już pozwolić sobie na bezkarne podeptanie pokoju — za który Kissinger obdarzony został nagrodą Nobla — i zająć opuszczony przez Amerykanów Wietnam Południowy. Przegrana Stanów Zjednoczonych była wynikiem ograniczeń, jakie Amerykanie narzucili sami sobie. Nikt jeszcze nie wygrał wojny półśrodkami ograniczonymi do powstrzymania przeciwnika wzdłuż takiego czy innego równoleżnika. I żaden naród rządzony demokratycznie nie mógłby wytrzymać psychicznie kosztownej wojny w dalekim kraju wlokącej się osiem lat bez widoków na zwycięstwo.

Bierność amerykańska wobec pogromu porzuconego przeciwnika i znamiona wewnętrznego rozkładu po aferze *Water-gate* zachęciły do inwazji Angoli przy użyciu sowieckich okrętów i czołgów oraz ekspedycyjnego korpusu 11.000 wojsk kubańskich. Scenariusz przyszłych posunięć na szachownicy świata jest od tego czasu gotowy. Pozostaje tylko pytanie, kiedy i gdzie zostanie powtórzony.

Koniec monopolu broni nuklearnych

Aby zorientować się w sytuacji na froncie w trzydziestym czwartym roku „trzeciej wojny światowej” należy zdać sobie sprawę z ewolucji stosunku sił i obecnego ich stanu.

Mniej więcej do roku 1966 Stany Zjednoczone dysponowały taką przewagą ilościową i techniczną w broniach strategicznych, która pozwalała w pierwszym uderzeniu zniszczyć nuklearny potencjał a tym samym udaremnić odwet słabszego nieprzyjaciela. Około roku 1966 Rosja zdobyła siłę odwetowego uderzenia

nuklearnego zapewniającą możliwość zniszczenia nieprzyjaciela. (*Assured destruction ability*). Inaczej mówiąc sowiecki arsenał nuklearny przybrał rozmiary, które pozwalają Rosji przetrwać najcięższy, zaskakujący atak Stanów Zjednoczonych i zachować po nim dostateczne siły, by zniszczyć ciosem odwetowym Amerykę jako zorganizowany, nowoczesny organizm społeczny (Walter Slocombe, „The political implications of strategic parity”. I.S.S. Londyn, 1971).

Moment ten, którego nie da się precyzyjnie ustalić w kalendarzu, ma znaczenie przełomowe. Do tej chwili broń nuklearna była w rękach amerykańskich elementem odstraszać agresora a więc działającym w jednym tylko kierunku: przeciwko Wschodowi. Od tego momentu odstraszanie działa obustronnie. Paraliżuje zarówno napastnika jak i napadniętego. Prezydent USA, który zdecydował się pociśnąć guzik wyzwalający grad pocisków nuklearnych musi mieć pełną świadomość, że tym samym ruchem sprowadza nieuniknioną zagładę swego kraju. Ograniczenie ataku tylko do obiektów militarnych albo broni konwencjonalnych nie wchodzi w rachubę, nie daje bowiem żadnej pewności, że nieprzyjaciół nie odpowie totalnym uderzeniem broni strategicznych.

Osiągnięcie „równowagi strachu” bynajmniej nie wymagało arytmetycznej równości sił nuklearnych. Rosja zdobyła możliwości zniszczenia Ameryki na kilka lat zanim osiągnęła parytet ilościowy. Jeszcze w roku 1967 amerykańska przewaga pocisków balistycznych wyposażonych w głowice nuklearne wyrażała się stosunkiem trzy albo cztery do jednego. Amerykanie zakładając błędnie, że myśli własne i przeciwnika będą tym samym torem logicznego rozumowania, byli przekonani, że Rosjanie poprzestaną na osiągnięciu równowagi strachu. Skoro 400 pocisków nuklearnych w sowieckim arsenale wystarczało w zupełności, by zrównać z ziemią Stany Zjednoczone — podwojenie tej liczby kosztem gigantycznych wydatków wydawało się biorąc na ludzki rozum bezcelowe. Wniosek taki wysunęli Amerykanie wobec samych siebie wstrzymując dalszą produkcję pocisków nuklearnych i rozbudowę wyrzutni. Zastosowanie tej samej prostej logiki wobec Rosjan okazało się z gruntu fałszywe. Sowieckie zbrojenia nuklearne szły pełną parą naprzód w dziedzinie produkcji pocisków balistycznych, głowic nuklearnych, wyrzutni stałych i ruchomych na lądzie oraz łodzi podwodnych służących za pływające wyrzutnie na morzu. Rzeczoznawcy z zestawienia różnych dat wyciągają wniosek, że decyzja prześcignięcia amerykańskich zbrojeń nuklearnych zapadła w Moskwie w latach 1964/65 a więc po obaleniu Chruszczowa i zagarnięciu władzy przez ekipę Breżniewa. Już w roku 1970 Rosjanie prześcignęli USA w ilości międzykontynentalnych pocisków balistycznych

(1.300 : 1.054) jednakże Amerykanie dzięki przewadze w łodziach podwodnych służących za wyrzutnie, głowic wielopociskowych MIRV i lotnictwa strategicznego mieli wciąż dwukrotną przewagę mocy zniszczenia wyrażonej w megatonach (52 tys. : 23 tys.). Lecz Moskwa parła dalej naprzód w dążeniu do wyprzedzenia USA.

Obłądana doktryna MAD

Niegdyś Linia Maginota ze swym hasłem *on ne passe pas* rozbroiła psychicznie Francuzów walnie przyczyniając się do ich klęski. Podobną rolę spełnia obecnie amerykański arsenał nuklearny. Świat zachodni, pomimo utraty wpiętego monopolu a później przewagi broni atomowych, nie pozbył się nabytego nawyku myślowego i wciąż wierzy w nuklearny puklerz zabezpieczający przed trzecią wojną światową. Koncepcje odstraszania agresora zastąpiono tylko doktryną odstraszania wzajemnego pod nazwą *Mutual Assured Destruction* (pewność wzajemnego zniszczenia) w skrócie MAD. Nomen omen. Słowo *mad* znaczy po prostu „obłąkany” a według słownika anglo-polskiego z 1959 roku także „oszałały ze strachu”.

Doktryna MAD przyświecała Amerykanom przy zawieraniu z Rosją układów Salt I. Ponieważ w pojęciu Kissingera „wzajemne samobójstwo” odbierało wszelki sens przewadze broni strategicznych („nikt nie może wygrać wojny nuklearnej”) strona amerykańska zgodziła się uznać zasadę parytetu broni nuklearnych. W układzie Salt I Kissinger akceptował sowiecką przewagę w ilości międzykontynentalnych pocisków balistycznych (1.618 : 1.054) i łodzi podwodnych (62 : 44 wyrzutni podwodnych; 950 pocisków na 710). Przewagę sowiecką wyrównać miało Amerykanom wyprzedzenie techniczne zapewniające im o wiele większą celność, posiadanie głowic zaopatrzonych w wiązkę pocisków dających się kierować z osobna i precyzyjnie w inny cel (*Multiple Independently Targetable Re-entry Vehicles* — w skrócie MIRV) i wreszcie przewaga bombowego lotnictwa strategicznego. („Detente: An Evaluation”, *Survey* V. 20 — 1974).

Błąd polegał na przypisywaniu drugiej stronie własnych intencji a więc stabilizacji zbrojeń na umówionym poziomie. Tymczasem Moskwie chodziło o zupełnie coś innego. Salt I wprowadzając w błąd Amerykanów miał się stać punktem startowym zapewniającym zdobycie absolutnej przewagi.

Pod wpływem obłąkanej teorii MAD Amerykanie zaniechali całkowicie obrony kontynentu północno-amerykańskiego przed

atakami nuklearnym. Po cóż wydawać na ten cel krociowe sumy — myślało sobie — skoro i tak sowiecki atak nuklearny pociągnąłby za sobą unicestwienie obu stron. Dbano więc tylko o rozbudowę i unowocześnienie potężnej sieci radarowo-elektronicznej ostrzegającej przed zbliżającą się zagładą już w chwili wyrzucenia śmiertelnościanego ładunku przez nieprzyjaciela. Amerykański system ostrzegawczy służy jednemu tylko celowi: ma upewnić potencjalnego napastnika, że zaskoczenie i uniknięcie natychmiastowego odwetu nie może mu się udać. Sygnał ostrzegawczy ma zatem dać czas prezydentowi USA na zapuszczenie śmiertelnego żądła w ciało wroga przed śmiercią własnego kraju. Chodzi więc tylko o utrzymanie pewności wzajemnego zniszczenia. Ludności cywilnej — według słów gen. L. D. Clay'a (jr.), naczelnego dowódcy północno-amerykańskiej obrony powietrznej (NORAD), system ostrzegawczo-alarmowy pozwoli tylko obliczyć ile minut życia jej pozostało.

Ekspertcy obliczają, że w pierwszym uderzeniu zginąć musi co najmniej 100 milionów ludzi. Tymczasem przeciwnuklearna obrona USA i Kanady ogranicza się do 374 samolotów pocigowych przeznaczonych do niszczenia pocisków balistycznych zanim dotrą do celu. Sto wyrzutni antybalistycznych, które weszły do użytku w październiku 1975 zostało zdemontowanych zgodnie z uchwałą Kongresu powziętą w miesiąc później w duchu doktryny MAD (Roczne sprawozdanie Dep. Obrony U.S., 1976/77).

Tymczasem Związek Sowiecki właśnie na obronie nuklearnej skoncentrował największe wysiłki. W roku 1975 lotnictwo pocigowe przeznaczone wyłącznie do przechwytywania i niszczenia pocisków nuklearnych liczyło 2.550 maszyn zapewniając stronie sowieckiej siedmiokrotną przewagę. Ponadto sowiecka obrona przeciwnuklearna uzbrojona jest w 12 tysięcy pocisków antybalistycznych ziemia-powietrze SAM, rozmieszczonych w 1.650 punktach. Stany Zjednoczone i Kanada zrezygnowały z tej broni całkowicie. ZSSR — państwo kolos, cierpiące na patologiczny przerost centralizacji skupiło siły na skutecznej osłonie przed atakiem nuklearnym centralnego ośrodka władzy w Moskwie. Stolicę ZSSR otacza wieniec 64 antybalistycznych wyrzutni (ABM), skoncentrowanych w czterech miejscach wokół Moskwy. Każda wyposażona jest w pocisk typu Galosz i sprzężona z najnowocześniejszym systemem ostrzegawczym opartym na pięciu tysiącach stacji radarowych zainstalowanych wzdłuż granic ZSSR. Sprzężenie zapewnia precyzyjne ugodzenie w pocisk nieprzyjaciela zanim zdoła dotrzeć do celu. Pocisk Galosz ma zasięg 340 km. i głowicę nuklearną o sile jednego megatonu. Zdaniem ekspertów przeniknięcie przez tę zaporę amerykańskich pocisków balis-

tycznych będzie trudne lub wręcz niemożliwe. Ani jeden ABM, jak już wspomniano, nie broni Waszyngtonu, Nowego Jorku lub innych olbrzymich skupień miejskich w USA (The Military Balance 1975-76). Tymczasem w samym rejonie wojskowym Moskwy istnieje 75 wielkich podziemnych schronów przeznaczonych dla władz cywilnych i wojskowych. Niektóre ukryte są na głębokości 100 metrów pod ziemią.

Równolegle opracowywane są plany szybkiego rozproszenia ludności wielkich miast i ośrodków przemysłowych. Olbrzymie schrony podziemne pomieścić mogą zarówno ludność cywilną, jak przemysł wojenny. Wyposażone są we wszelkie niezbędne urządzenia jak elektrownie, wodociągi, gazownie i tory kolejowe łączące podziemne pomieszczenia z naziemną siecią transportu. Wojska obrony lotniczej liczą pół miliona ludzi a więc jedną czwartą całych sowieckich sił zbrojnych. Amerykanie oceniają, że około dwóch trzecich nowego potencjału przemysłowego zbudowano w znacznym rozproszeniu przestrzennym, poza wielkimi kompleksami miejskimi. Według jednego z rzeczoznawców amerykańskich Sowiety wydały w ciągu ubiegłych 10 lat sumę 65 miliardów dolarów na obronę przeciwnuklearną czyli przeszło połowę całego wojskowego budżetu amerykańskiego preliminowanego na rok bieżący. Jednakże dopiero od chwili zawarcia układu Salt I w roku 1972 i mianowania gen. Aleksandra Altunina szefem obrony cywilnej w randze wiceministra, program przybrał tempo niezwykle. „Każdy sowiecki obywatel” — oświadczył Altunin — „musi być głęboko przekonany, że istnieją środki skutecznej obrony nawet przeciwko najbardziej nowoczesnym broniom”.

Po niewczasie, bo dopiero w roku ub. zdziwieni Amerykanie skonstatowali, że Rosjanie bynajmniej nie podpisują się pod obłądną teorią obustronnego samobójstwa lecz w gorączkowym tempie szykują się do nuklearnej wojny najwidoczniej w przekonaniu, że dzięki zdobytej przewadze zdołają zredukować własne straty i przetrwać zagładę nieprzyjaciela.

W początkach polityki odprężenia Amerykanie liczyli, że organiczne słabości tkwiące w organizmie w ZSSR staną się rekojmią równowagi sił i pokoju. Pięć lat temu ZSSR znajdował się o 15 lat w tyle za Ameryką w dziedzinie badań naukowych i postępu technicznego. Organiczna niewydajność i marnotrawstwo produkcji, permanentny kryzys rolnictwa pogłębiany kolejnymi latami nieurodzajów, pierwsze symptomy opozycji — wszystko to pozwalało stwierdzić, Aleksandrowi Sołżenicynowi, że:

„dwa lata temu — kierownictwo sowieckie doświadczało tak wielkich trudności, że musiało szukać jakiejś drogi wyjścia... Myślałem, że tym wyjściem będzie droga ewolucji... Jednak dziś wszystkie te pro-

ponowane rozwiązania utraciły praktyczne znaczenie. W ciągu dwóch ostatnich lat... Zachód rzekł się swej światowej pozycji, oddawał wszystko tak pośpiesznie, uczynił tak wiele by wzmocnić tyranie w moim kraju, kapitulacja (Zachodu) tak szybko wyprowadza naszą moralną regenerację, że obecnie Związek Sowiecki może posuwać się tylko jedną drogą: rozkwitu totalizmu".

Czy Sołżenicyn zgrzeszył przesadą? W ciągu lat 1970-1976 Związek Sowiecki i jego satelici uzyskali od Zachodu kredyty, często na warunkach uprzedkolejowanych, w globalnej wysokości czterokrotnie przekraczającej całą pomoc *lend-lease* udzieloną przez USA Rosji w czasie ostatniej wojny (*Time Magazine*, 6. 9. 1976 — Elliot Janeway *Washington Star*, 8. 8. 1976). W roku 1970 zadłużenie bloku sowieckiego wynosiło zaledwie 2 miliardy dolarów — w końcu roku 1976 dosięgło sumy 45 miliardów dolarów. W jednym tylko roku 1975 Rosja i jej satelici zaciągali pożyczki w rekordowej wysokości 9 miliardów dolarów. Jest tajemnicą poliszynela, że kredyty zaciągane na zachodzie przez Polskę i innych satelitów wyciągane są następnie częściowo przez Rosję na tzw. „wspólne inwestycje” RWPG, w której części przeznaczone na zwiększoną eksploatację surowców, przede wszystkim ropy naftowej w ZSSR.

Rosja zrewanżowała się za to podniesieniem ceny ropy naftowej dostarczanej satelitom o 130 procent przelewając również i tą drogą do własnej kieszeni część uzyskanych przez nie kredytów zachodnich.

Równolegle rośnie z roku na rok deficyt handlowy bloku wschodniego. Dzieje się to niewątpliwie w wyniku świadomej swego celu polityki Moskwy. Według statystyk ONZ w początkach 1970 bilans handlowy krajów RWPG wykazywał skromną nadwyżkę w wysokości jednego miliarda dolarów. Poczynając od roku 1972 sytuacja uległa odwróceniu. W 1973 roku deficyt wyniósł jeden miliard dolarów — do końca 1975 zwiększył się do 10 miliardów a więc w ciągu zaledwie dwóch lat wzrósł dziesięciokrotnie (Carl Gerritz „The Problems of Raising Debt”, I.H.T. 8. 11. 77 — Allain Veznoles. *Le Monde*, 31. 8. 1976). Gwałtownie rosnący import, w części tylko spłacany eksportem, stanowi potężny zastrzyk dla gospodarki państw bloku wschodniego.

Dopiero w roku ubiegłym podniosły się zaniepokojone głosy i padło pytanie, jaki ma cel umacnianie bez jakichkolwiek wzajemnych korzyści potencjału przemysłowego mocarstwa proklamującego jawną wrogość wobec Zachodu?

Czy pytanie to nie padło aby za późno? Liczni wierzyciele znaleźli się dziś w przymusowej sytuacji bankiera, który ratować musi dalszymi pożyczkami bankrutującego klienta, aby samemu

nie upaść. Astronomiczne długi stworzyły stosunek jednostronnej zależności wierzyciela od dłużnika. Odmowa spłacania kapitału lub odsetek pociągnęłaby za sobą katastrofalne skutki dla całego zachodniego systemu kredytowego.

Długoletnie kredyty i dostawy zboża ułatwiły niewątpliwie zwiększone tempo zbrojeń i badań naukowych a przede wszystkim zakup na zachodzie *know how*, a więc danych technicznych i licencji. W ciągu kilku lat *technological gap* — odstęp wyprzedzenia technologicznego Rosji przez USA — został znacznie zredukowany a na niektórych odcinkach wyeliminowany. Wprowadzając do swego arsenału MIRV czyli głowice wyposażone w wiązkę pocisków nuklearnych oraz bombowce dalekiego zasięgu „Backfire”, które docierać mogą do Stanów Zjednoczonych Moskwa przekreśliła amerykańskie założenia parytetu nuklearnego ustalonego w Salt I. W roku 1972 Amerykanie przekonani byli, że sowieckim środkiem przenoszenia pocisków balistycznych na cel brak precyzji niezbędnej dla zniszczenia trzonu amerykańskich sił nuklearnych tj. 1.050 podziemnych wyrzutni międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Dziś, wobec osiągniętego przez Sowiety postępu stwierdzono publicznie, że wyrzutnie stały się przestarzałe i mogą być zniszczone w pierwszym zaskakującym uderzeniu. Akcja odwetowa musiałaby ograniczyć się w tym wypadku do wyrzutni na łodziach podwodnych i bombowcach lotnictwa strategicznego. „Pewność wzajemnego zniszczenia” podważona została z dwóch stron jednocześnie: przez rozbudowę potężnego sowieckiego systemu obrony oraz wzrost siły i precyzji ataku.

Bilans polityki odprężenia

W deklaracjach podpisanych przez Breżniewa i Nixona najprzód w Moskwie później w Waszyngtonie oba mocarstwa zobowiązały się uroczyście, że żadne z nich nie będzie usiłowało „uzyskać jednostronnych korzyści kosztem drugiej strony”.

Rzućmy więc znowu okiem na wielką szachownicę świata.

Zacznijmy od wzajemnego układu sił. Rosja prześcignęła Stany Zjednoczone w ilości międzykontynentalnych pocisków balistycznych w stosunku 3 : 2, w ilości podwodnych łodzi-wyrzutni w stosunku 4 : 3. Przewaga sowiecka wojsk wszystkich broni występuje w stosunku 3 : 2. W broni pancernej dysproporcja jest miażdżąca. Rosja ma 42 tys. czołgów, USA — 9 tysięcy. ZSSR rozporządza liczbą 35-40 tys. samochodów pancernych. Stany Zjednoczone mają ich prawie dwa razy mniej. Amerykanie zachowali jedynie przewagę sił lotniczych. Lotnictwo amerykańskie

ma ok. 5 tys. samolotów bojowych, sowieckie — 2.550.

Sowiety mają obecnie na morzach 2.441 okrętów wojennych — USA tylko 496. Stosunek ten przedstawia się dużo lepiej dla strony amerykańskiej, jeśli wyeliminować jednostki o pojemności poniżej 3 tys. ton. Wyrazi się on wówczas liczbą 451 okrętów sowieckich na 420 amerykańskich. Trzon amerykańskich sił morskich stanowi 14 wielkich lotniskowców oraz krążowniki o dużej wyporności. Jednostki te mają najmniejszą szansę przetrwania ataku nowoczesnych broni.

Nielepiej przedstawia się stosunek sił w Europie Zachodniej. Według naczelnego dowódcy NATO gen. Aleksandra Haiga siły Paktu Warszawskiego mają prawie trzykrotną przewagę w czołgach: 19.000 na 7.000; dwukrotną w lotnictwie. Blok wschodni utrzymuje od 20-30 % więcej wojska w pełnej gotowości bojowej.

Dowództwo NATO niepokoi się jednak przede wszystkim charakterem sowieckich przygotowań. Olbrzymia koncentracja broni szybkich a więc czołgów, lotnictwa atakującego i wojsk spadochronowych zdradza zamiary błyskawicznego uderzenia. Czynniki wojskowe ostrzegają, że wojska sowieckie mogą znaleźć się na linii Renu zanim NATO zdoła wprowadzić do akcji swe siły. Gdyby błyskawiczna ofensywa osiągnęła swój cel, układ sił uległby radykalnej zmianie w ciągu jednego lub kilku dni.

Najbardziej zastanawia gorączkowy pośpiech sowieckich zbrojeń. Przytoczone liczby z połowy 1975 roku nie są już aktualne. W ciągu roku 1976 Rosja wprowadziła do użytku dalsze 1.000 samolotów, 700 helikopterów, 3 tys. czołgów i 4 tysiące samochodów pancernych. Ogólny stan liczbowy wojsk wszystkich broni wzrósł według gen. Haiga w ciągu jednego roku o 1 milion, w Europie o 100.000 ludzi. Były minister obrony USA James Schlesinger twierdzi, że zbrojenia sowieckie przekraczają wysiłek Ameryki o 30 %, produkcja samolotów lotnictwa taktycznego o 70 %. Rosjanie budują cztery razy więcej okrętów wojennych. Amerykańskie wydatki na zbrojenia mierzone w realnej sile nabywczej, wykazywały do roku 1975 tendencję zniżkową. Obecnie pochłaniają nieco mniej niż 6 % dochodu narodowego. Zbrojenia sowieckie oblicza się na 15-20 % dochodu narodowego. Rzesza hitlerowska w chwili największego nasilenia swych zbrojeń poświęcała na nie 19 % procent dochodu narodowego.

Statystyki nie dają jednak właściwego obrazu stosunku sił. O sile — obok uzbrojenia i ilości dywizji decydują jeszcze dwa inne elementy: dogodnie położenie strategiczne i wola. Jeśli zabraknie jednego z nich — dwa pozostałe stają się bezużyteczne. Najgroźniejsze środki masowej zagłady stają się bezładną kupą martwej materii, jeśli zabraknie woli ich użycia. Nawet małymi

siłami można rzucić na deski znacznie potężniejszego przeciwnika, jeśli uda się przeciąć jego arterie w punktach węzłowych. Inaczej mówiąc jeśli opanowanie punktów o znaczeniu strategicznym pozwoli na zablokowanie dróg morskich i odcięcie nieprzyjaciela od dopływu surowców niezbędnych do prowadzenia wojny.

Jedną z takich węzłowych arterii jest cieśnina Hormuz prowadząca do Zatoki Perskiej. Około 80 % zaopatrzenia Europy Zachodniej i Japonii w ropę naftową przepływa tą drogą. Zakorkowanie przesmyku doprowadziłoby do unieruchomienia lub co najmniej drastycznego ograniczenia sił zbrojnych Zachodu w ciągu kilku tygodni.

Właśnie w tym celu Rosjanie zamienili port Berbera w północnej Somali w drugi Gibraltar. Najcięższe samoloty bombowe startować mogą z bieżni o długości ponad 3 km. Łodzie podwodne operujące z bazy Berbera i z południowego Jemenu mogą nie tylko skutecznie zaryglować Morze Czerwone i Zatokę Perską lecz zakłócić sytuację na Oceanie Indyjskim. Somalia, jeden z najważniejszych klientów ZSSR otrzymuje od Rosji pomoc wojskową w wysokości 132 milionów dolarów i gospodarczą w skromniejszej sumie ok. 32 milionów. Około tysiąca „doradców” sowieckich i 50 kubańskich dowodzi w Somali największą i najlepiej wyposażoną armią w Afryce wschodniej.

Budowa w gorączkowym tempie podobnych baz w Luandzie i w Lobito w Angoli służy temu samemu celowi: przecięciu szlaku morskiego wiodącego wokół Przylądka Dobrej Nadziei i Afryki południowej a tym samym dopływu surowców strategicznych. Zbrojenie przez Rosjan Mozambiku, torpedowanie pokojowego przejścia władzy przez czarną większość w Rodezji staje się bardziej zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że Afryka Południowa jest nie tylko dostawcą złota i diamentów, lecz posiada największe na świecie złoża chromu, wanadu i platyny. A co najważniejsze 11 % zaopatrzenia Zachodu w uran pochodzi z tego rejonu.

Dziewięć krajów afrykańskich stało się dotychczas klientami ZSSR (Somalia, Angola, Gwinea, Algier, Libia, Mali, Nigeria, Uganda i Mozambik). We wszystkich tych krajach działają sowieccy „doradcy wojskowi”. „Doradcy” kubańscy obecni są poza Angolą w Somali i w Gwinei. Wszystkie te kraje — do których na Bliskim Wschodzie dodać należy Południowy Jemen i Irak zbrojone są przez Rosję. W ciągu lat 1971-76 otrzymały one z Rosji pomoc wojskową w wymiarze 2,2 miliardów dolarów i pomoc gospodarczą w sumie 765 milionów.

Po drugiej stronie obraz przedstawia się odwrotnie. Na progu ub. roku Kongres uchwalił wycofanie wszystkich amerykańskich doradców wojskowych z 44 krajów do października

1977. Kierowano się obawą, by obecność ich nie wpłatała Stanów Zjednoczonych w nowy Wietnam. Równocześnie amerykańską pomoc wojskową obcięto do pół miliarda dolarów. Oszczędności podyktowane były troską o kieszeń podatnika (John W. Finney I.H.T. 15. 7. 1976).

Osiągnięciu zasadniczego celu strategicznego, jakim jest przecięcie żywotnych szlaków komunikacyjnych nieprzyjaciela, służy rozbudowa sowieckiej floty wojennej.

W chwili zakończenia drugiej wojny światowej amerykańskie siły morskie panowały niepodzielnie na wszystkich morzach świata. Za czasów Stalina sowieckie siły morskie ograniczały się do jednostek floty przybrzeżnej. Decyzja budowy floty na skalę światową zapadła albo po incydencie kubańskim w roku 1962 albo — co wydaje się ekspertom bardziej prawdopodobne — po przysięgu do władzy Breżniewa w roku 1964.

Flota sowiecka pojawiła się po raz pierwszy na Morzu Śródziemnym w 1968. Od tego czasu powiększyła się do 50-60 jednostek. W tym samym roku pierwsze sowieckie okręty wojenne wypłynęły na Ocean Indyjski. W dwa lata później odbyły się pierwsze wielkie sowieckie manewry w skali światowej prowadzone równocześnie na Atlantyku, Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. W listopadzie 1976 admirał I. C. Kidd, dowódca atlantycznej floty NATO ostrzegał, że „stosunek sił na morzu zaczyna przechylać się na stronę Sowietów”, a „rozbudowa sowieckiego przemysłu okrętowego przekroczyła wszelkie rozsądne oczekiwania” (UPI, 15. 11. 1976).

W długich wielkich manewrach pod kryptonimem „Okean 1975” udział wzięło 220 okrętów nawodnych i 95 łodzi podwodnych operujących równocześnie na pięciu Oceanach między innymi z baz na Kubie, w Gwinei, Somali i w południowym Jemenie.

Flotylla 180 sowieckich łodzi podwodnych operujących z baz na półwyspie Kola ma w razie wojny za zadanie zablokowanie drogi morskiej między Stanami Zjednoczonymi a NATO. Już dziś reprezentuje ona potencjał o wiele większy niż niemieckie łodzie podwodne w początkach ostatniej wojny. Zwiadowcze samoloty sowieckiej floty patrolują Północny Atlantyk, Ocean Indyjski i północno-zachodni Pacyfik. Przy pomocy satelitów i olbrzymiej flotyli trawlerów rybackich wyposażonych w urządzenia elektroniczne dowództwo sowieckie może w każdej chwili umiejscowić dokładnie pozycje i ruchy floty wojennej i handlowej przeciwnika. Sowieckie siły morskie osiągnęły rozmiary, które pozwalają na interwencję w każdym punkcie globu. Kuba nie mogłaby się powtórzyć w roku 1977.

Najgroźniejszą z punktu widzenia bezpieczeństwa Europy

Zachodniej jest sowiecka koncentracja w rejonie Murmańska i na Półwyspie Kola. Murmańsk i pobliskie porty nie zamierzają w zimie i dają Sowietom wolne wyjście na Atlantyk. Do wspomnianych już 180 łodzi podwodnych, które przeciąć mają drogę konwojom płynącym z Ameryki do Europy dochodzi flotylla 300 okrętów wojennych obejmujących m.in. 9 krążowników, 55 kontrtorpedowców, 22 łodzi patrolowych uzbrojonych w pociski rakietowe, 200 samolotów zwiadowczych floty i 300 samolotów atakujących (*The Economist*, 17. 7. 1976). Do floty północnej dołączył niedawno pierwszy potężny lotniskowiec sowiecki „Kijów”. Siły wojskowe skoncentrowane na granicy Norwegii liczą 110 tysięcy żołnierzy; 2 dywizje zmotoryzowane i pułk amfibii oraz 5 tysięcy piechoty morskiej. Tu również znajduje się największe skupienie sowieckiego potencjału nuklearnego. Dowódca północnych sił NATO, Anglik, gen. Sir John Sharp ostrzegał w ub. roku, że „Półwysp Kola stanowi w chwili obecnej największe zagrożenie strategiczne dla sojuszników zachodnich”.

Nikt nie ma wątpliwości, że koncentracja sowieckich wojsk lądowych na północy ma na celu błyskawiczne zajęcie Norwegii i zdobycie w ten sposób szerokiego wyjścia na Atlantyk. Siły obronne na północy Norwegii ograniczają się do jednej brygady.

Dostarczenie Norwegom posiłków drogą morską jest niemożliwe, drogą powietrzną wątpliwe. Lecz Norwegia jest pierwszym bodaj krajem NATO, który wyrzeka się z góry obrony w obawie, że przez to samo ściągnąć może napaść. Norwedzy odrzucili propozycje stacjonowania wojsk sprzymierzonych na jej terytorium i odmówili zainstalowania taktycznych broni nuklearnych. Kraj opływający w dostatki odmówił zwiększenia wydatków na obronę pochłaniających obecnie zaledwie 4,6 % rocznego wzrostu gospodarczego. Norwedzy posuwają swą ostrożność tak daleko, że w ub. roku rząd wykupił w pośpiechu opuszczony dom w pobliżu sowieckiej granicy w obawie by nie został wynajęty przez agentów CIA lub innych lokatorów niemiłych sowieckiemu sąsiadowi.

Dowództwo NATO liczy się z tym, że wojna może się zacząć od błyskawicznego zajęcia północnej Norwegii i desantu we wschodniej Danii. Sowiety nie czynią zresztą tajemnicy ze swoich intencji. Dania ma z ich punktu widzenia znaczenie kluczowe, może bowiem zamknąć cieśninę i zupełnie zakorkować flotę sowiecką na Bałtyku. Ćwiczenia pozorujące operacje desantowe przy użyciu amfibii i łodzi desantowych odbywają się w bezpośrednim pobliżu terytorialnych wód duńskich i stanowią pewnego rodzaju wojnę nerwów. We wrześniu 1976 sowiecki krążownik Świerdłowski w asyście dwóch kontrtorpedowców pozorował operację desantową na południowo-wschodnim brzegu

Danii. Okręty zawróciły na samej granicy wód terytorialnych, gdy ręce Duńczyków na stacjach ostrzegawczych dotykały już guzików alarmowych. Po kilku dniach powtórzyło się to samo. W prasie duńskiej podniosły się głosy niepokoju. Czy stacje ostrzegawcze przyzwyczajone do pozorujących operacji podniosą alarm, gdy siły desantowe zamiast zawrócić w ostatniej chwili — popłyną dalej? (Alfred Pedersen, *Washington Star*, 29. 11. 1976).

W odpowiedzi na sowieckie manewry „Okean 70” i „Okean 75” państwa NATO przeprowadziły jesienią 1976 własne manewry na Północnym Atlantyku. Wzięło w nich udział 275 okrętów wojennych, 900 samolotów, ponad 80 tysięcy ludzi. Była to największa gra wojenna w ciągu 27 lat istnienia NATO. Po jej zakończeniu wiceadmirał John Shanavan, dowódca 2-ej Floty amerykańskiej oznajmił na konferencji prasowej, że w razie wojny siły morskie sprzymierzonych będą musiały stoczyć bitwę trwającą od 2 do 6 miesięcy zanim Atlantyk zostanie otwarty dla konwojów płynących z posiłkami i bronią ze Stanów Zjednoczonych i Kanady do Europy Zachodniej (Reuter, 3. 9. 1976).

Równie niepokojąco kształtuje się sytuacja w innym strategicznym węzłowym rejonie — na południowej flance NATO. Grecja i Turcja stanowią do niedawna główne punkty oparcia dla floty i lotnictwa amerykańskiego we wschodniej części morza Śródziemnego. Oba kraje tworzą jak gdyby drzwi bramy zamykającej w razie wojny dostęp flocie sowieckiej do basenu śródziemnomorskiego. Wyspa Kreta jest strategicznym kluczem do panowania na tym morzu. Olbrzymie amerykańskie stacje elektroniczne na Krecie rejestrowały do niedawna wszystkie poruszenia floty sowieckiej w tym rejonie. Port Sauda Bay został przez Amerykanów ogromnym kosztem zamieniony w wielką bazę zaopatrzoną w podziemne magazyny paliwa i amunicji. Sauda Bay rozbudowana została do rozmiarów mogących pomieścić całą szóstą flotę USA. Amerykańskie wyrzutnie pocisków balistycznych chroniły Grecję od strony Bułgarii. Wojskowe lotnisko w Atenach stało się głównym ośrodkiem amerykańskiego lotnictwa patrolującego.

Wytrwała propaganda anty-amerykańska w Grecji wydała owoce w chwili wybuchu konfliktu cypryjskiego. Pod naciskiem opinii publicznej w Grecji, która obciążała Amerykę odpowiedzialnością za brak pomocy przeciwko Turkom, rząd grecki wycofał swe siły zbrojne z NATO i przestał być klientem Stanów Zjednoczonych. Obecność Amerykanów na Krecie i w samej Grecji zredukowana została do minimum. Baza Sauda Bay, lotniska wojskowe i stacje radarowe opustoszały.

Ankara była od lat najwierniejszym sojusznikiem Stanów

Zjednoczonych. Wstrzymanie przez Kongres pomocy wojskowej dla Turcji nie doprowadziło do odzyskania Grecji, pociągnęło za sobą natomiast naruszenie przymierza z Turcją i zamknięcie amerykańskich instalacji nad Morzem Czarnym. Były one jakby peryskopem pozwalającym Amerykanom śledzić przy pomocy najnowocześniejszych urządzeń elektronicznych poruszenia i przygotowania wojskowe w głębi Związku Sowieckiego. Stany Zjednoczone zrywając z Turcją oślepiły same siebie. Embargo dostaw broni i części zamiennych osłabiły poważnie potencjał wojskowy najwierniejszego sojusznika. Nawet jeśli embargo zostanie cofnięte wzajemne stosunki nie powrócą już nigdy do stanu poprzedniego.

Po sześciu latach polityki odprężenia, w chwili, gdy po raz pierwszy odezwały się zewsząd głosy alarmowe układ sił uległ już gwałtownemu przesunięciu na korzyść Rosji. Stany Zjednoczone mają dziś o połowę mniej okrętów wojennych, niż w końcu lat sześćdziesiątych o 31 % mniej samolotów floty, o 23 % mniejszy personel marynarki. Siły wojska lądowego zredukowane zostały o 600 tys. żołnierzy, lotnictwo ma mniejszą ilość samolotów bojowych.

Dwie wykładnie polityki odprężenia

Od samego początku amerykańska wykładnia polityki odprężenia różniła się diametralnie od interpretacji sowieckiej. Na progu *détente* Nixon obwieścił światu bezpowrotny koniec ery konfrontacji i początek nowej ery negocjacji. Słynne słowa Neville Chamberlaina zapowiadające bezpośrednio po Monachium, a na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej, „pokój w naszych czasach” (*peace in our time*) znalazły niemal dosłowne echo w sloganie Nixona zwiastującego „pokój całemu pokoleniu” (*generation of peace*).

Mogłoby się zdawać, że tak jak w czasach *appeasement*'u nie zaglądano do „Mein Kampf” tak w początkach polityki odprężenia jej amerykańscy architekci głusi byli na słowa strony przeciwnej.

W tym samym czasie, gdy Nixon zapowiadał bezpowrotny koniec konfrontacji — kierownictwo sowieckie w tysiącach oświadczeń powtarzanych i powielanych na wszystkich szczeblach i przez środki masowego przekazu całego bloku komunistycznego wybijało nieskończoną ilość razy, że polityka odprężenia nie oznacza końca walki z kapitalistycznym Zachodem, lecz jedynie taką zmianę taktyki i metod, która doprowadzi do ostatecznej klęski i upadku demokratycznego Zachodu *bez uciekania się do wojny*

między supermocarstwami. Odręczenie ma więc jedynie ułatwić ostateczny pogrom Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

„Doświadczenie uczy — objaśniał Breżniew uczestników konferencji partii komunistycznych w Karlovych Varach w 1967 roku — „że zimna wojna” i konfrontacja wojskowa bloków utrudniają działalność rewolucyjnych sił demokratycznych. W warunkach napięcia międzynarodowego uaktywniają się elementy reakcyjne w krajach demokratycznych, wojsko podnosi głowę, tendencje antydemokratyczne ulegają wzmocnieniu. I odwrotnie, kilka ubiegłych lat pokazało zupełnie jasno, że w warunkach rozluźnionego napięcia międzynarodowego wskazówka barometru politycznego przesuwają się na lewo” (cyt. w referacie Dr. L. Łabędzia przed Podkomisją Senatu USA. 12. 7. 1973).

„Pokoju koegzystencja” — mówił Breżniew w roku 1972 — „opiera się na systemie zasad, które umożliwiają uniknięcie większego konfliktu międzynarodowego w trakcie rozwijania rewolucyjnych procesów wewnątrz poszczególnych krajów” (*Problemy wojny i pokoju*. Krytyczna analiza teorii burżuazyjnych. Moskwa 1972. Cyt. przez Foy D. Kohlera w pracy „Sowiecka strategia na lata siedemdziesiąte”, Miami 1973).

Do tych cytat można chyba dodać jeszcze dla przykładu wypowiedź organu węgierskiej partii *Nepszabados* (12. 6. 1966) wzywającą do nieustannego powtarzania, że „polityka pokojowego współistnienia nie jest niczym innym, jak specyficzną formą międzynarodowej walki klas rozgrywającej się w dziedzinie stosunków międzypaństwowych, która poważnie pomaga w realizowaniu ostatecznego celu... zwycięstwa socjalizmu w skali światowej”.

Słowa Breżniewa, że cel ten ma być osiągnięty bez konfliktu zbrojnego na większą skalę nie pozostają w żadnej sprzeczności z gorączkowym tempem zbrojeń, które zapewnić mają Rosji przynajmniej przewagę wojskową. Zbrojenia robi się nie po to, by użyć broni, lecz przeciwnie, po to by zastosowanie jej nie było konieczne. Odnosi się to w równym stopniu do agresora, jak i napadniętego. Napastnik mobilizuje swe siły, by zmusić ofiarę do ustąpienia bez walki. Zagrożony agresją zbroi się, by napastnika odstraszyć od ataku. Sowiecka przewaga militarna czy nawet równowaga wojskowa zabezpieczyć ma przed generalną kontrakcją Zachodu postępy „wojny ideologicznej”.

Prezydent Carter jeszcze przed wyborami zapewniał, że broni nuklearnej użyłby tylko w wypadku, gdyby zagrożone zostały najbardziej żywotne interesy Stanów Zjednoczonych. Ponieważ najbardziej żywotnym ze wszystkich żywotnych interesów jest przetrwanie narodu na powierzchni ziemi — słowa te można rozumieć tylko w ten sposób, że żaden Prezydent Stanów Zjednoczonych nie sięgnie pierwszy do oręża nuklearnego. Nie wypowie także wojny konwencjonalnej nie mając pewności czy przeciwnik nie zamieni jej w pojedynek nuklearny. Gdy przyjdzie bowiem

do powzięcia dramatycznej decyzji każda stawka, nawet tak wielka, jak Berlin Zachodni, lub cała Europa Zachodnia okaże się zbyt niska w stosunku do totalnej zagłady narodu amerykańskiego czy choćby tylko połowy jego ludności, jaką przynieść by musiał w ciągu godziny sowiecki odwet. To samo odnosi się do Moskwy. Tak długo przynajmniej dopóki palec na cynglu trzymają tam ludzie przy zdrowych zmysłach. Nawet jeśli sowiecka obrona przeciwnuklearna pozwoliłaby — jak twierdzą eksperci — zredukować ofiary pierwszego uderzenia do 10 % ludności, oznaczałoby to śmierć w ciągu paru minut dwudziestu kilku milionów ludzi. Tylko szalenie mógłby powążyć się na ryzyko nie dających się przewidzieć skutków ubocznych, jakie musiałby pociągnąć za sobą kataklizm w tej skali i związane z nim powszechny chaos i panika. Po cóż jednak Moskwie atak nuklearny? „Wojna nuklearna — powiedział Sołżenicyn przed kamerami telewizji BBC — nie jest w ogóle potrzebna. Mogą was po prostu wziąć gołymi rękoma”.

(dokończenie nastąpi)

Jan NOWAK

Korespondencja z Rzymu

W sytuacji świeckiego ruchu katolickiego nastąpiło dalsze pogorszenie. Pośpiech i nieprecyzyjne informacje, podawane w grudniu przez agencje zachodnie, spowodowały że zakończenie mojej noty o „Znaku” i p.s. poprzedniej korespondencji zawierały pewne nieścisłości. Organizacyjno-administracyjny aspekt sprawy spółki „Libella” jest *nota-bene* tak zawikłany, że nie trudno o omyłki. Nawet krajowcom nie łatwo się w tym połapać. Spróbujmy mimo to podać rozwiązanie tej łamigłówki. Spółka „Libella”, w której większość udziałów posiadał i gestię sprawował warszawski Klub Inteligencji Katolickiej (KIK), finansując m.in. wydawanie miesięcznika *Więź*, nie przeszła pod zarządek państwowy, lecz uległa likwidacji. Władze państwowe pod pretekstem „nie dokładności” buchalteryjnych w zarządzaniu, stwierdzonych przez Najwyższą Izbę Kontroli, odebrały temu Klubowi prawa działalności gospodarczej. Oznaczało to uniemożliwienie sprawowania „patronatu społecznego” przez dotychczasowych właścicieli i zarządców, na jakim oparty jest tzw. czwarty sektor gospodarczy. W tych warunkach groził zarządek państwowy. Nieco wcześniej grupa ODISS (czyli koło poselskie neo-„Znak”) otrzy-

mała prawa działalności gospodarczej dla nowopowstałego PKIK (Polskiego Klubu Inteligencji Katolickiej) i koncesję na utworzenie spółki pod nazwą S.Z.P. (Społeczne Zakłady Przemysłowe). Grupa ta, widząc co się święci, zwróciła się do władz o przejęcie zarządu „Libelli” (w stanie likwidacji) z tym, że będą ustalone nowe kryteria repartycji funduszy. Uczyniła to również na skutek inicjatywy mediacyjnej episkopatu, zaniepokojonego tą sytuacją i dążącego do uratowania egzystencji KIK-u oraz „Więzi”. Urząd d/s Wyznań został przez episkopat zawiadomiony że wszelka dalsza presja, zmierzająca do zakneblowania działalności niezależnych środowisk katolickich, będzie uważana za niedopuszczalny nacisk na Kościół. Równocześnie cztery kluby (w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Toruniu), redakcje pism *Więź*, *Tygodnik Powszechny*, *Znak* oraz dom wydawniczy „Znak”, zwróciły się do władz z kompromisową propozycją podziału „Libelli” na dwie odrębne spółki w celu swobodnego egzekwowania prawa własności i zarządu, co umożliwi autonomiczne finansowanie działalności. Urząd d/s Wyznań uchylił się jednak od rozpatrzenia tej propozycji pod pretekstem, że strony „w sporze” powinny same znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Po dokonaniu swego „zamachu stanu” nie chciano stwarzać pozorów arbitrażu. „Libella” w ten sposób formalnie i praktycznie zlikwidowana, wchłonięta została przez nową spółkę (S.Z.P.) znajdującą się w gestii posłów Łubieńskiego i Zabłockiego. Ci ostatni obiecują że budżet warszawskiego KIK-u i *Więzi* będzie zabezpieczony. Zainteresowani obawiają się jednak, że zależność materialna może przemienić się również w zależność polityczną.

W tej niezwykle krytycznej sytuacji i napiętych stosunkach pomiędzy partią a opozycją demokratyczną i Kościołem, poseł Zabłocki uznał za politycznie wskazane zwołanie w dn. 19 stycznia zebrania tzw. komitetu łączności międzynarodowych spotkań „Dialog i Kooperacja”. Komitet ten powołano na spotkanie w Brukseli w 1975 roku, w którym wzięło udział kilkunastu przedstawicieli zachodnich partii chrześcijańsko-demokratycznych (Belgii, Holandii, Francji, NRF i Włoch) oraz kilkunastu delegatów grupy ODISS. Inicjatywa obecna wywołała wątpliwości wśród zachodnich chadeków głównie z uwagi na jej *timing*, a wśród Włochów oprócz tego pewne skrupowanie: wyjazd do Warszawy dla debatowania o „dialogu i kooperacji” nie wydawał się celowy i pożądany. Po konsultacjach ustalono jednak, że ci co chcą pojechać udadzą się na własną rękę (*a titolo personale*), w charakterze nieoficjalnym i nawiążą kontakty również „z drugą stroną”, tzn. z KIK warszawskim, *Więzią* i *Tygodnikiem Powszechnym*. Cel wyprawy określono jako rozpoznawczy. Kilku członków „komitetu łączności” z zaproszenia nie skorzystało (m.in. dr Hahn, wicesekretarz Europejskiej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej oraz poseł Luecker z niemieckiej CDU). Pojechało trzech Belgów, dwóch Francuzów z C.D.S. i jeden Włoch. Nie pojechał nikt z NRF. Po powrocie uczestnicy tej raczej niewydarzonej eskapady oświadczyli, że rozłam w „Znaku” jest głębszy niż przypuszczali i wydaje się nieodwracalny. Przeprowadzono również rozmowy z Mazowieckim i Stommą. Zdaniem zachodnich chadeków, grupa Zabłockiego jest izolowana.

Duże wrażenie wywołał na gościach zagranicznych fakt, iż do K.O.R. wszedł ostatnio adw. Stefan Kaczorowski, b. sekretarz generalny Chrześcijańskiej Demokracji (do 1937 roku) i b. prezes stołecznego zarządu Stronnictwa Pracy w czasie okupacji. Inny, b. wybitny działacz Stron Pracy adw. Wł. Siła-Nowicki, znany obrońca w procesach politycznych i ostatnio robotniczych, jest cenionym mężem zaufania K.O.R.-u. Pozostali w kraju dawni działacze Stronnictwa Pracy zachowują w najlepszym razie neutralność wobec zaistniałego rozłamu w łonie ruchu „Znak”.

W kraju wytworzyła się dziś nowa sytuacja. Znikły nie tylko dawne podziały ale zmieniły się również reguły gry. Obok liberalnych intelektualistów i działaczy ruchu oporu, socjalistów, ludowców i chadeków, we fronsie opozycji antytotitarnej pojawiają się wciąż rosnące zastępy młodych ludzi o różnych orientacjach demokratycznych. Ewentualne różnice programowo-ustrojowe nie grają dziś decydującej roli — przyjdzie na to czas. Łączy te środowiska troska o położenie kresu zorganizowanemu zakłamaniu i bezprawiu, o demaskowanie niesprawiedliwości i łamania praw człowieka i obywatela. Episkopat sprzyja tym dążeniom i zdaje sobie sprawę nie tylko z doraźnych niebezpieczeństw, jakim należy stawić czoła, ale również ze znaczenia długofalowego procesu zbliżania się nowych kręgów lewicy demokratycznej do humanistycznych założeń katolickiej myśli filozoficznej i społecznej. Dawne przedziały, a zwłaszcza tradycyjny antyklerykalizm lewicowy — mówi mi pewien przedstawiciel naszego episkopatu — znikają, „nowe” zaś wartości nabierają wagi w odczuciu społeczeństwa. Jest to — zdaniem biskupów — zwrot o historycznym znaczeniu i o nieodwracalnych skutkach. Pewne czynniki partyjne dla ratowania *in extremis* rozkładającego się autorytetu i monopolu władzy, starają się i na pewno będą usiłowały nadal działać w kierunku rozbijania tej jedności antytotitarnej opozycji, wbijania klina pomiędzy Kościół i kręgi nowej, demokratycznej inteligencji i prowokowania rozdziewków w świeckim zapleczu Kościoła. Partia będzie nadal premiować różne miernoty, posłusznych chwilejnych lub konformistycznych nastawionych obywateli, szykanować zaś i tępić niezależnych i odważnie deklarujących swe stanowisko. Obecność chrześcijańskich intelektualistów i działaczy, duchownych i świeckich, we fronsie opozycji antytotitarnej, nie dotyczy tylko Polski, ale również innych kdl.

Dominik MORAWSKI

Pisane 7-8 lutego 1977.

Kraj

Rolnictwo po raz trzeci*

Pytaniem narzucającym się każdemu jest: czy obecne trudności w zaopatrzeniu miast w niektóre podstawowe produkty rolne mają charakter przejściowy wynikający z jakichś doraźnych przyczyn lub niedopatrzeń, które uda się w stosunkowo krótkim czasie usunąć, czy też mamy tu do czynienia ze zjawiskiem o głębszych przyczynach, których nie da się przezwyciężyć kilkoma zarządzeniami władz. Innymi słowy: czy w nadchodzących latach społeczeństwo polskie — przede wszystkim miasta — będzie miało co jeść, czy braki podstawowych artykułów spożywczych nie rzucą cienia na osiągnięcia w innych dziedzinach, czy nie „zepsują smaku” wzrostu stopy życiowej liczonej w lodówkach, telewizorach i samochodach?

Trzy pojęcia stoją tu do rozważenia: *gospodarka żywnościowa*, *produkcja rolnicza* i *polityka rolna*. Gospodarką żywnościową intensywnie zajmuje się ostatnio nasza publicystyka, produkcja rolnicza jest tematem licznych wypowiedzi władz, o polityce rolnej słyszy się najmniej, a z reguły utożsamia się ją z zarządzeniami mającymi sprzyjać produkcji. Tymczasem trzy wymienione pojęcia bynajmniej nie oznaczają tego samego, nie są nawet różnymi stronami tego samego zagadnienia. To trzy odrębne — acz od siebie zależne — dziedziny poczynić ekonomicznych, organiza-

cyjnych i społeczno politycznych — trzy fazy procesu prowadzącego od struktury i organizacji gospodarki rolnej w skali państwa aż do zaopatrzenia społeczeństwa w jej owoce.

Uwagi poniższe będą dotyczyły przede wszystkim polityki rolnej a więc tej dziedziny, która leży u podstaw całego problemu. Polityka rolna, szczególnie w naszej złożonej sytuacji, ma realizować równocześnie dwa cele: perspektywiczny i doraźny, ma zapewnić rozwój społeczny i ekonomiczny wsi w kierunku socjalistycznie pojętej nowoczesności, a jednocześnie prowadzić ten rozwój bez przerw w produkcji, przy stałym jej podnoszeniu i doskonaleniu zgodnie ze społecznymi potrzebami. Czy te dwa cele są równocześnie osiągalne? Złożone historyczne przyczyny spowodowały, że rolnictwo polskie poszło inną drogą niż w pozostałych krajach naszego obozu, gdzie przejścia do wielkoobszarowej (spółdzielczej i państwowej) gospodarki dokonano jednorazowo, administracyjną „rewolucją”. Pociągnęło to za sobą długotrwałe skutki ekonomiczne; kraje o wyższym poziomie rolnictwa i technicznego wyposażenia przeszły przez okres depresji produkcyjnej szybciej, kraje rolniczo zacofane do dziś z tej depresji wybrnąć nie mogą. Fakt, iż konieczności zmusiły nas do pójścia inną drogą niż pozostałe kraje obozu, stworzył w odczuciu czynników kierowniczych stan anormalności (czy wręcz „odchylenia”), zaś te strony partnerów atmosferę politycznego i ideologicznego nacisku na wyrównanie frontu — wszystko to przy równoczesnej dezorientacji i całkowitym braku koncepcji, jak przeprowadzić socjalistyczną przebudowę wsi innymi metodami niż „administracyjnej rewolucji”, tzn. przez przymusowe kolektywizowanie gospodarstw chłopskich.

Problemy wsi i rolnictwa są dziedziną, w której najgłębiej bodaj zakorzeniły się dogmaty i przesady ukształtowane w końcu ub. stulecia. Choć w ciągu ostatnich 50 lat dokonało się w światowym rolnictwie wiele przewrotów, mimo bogatych doświadczeń w tej dziedzinie zarówno w krajach kapitalistycznych jak i socjalistycznych — przesady i zabobony dominują w myśleniu, a socjalistyczni przywódcy w dalszym ciągu nie mogą zrozumieć, dlaczego chłopci polscy nie chcą dobrowolnie przejść do zespołowego gospodarowania, mimo że jest ono wyższą formą. Przyczyny oporu widzą w kapitalistycznych nawykach, w duszy „kułaka” drzemącej w każdym indywidualnym chłopie rolniku.

Być może zresztą, że gdyby idea spółdzielczości rolniczej od początku realizowana była z myślą o racjonalnym organizowaniu produkcji rolnej a nie jako przewrót polityczny z jawną pogardą dla wszelkiego ekonomicznego i społecznego sensu — być może znajdowalibyśmy się w innym punkcie tego procesu. Praktyka z jaką zetknęła się wieś w latach 50-tych, bezsensy, gwałty i zwy-

* Dwa razy autor niniejszego artykułu czuł się zmuszony zabierać głos w sprawach polityki rolnej: w artykułach opublikowanych latem 1956 roku pt. „Ekonomia księżycowa”, oraz w roku 1969 w broszurze *Kryzys rolnictwa, czy kryzys polityki rolnej* — przesłanej KC PZPR a później wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu. W drugiej pracy autor wyjaśnia sprawy elementarne: genezę socjalistycznego programu rolnego i przyczyny jego sprzeczności z państwowymi kryteriami ekonomii. Wywodów tych nie powtarzamy przyjmując, że czytelnik zdążył się z nimi zapoznać.

czajna głupota zadały idei zespolowego gospodarowania śmiertelny cios, odstraszyły wieś od poszukiwań w tym kierunku na wiele pokoleń. Najsmutniejsze, że czynniki kierownicze zdają się całkowicie nieświadome roli, jaką tu same odegrały, są przekonane, że wina leży po stronie chłopów, ich nieświadomości i konserwatyzmu.

Polityka rolna władzy ludowej

Załamanie się w roku 1956 stalinowskiego systemu terroru pociągnęło za sobą rozpad sztucznie i pod przymusem stworzonych spółdzielni produkcyjnych, pozostały nieliczne oparte na tradycji wspólnego gospodarowania, złożone z gospodarstw byłych robotników rolnych nadzielonych obszarniczą ziemią. Nasza polityka wobec wsi stanęła na dramatycznym rozdrożu. Zrozumiano, że trzeba zrezygnować z przymusowej rewolucji, ponieważ metoda ta poza wszystkimi innymi kosztami dała mizerne rezultaty — po pięciu latach heroicznych wysiłków partii spółdzielnie objęły nikły odsetek gospodarstw chłopskich. Osiągnięto za to inny cel — radykalny spadek produkcji rolnej.

Co zatem robić? Cel pozostał ten sam — możliwie szybkie skolektywizowanie wsi, ale osiągnąć to należy metodami „łagodnymi”. Tymczasem zaś popierać z konieczności indywidualną produkcję, zachowując równocześnie czujność wobec kapitalistycznych elementów wiejskich. Głównym klasowym wrogiem pozostał wiejski wyzyskiwacz „kułak”, według tradycyjnych rosyjskich kategorii.

Można powiedzieć, że ta antykapitalistyczna polityka partii wobec wsi znalazła tym razem pełne poparcie chłopów: zaczęła się masowa ucieczka od większych gospodarstw poprzez podziały rodzinne rzeczywiste i fikcyjne. Dążeniem chłopów stało się nie wielkie gospodarstwo plus praca poza rolnictwem, o którą było coraz łatwiej wobec szybkiego tempa uprzemysłowienia kraju. Ponadto małe gospodarstwo dawało znacznie mocniejszą pozycję oporu przed kolektywizacyjnymi naciskami. Polityka ta osiągnęła efekt nieoczekiwany: oto po wielkiej reformie rolnej, objęciu ziem odzyskanych i przy poważnym odpływie ludności wiejskiej do miast struktura rolna w Polsce nie tylko się nie poprawiła, ale nawet pogorszyła, zwiększyło się rozdrobnienie gospodarstw chłopskich. Czynniki polityczne okazywały zadowolenie z tego procesu, w każdym razie osiągnano ważny „ideologiczny” cel: osłabianie elementu kapitalistycznego na wsi. Dopiero po wielu latach wobec alarmów ze strony ekonomistów rolnych zaczęto myśleć o ograniczeniu podziałów gospodarstw. Spóźniona ustawa

w tej dziedzinie nie zdradzała zresztą żadnej myśli na temat struktury rolnej.

Wymownym wyrazem dezorientacji, całkowitego nierozumienia i sytuacji i problemu, miotania się między sprzecznościami była uchwała plenum KC w październiku 1958 roku. Oto jak oceniano sytuację:

„Szczególnie ujemnym zjawiskiem było rozwiązanie znacznej większości spółdzielni produkcyjnych. Na skutek szeregu historycznych i ekonomicznych przyczyn spółdzielczość produkcyjna w Polsce nie osiągnęła poważniejszych rozmiarów (w roku 1956 tylko 7 % gospodarstw chłopskich należało do spółdzielni produkcyjnych), w szczególności ruch ten w znikomym stopniu obejmował 'stare' gospodarstwa chłopskie. Doświadczenie lat 1950-56 dowiodło, że próby forsownego przyspieszenia tempa kolektywizacji — przy naruszaniu zasad dobrowolności oraz ograniczaniu samorządności w spółdzielniach — powodowały słabość gospodarczą i organizacyjną wielu spółdzielni, hamowały dalszy postęp ruchu spółdzielczego”.

z oceny tej uchwała wyciąga wnioszek:

„Oznacza to konieczność wzmożenia pracy nad rozwojem spółdzielczości w rolnictwie”.

uchwała zaleca:

„podział wielkoobszarowych gospodarstw chłopskich między członków rodziny... przekształcenie w gospodarstwa średniorolne”...

a równocześnie ubolewa, że:

„niekorzystną sytuację pogłębia jeszcze zjawisko dalszego rozdrobnienia gospodarstw występujące w wielu rejonach kraju”.

Uchwała zamyka się konkluzją:

„Szczególnie ujemnym zjawiskiem było rozwiązanie znacznej większości spółdzielni produkcyjnych. Na skutek szeregu historycznych i ekonomicznych przyczyn spółdzielczość produkcyjna w Polsce nie osiągnęła poważniejszych rozmiarów (w roku 1956 tylko 7 % gospodarstw chłopskich należało do spółdzielni produkcyjnych), w szczególności ruch ten w znikomym stopniu obejmował 'stare' gospodarstwa chłopskie. Doświadczenie lat 1950-56 dowiodło, że próby forsownego przyspieszenia tempa kolektywizacji — przy naruszaniu zasad dobrowolności oraz ograniczaniu samorządności w spółdzielniach — powodowały słabość gospodarczą i organizacyjną wielu spółdzielni, hamowały dalszy postęp ruchu spółdzielczego”.

Uchwała jest kompromitującym dowodem, że nikt w partii nie rozumiał problemów, wobec których stała wieś i rolnictwo, niczego nie nauczono się z własnych i cudzych doświadczeń. Cwikiem w głowie był tylko dogmat, że socjalistyczne rolnictwo musi być skolektywizowane, a o metodach wiodących do tego celu wiedziano tyle tylko, że muszą być „cierpliwe i konsekwentne”.

Pół roku później referat na III-cim Zjeździe Partii (marzec 1959) mówił o konieczności zwalczania „bogaczy wiejskich”

przechwytyjących pomoc państwa, a ówczesny minister rolnictwa przedstawił program rozwijający politykę wobec „biedoty wiejskiej”, „średniaków” i „kułaków” zamykający się konkluzją: zwalczać kułaków, ale nie ograniczać produkcji, ponieważ byłoby to „powtarzaniem starych błędów”. Ponadto „partia zwalcza i będzie zwalczać teoryjki rewizjonistyczne skierowane przeciwko spółdzielczości produkcyjnej i idealizujące gospodarkę indywidualną”.

Referenci i mówcy na tym Zjeździe zapamiętali, co mówiono o rolnictwie w Rosji po rewolucji — ale przespali całe pół wieku doświadczeń. Nie zauważono, że w ciągu ostatniego półwiecza dokonał się odwrót kapitalistycznej ekspansji w produkcji rolnej, że jedyną formą, która wytrzymała konkurencję z niezwykłym postępem techniki i wydajności w przemyśle stało się *gospodarstwo rodzinne* obywatelujące się bez siły najemnej, ta bowiem stała się niedostępna i nieopłacalna. Nie zauważono, że właśnie gospodarstwo rodzinne w rozwiniętych krajach osiągnęło niezwykle wysoki poziom wydajności, że w miarę postępów mechanizacji sięga ono 50 ha przy gospodarce intensywnej w Europie a przekracza 100 ha w gospodarce ekstensywnej w Ameryce. Nie zauważono także, że te same procesy zaznaczyły się już w Polsce, że pojęcia „biedoty” i „kułaka” straszą swoim archaizmem (co nie znaczy, że nie ma biedoty), że pojęcie „kułackiego” wyzysku paradoksalnie odwróciło swój sens — bowiem chłop zmuszony w okresie zbiorów do najęcia robotnika musi dopłacać do niego (!) aby nie stracić wszystkiego (dniówka robotnika z kosą sięga zarobku inżyniera na kierowniczym stanowisku). Nie zauważono zmiany jaka się dokonała w sytuacji przynajmniej większości drobnych rolników — w ogóle nie zrozumiano i nie zauważono niczego, co mogłoby być pomocne w zrozumieniu drogi do socjalistycznego rolnictwa w konkretnej polskiej sytuacji.

Program partii: uświadamianie chłopów „aby szli z chęcią i zdecydowaniem do rzetelnej zorganizowanej pracy we wspólnym gospodarstwie” był programem, którego beznadziejność rozumiał każdy aktywista partyjny, a świadomość ta powodowała *fałsz i obłudę* wszystkich praktycznych poczynąń w polityce rolnej. Głoszono, że „spółdzielczość produkcyjna jest przyszłością wsi polskiej”, a nie wierząc w realność tego hasła rozglądano się na boki jak przechytryć chłopą, jakich sposobów użyć, aby bez przemocy zaciągnąć go do spółdzielni.

W latach 60-tych zarysowała się nowa perspektywa: odpływ młodzieży wiejskiej do miast i zawodów pozarolniczych i rosnąca stąd ilość gospodarstw bez następców podsunęła nową wizję. Proces przejmowania gruntów chłopskich przez państwo w zamian za rentę, który jak wskazują prognozy będzie się nasilał, wydał

się znacznie realniejszą drogą do szybkiego rozszerzania socjalistycznego sektora w rolnictwie. Dla przyspieszenia tego procesu dokonano szeregu istotnych i ważnych dla wsi posunięć. Polityka ta rozpoczęła trzeci akt dramatu. Tu właśnie ujawniła się cała różnica między *ekonomią* gospodarstwa rodzinnego a gospodarstwa wielkoobszarowego — różnica, której nie rozumie żaden marksista, choć rozumiał i pisał o niej Marks (który jak wiadomo marksistą nie był). Wielkoobszarowe (prywatne czy państwowe) gospodarowanie jest znacznie droższe i co ważniejsze wymaga na wstępie nakładów inwestycyjnych. Oblicza się, że przejęcie 1 ha gruntów chłopskich przez PGR wymaga zainwestowania do 100 tys. zł. Ale nawet nie te nakłady są tu główną przeszkodą, lecz rozproszenie przekazywanych państwu gruntów a ponadto organizacyjna wydolność państwowych gospodarstw borykających się z własnymi trudnościami. W efekcie ten budzący tyle nadziei proces przyczynił się do pogłębienia zamętu, obniżenia produkcji na znacznych obszarach i ich rolniczą degradację.

Polityka zrywania mostów

Znana jest w sztuce wojennej taktyka polegająca na zrywaniu mostów, aby utrudnić posuwanie się wojsk nieprzyjacielskich. Taktykę tę stale stosowała partia w swej polityce wobec wsi, z tą tylko różnicą, że zrywała mosty nie *za* sobą lecz *przed* sobą. Były przecież w tej polityce posunięcia, które same w sobie należałoby ocenić jako słuszne i celowe. Głęboki sens mogło mieć wysunięte po roku 1956 hasło kółek rolniczych — objęcia wsi szerokim ruchem spółdzielczym ujęcia pojedynczych i samotnie borykających się z trudnymi problemami rolniczego postępu gospodarstw w jakieś organizacyjne ramy i przewyżczenia w ten sposób jednego z głównych aspektów zacofania polskiej wsi. Ale już wysuwając hasło kółek rolniczych nasze władze spaliły przed sobą wszystkie mosty. Kółka rolnicze i cała idea ruchu spółdzielczego na wsi miały być tylko parawanem dla kolektywizacji. Na wszystkich zebraniach organizacyjnych kółek partyjni aktywiści kończyli swe przemówienia sakramentalnym: „w ten sposób dojdziemy do spółdzielni produkcyjnych”. Piękna i słuszna idea sparaliżowana została u samych narodzin — chłopci odmawiali zapisywania się do kółek z obawy, że ich podpisy użyte zostaną do całkiem czego innego. Partia i jej aktyw mieli mętne wyobrażenie, co kółka mogą robić innego oprócz doprowadzenia do spółdzielni produkcyjnych, skąd zresztą mogli je mieć, skoro „idealizowanie gospodarki indywidualnej” było groźnym rewizjonizmem. Toteż organizacja kółek szła opornie, a te które powstały

wegetowały, szukały dla siebie jakiegoś dodatkowego zatrudnienia, ponieważ o ich właściwej roli nikt z mających głos nie miał pojęcia. Skąd miał je mieć, jeśli nikt i nigdy nie poddał analizie problemów stojących przed polityką rolną, nikt i nigdy nie wyjaśnił, że coś w naszym dotychczasowym postępowaniu było złego i nierozsądnego. Owszem, odrzeczono się od stosowania przymusu wobec chłopów, ale wynikało stąd tylko tyle, że trzeba robić to samo, ale „dobrowolnie”.

Podobnie uzasadnione — narzucone obiektywną koniecznością — było wprowadzenie rent dla chłopów oddających ziemię państwu. Mogło się zdawać, że w ten sposób rozpocznie się powolny proces porządkowania i usensownienia naszej struktury rolnej — proces podwójny: w jednym kierunku wzrostu arealu gruntów przejmowanych przez gospodarstwa uspołecznione, przede wszystkim państwowe, a drugim — na zanikaniu gospodarstw słabych, bez następców, nie mających gospodarczego uzasadnienia, natomiast wzmacniać się będą i podnosić poziom gospodarstwa większe, nowocześnie prowadzone o areale odpowiadającym gospodarstwu rodzinnemu przy dostępnym współcześnie uzbrojeniu technicznym. Czy takie „dwusektorowe” rolnictwo daje się pogodzić z socjalizmem i w jakim kierunku szłaby dalsza jego ewolucja — zastanowimy się nieco dalej. Tymczasem pierwszym zadaniem jest przezwyciężenie zacofania i dezorganizacji oraz dążenie do podniesienia produkcji do poziomu zaspokajającego potrzeby kraju.

Jednakże i tu polityka partii od początku zaczęła palić przed sobą mosty. Wizja pustoszejącej wsi, mnożenia się gospodarstw oddanych państwu — co równocześnie było wskaźnikiem spadku zainteresowania rolnictwem i niewiarą w jego perspektywę — przyjęta została z nieukrywaną radością. Oto wreszcie samo życie wskazało drogę do socjalistycznej wsi i socjalistycznego rolnictwa. Dla podtrzymania tradycji wspominano jeszcze o spółdzielniach produkcyjnych, np. w uchwale Biura politycznego KC PZPR i Prezydium ZSL z listopada 1972 roku:

„PZPR i ZSL widzą w ruchu spółdzielczości produkcyjnej ważną drogę przekształcenia w przyszłości gospodarki indywidualnej w nowoczesne, wielkoobszarowe przedsiębiorstwa rolne”...

ale w realność tego programu w dostępnym przewidywaniu przyszłości nikt z podejmujących tę uchwałę nie wierzył — było to tylko uspokajanie ideologicznego sumienia. Hasłem, które obiegало kraj, była „pegeeryzacja” polskiego rolnictwa, zaczęto myśleć o przyspieszeniu tego procesu, przygotowywać ustawy o przymusowym wywłaszczaniu gospodarstw zaniedbanych itd. W rezultacie polityka, która mogłaby prowadzić do porządko-

wania i wzmocnienia naszego rolnictwa, osiągała rezultaty wprost przeciwne, przede wszystkim wzmagala niepewność przyszłości.

Rozpoczął się dramat oddawanej przez chłopów ziemi. W zamysłu sprawa była prosta: ziemię powinny przejmować gospodarstwa państwowe. Plenum KC w październiku 1974 roku mówiło z przechwałką:

„Nasza partia wespół z ZSL i nasze ludowe państwo zdobyły już niemałe doświadczenie w sterowaniu rozwojem rolnictwa... Stworzone zostały korzystne warunki dla PGR, spółdzielni produkcyjnych przejmujących ziemię do zagospodarowania”...

Praktyka okazywała się mniej różowa. PGR-y poza sporadycznymi przypadkami opuszczanych gruntów przejmować nie odegrać nie mogą, przejmowanie zaś przez kółka rolnicze jest chciały i nie mogły, spółdzielnie produkcyjne w skali kraju roli — zgodnie z powszechną opinią — dewastacją i degradacją tych gruntów. Wprawdzie w uchwałach i przemówieniach wymienia się także jako ostatniego w kolejności kandydata do wolnej ziemi: indywidualnych dobrze gospodarujących rolników. Zrozumiałe jednak, że na tle ogólnej polityki i panującego klimatu cały aparat wykonawczy traktuje to jako nieobowiązujący frazes, ideologiczny ukłon w stronę pracującego chłopstwa dla podtrzymania sojuszu robotniczo-chłopskiego. Władza terenowa, gdyby nawet chciała zachować się sensownie, lęka się oskarżenia o rewizjonistyczne idealizowanie indywidualnej gospodarki. Aparat partyjny umie odczytywać intencje uchwał i instrukcji organów centralnych i nawet gdy uchwały podlegają jakimś zmianom, traktuje to jako taktyczny manewr.

Rezultaty musiały być zgodne z przewidywaniami. Oto *Dziennik Ludowy* z dn. 3 listopada 1976 roku podaje jak wygląda akcja upelnorolnienia gospodarstw chłopskich, tzn. przekazywania im wolnych gruntów: w woj. lubelskim 5 ha, w woj. zamojskim 7 ha, krakowskim 8 ha itd. akurat tyle, ile trzeba, aby nie zasłużyć na zarzut z żadnej strony — że się *nic* indywidualnym chłopom nie daje, ani że się „idealizuje” indywidualne gospodarowanie.

Na tym tle warto się zastanowić nad sformułowaniami jakie padły na niedawnym (1 grudnia 1976 r.) plenum KC PZPR — a więc w okresie, kiedy rezultaty naszej polityki rolnej ujawniły się w sposób dostatecznie dostrzegalny.

„Ziemia ta powiększa Państwowy Fundusz Ziemi i jest przekazywana w gospodarowanie najczęściej PGR-om oraz innym gospodarstwom uspołecznionym. Jest to słuszne. Nieuzasadnione są natomiast opory części władz terenowych przed przekazywaniem tej ziemi rolnikom indywidualnym tam, gdzie daje to możliwość najlepszego jej wykorzystania. Trzeba tę praktykę skorygować”.

Uderzająca jest delikatność tego wyrzutu wskazująca na zrozumienie stanowiska „części” władz terenowych. Naiwnością byłoby sądzić, że wyrzut ten może coś w istniejącej praktyce zmienić — najwyżej o tyle, że władza terenowa przydzieli chłopom indywidualnym zamiast 5 np. 15 ha, czyli zwiększy trzykrotnie (!). Jakże zresztą władza terenowa miałaby zmieniać swoją taktykę i praktykę, skoro w dalszym ciągu powiedziano, że nic w naszej polityce rolnej się nie zmienia:

„Polityka rolna naszego państwa sformułowana przez naszą partię wspólnie ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym u progu obecnego dziesięciolecia pozostaje w pełni w mocy”.

Pod jednym tylko względem polityka w stosunku do gospodarki chłopskiej była konsekwentna w ciągu całej historii Polski Ludowej — utrzymywała atmosferę *niepewności jutra*. W różnych okresach zmieniał się ton wypowiedzi, zmieniały metody, ale zawsze starano się utrzymać przekonanie, że indywidualna gospodarka chłopska jest kapitalistycznym przeżytkiem nie dającym się pogodzić z socjalistycznym ustrojem, przeżytkiem który z konieczności jeszcze cierpimy, ale głównym celem jest jego likwidacja.

W tej atmosferze kształtował się stosunek ludności wiejskiej do rolnictwa, który wpływał i wpływa przede wszystkim na młodzież nie widzącą tu dla siebie perspektywy. Tymczasowość cechowała i cechuje wszystkie posunięcia władz: zarządzenia, zachęty i ulgi obliczone są na doraźne efekty w uprawach czy hodowli i gospodarujący chłop nigdy nie jest pewien, czym władza poczęstuje go jutro. Atmosfera niepewności i doraźności w polityce władz decydowała o wszystkich procesach jakie zachodziły na wsi: przyspieszała proces rozdrabniania gospodarstw, ucieczki młodzieży i mnożenia się gospodarstw bez następców, hamowała podnoszenie kultury rolnej naszego zacofanego rolnictwa, była zasadniczą przeszkodą w inwestycyjnym zaangażowaniu chłopów, powstrzymywała proces technicznego wyposażenia rolnictwa, hamowała budownictwo wiejskie, uniemożliwiała dostosowanie kształcenia rolniczego do rzeczywistych potrzeb. Ci sami, którym oczy zasłoniła wizja spółdzielczości produkcyjnej, nie chcieli (nie umieli) widzieć innych bardziej podstawowych form spółdzielczości wiejskiej organizującej zbył, zaopatrzenie, usługi. W tej elementarnej dziedzinie — mimo nieznacznej poprawy w ostatnim okresie — jesteśmy spóźnieni o lat dwadzieścia, a w stosunku do takiej rozwiniętej spółdzielczości jak duńska chyba o lat sto.

W takich to warunkach kształtowała się ranga rolnictwa i prestiż społeczny zawodu rolnika, do których ostatnio lubimy się

odwoływać. Trzeba, aby uświadomiono sobie brutalną prawdę, że chłop rolnik jest najbardziej upośledzoną i lekceważoną istotą w naszym kraju. Nie tylko skazany jest na prymitywniejsze warunki życia i większy nienormowany wysiłek — jest lekceważony i pomiatany wszędzie: w urzędach i we własnych spółdzielczych placówkach. Podejmowano nawet próby obliczenia, ile czasu pochłaniają chłopu konieczne kontakty z urzędami czy placówkami zaopatrzenia i zbytu — ale to obliczyć się nie da — czas chłopu się nie liczy. Zdobycie nawozów, opału, byle narzędzia, dostarczenie państwu ziarna, żywca, owoców pochłania więcej czasu niż ich wyprodukowanie. Dodajmy do tego, że wszystkie te styki są znakomitą okazją do nakładania na chłopą dodatkowego haracz w postaci różnego rodzaju „opłacania się”. Trudności te zwielokrotniają się w przypadku, kiedy chłop chce powiększyć swą oborę czy chlewik.

Zagadki socjalistycznego rolnictwa

Można by zadać sobie pytanie, czy należy się tym przejmować, skoro obecny stan rolnictwa jest tylko przejściowy i czy nie mieli racji ci, którzy konsekwentnie w ciągu 30 lat usiłowali różnymi metodami zniechęcić chłopą do indywidualnego gospodarowania?

Co to jest socjalistyczne rolnictwo i jakie gospodarstwo możemy nazwać socjalistycznym? Zdrowy rozsądek kazałby odpowiedzieć, że socjalistycznym możemy nazwać gospodarstwo dobrze zorganizowane, wysoko wydajne, nie oparte na wyzysku najmniejszej pracy i — dodajmy — którego produkcja nie staje się przedmiotem spekulacji, lecz służy zaspokojeniu społecznych potrzeb. Tymczasem ideologowie od początku Polski Ludowej głoszący hasło socjalistycznej przebudowy rolnictwa znają tylko jedną jego cechę: musi to być rolnictwo *wielkoobszarowe*. Nawet zaniebane, nisko wydajne, obciążające państwo deficytem wielkoobszarowe gospodarstwo, byleby nie było indywidualną własnością, już jest gospodarstwem socjalistycznym, natomiast nie jest nim i być nie może osiągające najlepsze nawet rezultaty gospodarstwo chłopskie.

Argumentuje się, że tylko na wielkim obszarze możliwa jest pełna mechanizacja a więc i osiągnięcie większej wydajności ludzkiej pracy. Koncepcje te kształtowały się w drugiej połowie XIX-go wieku, kiedy zdawało się, że w rolnictwie dokona się to samo co w przemyśle: jak kapitalistyczna fabryka pochłaniała drobnych rzemieślniczych i chałupniczych producentów, tak i w rolnictwie dokona się podobna koncentracja. Drobna chłopska

produkcja nie wytrzyma konkurencji nowoczesnych „rolniczych fabryk”. Przewidywania te jednak nie sprawdziły się. Angażowanie kapitałów w wielkoobszarowe rolnictwo okazało się nieopłacalne, przynosiło mniejsze zyski niż w przemyśle. Powstaje pytanie, dlaczego opłacalna była gospodarka chłopska na małym obszarze, w czym tkwi zagadka, że chłop mógł wytrzymać konkurencję wielkiej przemysłowej techniki? Odpowiedzi na to udzielił już sto lat temu Karol Marks: *oto chłop-rolnik wkłada w swoją produkcję więcej pracy, pracy nieopłaconej* — i ta właśnie nieopłacona część jego pracy pozwala mu wytrzymać konkurencję przemysłu.

W rolnictwie po drugiej wojnie światowej dokonał się głęboki przewrót: zasadniczą jego formą stało się chłopskie gospodarstwo rodzinne bez pracy najemnej, która stała się niedostępna i nieopłacalna. O ile przed pierwszą wojną nawet gospodarstwa o 5 ha zatrudniały „parobków” i „dziewki”, obecnie 2-3 członków rodziny uprawia obszar nawet do 50 ha. Co więcej, te właśnie rodzinne gospodarstwa (Danii, Holandii, Belgii) dokonały prawdziwej rewolucji w wydajności i produkcji z 1 hektara.

Wszystkich tych procesów socjalistyczne programy rolne nie dostrzegły, uporczywie podtrzymują jako święte i nienaruszalne poglądy i hasła z odległej epoki. Dodajmy jeszcze, że poglądy te kształtowały się w czasach, kiedy nie zarysowała się jeszcze tak silnie różnica między *intensywną* a *ekstensywną* gospodarką rolną. Inna jest sytuacja i inne zadania stoją przed rolnictwem w krajach, gdzie na jednego mieszkańca przypada kilka lub kilkanaście ha użytków rolnych — inna tam, gdzie przypada pół lub mniej hektara. W gęsto zaludnionej Europie głównym dążeniem stała się nie wydajność pracy robotnika w rolnictwie, lecz wydajność każdego hektara. Tu bowiem nie było nieograniczonych obszarów do eksploatacji — szło więc o uzyskanie możliwie największych wyników produkcyjnych z każdego skrawka ziemi. W skali światowej dwa kraje — Stany Zjednoczone i Związek Radziecki — mogą zadowolić się rolnictwem ekstensywnym, gdzie nawet niska w porównaniu z zachodnio-europejską wydajność z ha może być zadowalająca. Toteż prawdziwym nieszczęściem było, że nasi przywódcy wytyczając drogę socjalistycznej przebudowy również w rolnictwie postanowili naśladować wzory radzieckie. Powiedzmy otwarcie i stanowczo: nawet gdyby rolnictwo radzieckie stało nieporównanie wyżej niż stoi obecnie — i wówczas nie mogłoby być dla nas wzorem do naśladowania wobec całkowicie odmiennej sytuacji i odmiennych zadań. (Oczywiście te kraje socjalistyczne, które startowały z wyższego poziomu kultury rolnej i znacznie wyższego stopnia technicznego uzbrojenia — NRD, Czechosłowacja — nieco lepiej sobie radzą z przebudową rol-

nictwa; nie podejmujemy tu jednak tego tematu wobec braku dostatecznie pewnych informacji).

Wróćmy do pytania, jakie rolnictwo możemy nazwać socjalistycznym? Na jednym z plenów KC PZPR w roku 1964 na biadania o naszym opóźnieniu w socjalistycznej przebudowie wsi odpowiadał wybitny, nieżyjący już, ekonomista Oskar Lange*. Zwrócił on uwagę na szczególną sytuację, jaka kształtuje się w naszym rolnictwie. Oto chłop polski wszystko, czego potrzebuje do produkcji, zakupuje od państwa i prawie całą swoją produkcję zbywa państwu poprzez państwową i spółdzielczą sieć placówek. Państwo może poprzez politykę kontraktacji, odpowiednie relacje cen i innego rodzaju zabiegi regulować kierunki produkcji, sprzyjać podnoszeniu kultury rolnej, wpływać na stan organizacyjny wsi i rolnictwa. W tych warunkach indywidualne gospodarstwa chłopskie włączone są do planowego działania państwa, realizują ogólny plan gospodarczy. Jest więc nasze rolnictwo pod tym względem o wiele bardziej uspołecznione niż rolnictwo radzieckie, w którym produkcja działek przyzagrodowych stanowiąca np. w hodowli ok. 40 % ogólnej produkcji kraju — w zasadzie nie trafia do sieci uspołecznionej.

Mamy tu konfrontację dwóch punktów widzenia na socjalizm w rolnictwie: pierwszy widzi tylko uspołecznioną wielkoobszarową formę bez względu na to co się pod tą formą kryje, drugi podkreśla rzeczywiste procesy uspołeczniania. Prawda, że dla naszej scentralizowanej władzy rolnictwo z przewagą chłopskich indywidualnych gospodarstw ma zasadniczą niewygodę: *nie można nim kierować biurokratycznie* przy pomocy nakazów i okólników, trzeba prowadzić politykę uwzględniającą wiele czynników ekonomicznej i społecznej natury, trzeba się liczyć z realną i zmieniającą się rzeczywistością. Do takiej zaś polityki ani władza centralna ani jej dołowe organy przystosowane nie są.

Przyszłość polskiego rolnictwa

Nie zrozumiałby niczego z tych wywodów, kto by chciał je traktować jako obronę obecnego stanu. Struktura naszego rolnictwa jest nonsensem pogłębiłym naszą trzydziestoletnią bezmyślną polityką. Struktura, w której przeszło połowa gospodarstw ma poniżej 5 ha a 70 % areалу ziemi znajduje się w gospodarstwach poniżej 10 ha, jest współcześnie nie do utrzymania w żadnym ustroju, nie tylko socjalistycznym. Poza pewną ilością

* Pełny tekst tego przemówienia nie był publikowany, *Życie Gospodarcze* (5. IV. 64) dało tekst okrojony.

małych wyspecjalizowanych — sensowne gospodarstwo zaczyna się znacznie powyżej 10 ha (gruntów jako tako scalonych!). Byłyby to gospodarstwa pracujące na zamówienia państwowe w ramach ogólnego planu, gospodarstwa całkowicie przez państwo kontrolowane całym systemem polityki cen artykułów dostarczanych i skupowanych od rolnika.

Czy znaczy to, że mamy dążyć do przekształcenia naszej wsi w silne, na wysokim poziomie agrotechniki stojące gospodarstwa chłopskie? Program taki — niezależnie od jego ekonomicznej i politycznej słuszności — *byłby całkowicie nierealny*. Przyczyn tej nierealności jest wiele, jedną z nich jest niemożliwość zahamowania rozpoczętego przez naszą politykę i ideologię pędu do rozdrabniania gospodarstw. Najważniejsza przyczyna leży jednak głębiej. Oto w naszym zwłaszcza ustroju nie da się w dłuższej skali utrzymać taki typ gospodarstwa rolnego, który oparty jest na wyzysku — zaś rodzinne gospodarstwo chłopskie, zwłaszcza prowadzące nowoczesną gospodarkę na większym obszarze jest z natury rzeczy oparte na wyzysku — mianowicie *wyzysku pracy chłopskiej*. Rodzina chłopska przy intensywniej kulturze dla otrzymania wysokiej dochodowości z każdego ha musi wkładać pracę, której znaczna część nie jest opłacana (jak to stwierdził Marks). Dopóki zaś względnie łatwy będzie dostęp do pracy poza rolnictwem, coraz mniej będzie „idealistów” chcących podejmować ten dodatkowy trud związany ponadto z wszystkimi niewygodami wiejskiego życia. Rolnictwo jest pięknym i w jakimś sensie twórczym zawodem w porównaniu z pracą fabryczną czy biurową, jest zawodem wymagającym, wbrew utrwalonym przekonaniom, wyższych kwalifikacji i większej inicjatywy. O postęp w przemyśle troszczą się wyspecjalizowane kadry, w rolnictwie zadanie to spada na każdego rolnika.

Wszystkie te wymogi powodują, że zawód ten nie może wytrzymać konkurencji z innymi dziedzinami — zwłaszcza w naszym antyrolniczym klimacie i niezwykle niskim społecznym prestiżu zawodu rolnika. Toteż jeśli *dziś jeszcze* jest w kraju parę tysięcy zamierzających i umiejących gospodarzyć rolników, którzy chcieliby powiększyć swoje gospodarstwa, powinniśmy ich ozłocić, mianować bohaterami socjalistycznej pracy, sadzać w prezydiach uroczystych akademii — chronić ich jako zanikający gatunek ludzi.

Drastyczność obecnej naszej sytuacji pomogłaby nam zrozumieć pewna przemilczana strona radzieckiej kolektywizacji w początkach lat 30-tych. Rewolucja 1917 roku w Rosji od pierwszych dni stała się wobec ogromnego problemu *rolnictwa* z jednej i *wsi* z drugiej strony. Dla ich rozwiązania zastosowano ideologię i taktykę wykształconą w miastach, w walce robotników z kapi-

talistami: przyjacielem i sojusznikiem był chłop, który nie posiadał nic (biedota wiejska), klasowym wrogiem był chłop zamożniejszy (kułak) — przy czym warto pamiętać, że przy ówczesnym rosyjskim poziomie chłop już na kilku dziesięcinach zatrudniał parobka. Chłop „średniak” choć ziemi miał niewiele, miał kułacką kapitalistyczną duszę. Głównym zadaniem, jakie postawiła przed sobą partia było rozwarstwienie wsi, oddzielenie wiejskiego „proletariatu” od wiejskich „kapitalistów” i zwalczanie tych ostatnich. W nasilanej z każdym rokiem walce zatarły się wszelkie ekonomiczne i społeczne kryteria: wrogiem, kułakiem był ten, kto choćby na niewielkim obszarze coś osiągał, nieszkodliwy był tylko ten kto nie miał nic (słabe próbki tej „klasowej” logiki widzieliśmy i u nas w początkach lat 50-tych). Walka z kułactwem w Związku Radzieckim z całą nieuchronnością przekształciła się w walkę z wszelką formą gospodarowania, z wszelką rolniczą i ekonomiczną logiką. Po dziesięciu latach tej z niezwykłą gorliwością prowadzonej polityki kraj stanął przed widmem katastrofy — zaś zmiana tego trendu była niemożliwa, trzeba by zmienić i ideologię i partię. Pozostała jedna tylko droga zgodna z utrwalonym dogmatem: dokonać „wielkiego skoku”, zlikwidować jednym zamachem wszelką własność tzn. kapitalizm — co automatycznie pozwoli już bez przeszkód i bez większych trudności (jak zapewniał Stalin) zbudować socjalistyczną wieś i socjalistyczne rolnictwo. Wiara w nieomyślność dogmatu była tak wielka, że prawdopodobnie nikomu nie przyszło na myśl, że rewolucyjny skok będzie skokiem głową w dół do studni, na wydostanie się z której nie starczy pół wieku.

Mimo ogromnej różnicy sytuacji, struktury, poziomu i roli naszej wsi oraz dość zasadniczych różnic w taktyce stosowanej przez nasze władze, morał tej historycznej przypowieści winien być pouczający. Idzie o to, abyśmy nie doprowadzili do sytuacji, która w pewnym momencie zmusi do jakiegoś „skoku” o nieobliczalnych następstwach. 30 lat naszej polityki jawnej lub choćby tylko intencjonalnej walki z pozostałościami „kapitalizmu” na wsi to okres zmiany pokolenia — przez ten czas powstała nowa sytuacja. Młode pokolenie, które nie ma już atawistycznego przywiązania do ziemi, wyrastało w warunkach swobody wyboru zawodu, najbardziej przedsiębiorczy element odpływał do miast — to pokolenie nie da się już zwieść słowami. *Znaleźliśmy się w punkcie przelomowym: albo zdołamy tak zmienić naszą politykę, że przywróci ona zaufanie i stworzy warunki, aby rolnictwo nasze mogło funkcjonować i przekształcać się zgodnie z ekonomicznymi kryteriami, albo staniamiy wobec konieczności rozpaczliwych decyzji.*

Jedyną sensowną drogę narzuca sama sytuacja. Nikt nie zdoła

zahamować odpływu do miast i zawodów pozarolniczych, ani powstrzymać procesu pozostawiania gospodarstw. Słuszne są również instrukcje naszych władz, że wolną ziemię należy przekazywać tym, którzy gwarantują najlepsze jej wykorzystanie. Tylko że równocześnie wytłumaczyć trzeba skołowanemu i oślepiałemu 30-letnią propagandą aparatowi rządzącemu — od góry do dołu — że państwowe i socjalistyczne są nie tylko PGR-y i spółdzielnie produkcyjne, ale również każde gospodarstwo chłopskie — tym bardziej socjalistyczne, im wyższy jest poziom jego kultury, im większy produkt daje z hektara. Proces przejmowania opuszczanych gruntów przez jednostki uspołecznione jest naturalny i oczywisty wszędzie tam, gdzie jest on organizacyjnie możliwy i ekonomicznie uzasadniony. Ale groźnym idiotyzmem jest pogląd, że każdy skrawek ziemi opuszczanej przez chłopą jest tryumfem zbliżającym nas do socjalizmu — choćby ziemia ta miała leżeć odłogiem, lub uległa dewastacji w rzekomo uspołecznionych rękach.

Na budowę mocnych nowoczesnych gospodarstw rodzinnych w szerszej skali jest już co najmniej o kilkanaście lat za późno, aby ten kierunek socjalistycznej przebudowy, zgodny z wymogami współczesnej intensywnej gospodarki rolnej mógł odegrać większą rolę. Ale mimo spóźnienia i ten kierunek jest *naturalną koniecznością*. Tam gdzie to tylko możliwe, gdzie znajdują się chętni, wolna ziemia winna być przydzielana umiejącym gospodarzyć chłopom — ze wszystkimi ulgami i pomocą na zagospodarowanie i unowocześnienie gospodarstw. Trzeba im również stworzyć możliwości kupna gruntów przyległych i słabych gospodarstw. Podnoszące swój poziom gospodarstwa państwowe i sieć nowoczesnych gospodarstw chłopskich winny w ciągu kilkunastu lat stworzyć podstawę towarowej produkcji, trwały fundament dla dalszych przeobrażeń.

Problemem najtrudniejszym przebudowy naszej struktury rolnej będzie nie 11 % gospodarstw powyżej 10 ha, lecz cała rozdrobniona reszta. Gospodarstwa małe — poza przypadkami wysokiej specjalizacji — w znacznej części mają oparcie w dochodach spoza rolnictwa, w słabszym stopniu podlegają kryteriom ekonomicznym. Toteż podnoszenie kultury rolnej i zarazem przebudowa struktury w rejonach o przewadze tego typu będą wymagały bardziej przemyślanej polityki.

Główną cechą naszej obecnej sytuacji na wsi jest *głęboki kryzys zaufania* do sensowności i szczerości poczynań naszych władz. Młodzież nie widzi dla siebie perspektywy w rolnictwie, absolwentów szkół rolniczych można znaleźć wszędzie, tylko nie w gospodarstwach rolnych, według oficjalnych danych tylko

10 % młodych rolników obejmujących gospodarstwa ma jakieś przeszkolenie rolnicze.

Panującej powszechnie nieufności nie rozproszą frazesy uroczystych przemówień. Władze nasze konkretnymi poczynaniami muszą przekonać wiejską społeczność, że ich stosunek do spraw wsi i rolnictwa jest poważny, że ich poczynania nie są tylko manewrami maskującymi inne cele. Z jaką ulgą przyjąłby kraj i wieś przede wszystkim przyznanie (choćby w ostrożnych słowach), że popełniono wobec wsi i rolnictwa wiele błędów, że często utrudniano zamiast pomagać, że dostosowywano politykę nie do rzeczywistości lecz do fikcji, mitów i dogmatów. Oznaczałoby to zapowiedź, że coś zrozumiano, że coś w tej dziedzinie się zmieni.

Nie wiemy jak będzie się przedstawiała polska wieś i polskie rolnictwo za lat 50. Wiadomo natomiast, że znacznie łatwiej jest reorganizować i przebudowywać rolnictwo stojące na wysokim poziomie, ponieważ tu sama ekonomiczna logika będzie dyktowała procesy przemian (wbrew modnej w okresie stalinowskim teorii, że trzeba najpierw gospodarstwa chłopskie doprowadzić do ruiny, a potem już łatwo zamienimy je w przodujące gospodarstwa wielkoobszarowe). Nie może być słuszną żadną formą przebudowy struktury sprzeczna z kryteriami ekonomicznymi — miał chyba trochę racji Lenin mówiąc, że ekonomika to wyższy stopień polityki.

Z rozważań naszych nie wynikają żadne rewolucyjne wnioski. I tak musimy iść za tendencjami, które sami wywołaliśmy i których — tymczasem przynajmniej — zmienić nie jesteśmy w stanie: trwał będzie odpływ ludności ze wsi i rósł będzie areał ziemi opuszczanej przez chłopów. Głównym problemem stało się *nie tylko* zagospodarowanie tej ziemi zgodnie z wymogami ekonomiki, potrzeb kraju i istniejących możliwości. Ważne jest, że polityka w tej dziedzinie będzie dla całej wsi papierkiem lakmusem rzeczywistego stosunku władz do teraźniejszości i przyszłości naszego rolnictwa. Zagadnienie nowoczesnych gospodarstw chłopskich jest tu ważne nie tylko z doraźnego punktu widzenia produkcji — lecz także ich roli w ogólnym podnoszeniu poziomu rolnictwa w czym mogą odegrać większą rolę niż gospodarstwa państwowe. Trzeba wyrzucić na śmietnik ideologiczny zabobon, że socjalistyczne może być tylko gospodarstwo „uspołecznione” i wielkoobszarowe, a nie może nim być indywidualne gospodarstwo chłopskie. Zapewne *tak jest* w krajach kapitalistycznych, gdzie prywatne rolnictwo jest częścią kapitalistycznego systemu, ale i robotnik w zakładach Forda także jest „częścią” kapitalizmu.

Pilnym zadaniem jest podniesienie organizacyjnego stanu na-

szej wsi, ujęcie jej w ramy spółdzielczych organizacji z prawdziwego zdarzenia (jak to robić, niech się nasi specjaliści nauczą od Duńczyków). To co my w tej dziedzinie dotychczas robimy to przeważnie biurokratyczna karykatura.

Trzeba, aby nie tylko społeczeństwo ale także władza na wszystkich jej piętach zrozumiała, że nie może być rozwiniętego kraju bez rozwiniętego rolnictwa, bez rozwiązania problemu żywienia. Waga rolnictwa mierzy się nie jego procentowym udziałem w wytwarzaniu dochodu narodowego. Udział ten będzie i powinien maleć — ale bez niego nie może być podnoszenia poziomu kraju. Im szybciej będą się rozwijały inne dziedziny naszej gospodarki, tym ostrzej będą się ujawniały dysproporcje, braki w produktach rolnych będą odczuwane dotkliwiej, będą się stawały źródłem niebezpiecznych społecznych napięć.

Poruszone tu sprawy są nie tylko wielkiej ogólnonarodowej i państwowej wagi — są także sprawami *niezwykłej pilności*. Dzwonki alarmowe przestrzegają, aby zawrócić z drogi, która musiałaby się skończyć skokiem do studni.

Władysław BIENKOWSKI

Walne Zebranie Warszawskiego Oddziału ZLP

Walne Zebranie Sprawozdawcze Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich zwołane zostało dnia 13 stycznia 1977, początkowo do sali odczytowej ZLP, Krakowskie Przedmieście 87/89; przeniesione jednak zostało 22 stycznia do Sali Warszawskiej w PKiN. Zebranie odbyło się we wtorek dnia 1 lutego 1977, z porządkiem dziennym: 1) Sprawozdanie Zarządu, 2) Dyskusja, 3) Walne wnioski. Rozpoczęte około godz. 17.30, zakończone zostało około godz. 19.45. W zebraniu wzięło udział około 400-450 członków ZLP (Oddział Warszawski ZLP liczy ogółem około 750 członków). Od udziału w zebraniu uchylił się Prezes ZG ZLP Jarosław Iwaszkiewicz. Przewodził obradom Prezes Zarządu Oddziału Warszawskiego ZLP Lesław Bartelski.

Zebranych na sali uderzyła specyficzna taktyka L. Bartelskiego, zmierzająca do zapobieżenia jakimkolwiek wystąpieniom dotyczącym najistotniejszych spraw politycznych i wyrażających poglądy członków ZLP w sprawach najwyższej wagi narodowej. Zrezygnował z wyrażenia zdania (z dużym powodzeniem) okiełznać wyraźne wzburzenie sporej części członków ZLP. Sugerując znaczne zainteresowanie ZLP sprawami najbardziej interesującymi zebranych, unika-

jąc wszelako jakichkolwiek konkretów, przewodniczący zebrania sprowadził całą dyskusję na margines spraw istotnych. W wystąpieniach członków zarządu OW ZLP padały zresztą *expressis verbis* stwierdzenia, iż z powodu „racji wyższego rzędu” zebrani powinni uchylić się od zainteresowania sprawami mogącymi wzbudzić niepokój lub spowodować zaostrenie dyskusji. (Wśród zebranych ten ogólny ton zebrania spowodował irytację. W kuluarach padały uwagi: jakie mogą być racje wyższe nad obowiązek przedyskutowania spraw najwyższej wagi dla bytu narodu? Pisarze byli zawsze w Polsce sumieniem narodu. Sumieniu nie wolno milczeć wtedy, gdy chodzi o sprawy dla narodu najważniejsze — etc. etc.). Niemniej wśród zebranych większość — jak się wydaje — uległa presji i w milczeniu uchyliła się od popierania wystąpień dotyczących problemów większego znaczenia.

Główne sprawozdanie Zarządu OW ZLP wygłosił L. Bartelski. Starał się roztopić wszelkie problemy w szczegółowym prezentowaniu drobnych kwestii bytowych, unikając spraw o znaczeniu politycznym. W sprawozdaniu Zarządu w ogóle nie zauważono np. problemu cenzury w Polsce — co spowodowało potem gorzkie uwagi dyskutantów. Niektóre wypowiedzi L. Bartelskiego kwitowane były przez zebranych (zwłaszcza przez młodszych wiekiem członków ZLP) wybuchami ironicznego, szyderczego, długo trwającego śmiechu.

Jedyną sprawą istotną poruszoną przez L. Bartelskiego było powiadomienie zebranych, iż 22 stycznia Jarosław Iwaszkiewicz został przyjęty na dłuższej audyencji przez Edwarda Gierka. Sprawa jest zresztą znana z komunikatu prasowego. L. Bartelski oświadczył: „Nie będę się tu wdawał w szczegóły, odczytam jedynie to, co zostało ogłoszone w prasie”. Oświadczenie to spowodowało wśród zebranych, oczekujących właśnie konkretów i szczegółów, duży zawód i rozczarowanie. L. Bartelski dodał ponadto, iż w przyszłości można się spodziewać spotkania Edwarda Gierka ze „spórą ilością” (sic) członków ZLP. W imieniu Jarosława Iwaszkiewicza obiecał, iż ZG ZLP będzie interweniował w sprawach odmowy udzielenia paszportów członkom ZLP, lub w wypadkach dyskryminacji przez wydawnictwa.

Dalsze sprawy przedstawione przez członków Zarządu nie miały istotnego znaczenia, poza sprawą Jesieni Poetyckiej roku 1976, która była *sui generis* skandalem w Warszawie. Jak wiadomo, do udziału w tym międzynarodowym konkursie współczesnej poezji polskiej nie dopuszczono kilkunastu autorów ze względów polityczno-personalnych, odrzucono też kilkadziesiąt utworów ze względu na ich treść niezgodną rzekomo politycznie z zaleceniami władz. Wywołało to skandal, który wyraził się w odmowach przyjęcia nagród, przekazywaniu nagród na cele filantropijne etc. Z wielkim uznaniem Zarządu spotkał się fakt, iż dotknięci tymi szykanami powstrzymali się od ujawniania całej afery wobec gości zaproszonych z zagranicy. Wyrażono dość nieokreśloną nadzieję, że w czasie Jesieni roku 1977 podobnych wydarzeń nie będzie.

W czasie dyskusji nad sprawozdaniem Zarządu zabrało głos kilkunastu mówców. Część tych wystąpień wywołała wśród zebranych duże poruszenie i wyrażny, niekiedy bardzo energiczny aplauz.

Marek Nowakowski poruszył sprawę książki K. Orłosa *Cudowna melina*. Stwierdził, że wobec grupy pisarzy, którzy starali się o wydanie w Polsce tego dzieła, później zaś, w okresie prób zmiany konstytucji PRL, wystąpili z listem protestacyjnym, zastosowano drastyczne represje. W jego własnym przypadku zakupiony przez Wydawnictwo Literackie zbiór *Mizerykordia* i inne opowiadania został najpierw usunięty z planu wydawniczego, potem zaś WL zerwał z nim w ogóle umowę (list WL z dnia 3. I. 1977), motywując to brakiem papieru i koniecznością usunięcia z planu wydawniczego pozycji o „mniejszej wartości”. PIW od wielu lat nie wydaje zakupionego temu mini-powieści Stypa. Podobnie postępuje „Czytelnik” z inną jego

książką. W prasie literackiej nazwisko M. Nowakowskiego jest usuwane już nawet nie przez cenzurę, lecz przez redakcje, na wszelki wypadek. ZLP nie udziela ani jemu, ani związanym z nim przyjaciółom-literatom, dotkniętym represjami, żadnej pomocy, żadnego poparcia w staraniach u władz.

S. Łastik przedstawił sprawę monumentalnego tomu przekładów poezji żydowskiej w języku jidisz, który miał przedstawić dorobek poetycki autorów żydowskich ziem słowiańskich. W roku 1967 przygotowało ten tom grono kilkudziesięciu najwybitniejszych poetów polskich, tłumacząc na język polski utwory poetyckie największej wartości artystycznej. W latach 1968-1970 „ze zrozumiałych względów” nie było mowy o wydaniu książki przez PIW, który antologię tę zakupił. Lecz po grudniu 1970 sprawy nie ruszyły bynajmniej naprzód. Około roku 1971 Łastik rozmawiał prywatnie z dyrektorem PIW, pytając o los antologii. Odmowa wydania została uzasadniona następująco: „Nie możemy drażnić Arabów” (gromki wybuch śmiechu na sali, na której był zresztą obecny dyrektor PIW Andrzej Wasilewski — uchylający się w ogóle od zabrania głosu, mimo krytycznych wystąpień wobec PIW większości dyskutantów). „Potem nasze stosunki z Arabami trochę się ochłodziły” — mówił Łastik — ale nic to nie pomogło. „Jakich Arabów obawia się PIW dzisiaj?”.

Jan Himilbach przedstawił niepokojące praktyki PIW-u, które to wy-dawnictwo zawarło z nim umowę na powieść autobiograficzną, otrzymało tekst, tekst ten zgubiło — nie wiadomo, czy przypadkiem, czy też z jakichś określonych powodów — a dopiero po 9 latach, zagrożone procesem sądowym, zwróciło maszynopis.

Do odpowiedzi zerwał się sekretarz POP Oddziału Warszawskiego ZLP Kazimierz Dębnicki. Wyraził zaniepokojenie, iż kłopoty członków ZLP tak rzadko są przekazywane do wiadomości instancji partyjnej ZLP. O sprawach Nowakowskiego czy Himilbacha nie nie wiedział. Sprawa antologii żydowskiej jest w załatwieniu i zapewne podjęta będzie w tej kwestii decyzja pozytywna. „Bez względu na gwałtowne spory ideologiczne, które nas dzielą” — mówił — „w sprawach artystycznych literatury będziemy występować solidarnie. Nie będziemy unikali wewnątrz Związku najostrejszych nawet dyskusji w sprawach ideologicznych, będziemy przedstawiali swój punkt widzenia, ale w sprawach czysto literackich będziemy interweniowali...”. (Na sali pomruk: ale dyskusja, gdy można publikować jeden głos, a przeciwny trzeba schować dla siebie!).

Największe wrażenie wśród zebranych wywołało mocne i zdecydowanie sformułowane wystąpienie Jana Wyki. Jan Wyka oświadczył m.in. (głos jego cytowany jest według tekstu zachowanego w pamięci):

— Nie powinienem stawać na tej trybunie, gdyż z tego miejsca mówi się najczęściej kłamstwa! Ja jestem komunistą. Jestem komunistą od pięćdziesięciu przeszło lat, byłem członkiem KPP, z polecenia KPP walczyłem w Hiszpanii. Jestem komunistą od lat i będę komunistą. I dlatego muszę tutaj przypomnieć, że literaci polscy byli zawsze z klasą robotniczą. Proszę kolegów... mówię: proszę kolegów, nie proszę kolegów i towarzyszy, jak się mówi teraz u góry... trzeba pamiętać, że pisarze polscy zawsze stali razem z polską klasą robotniczą. W okresie międzywojennym podpisywaliśmy różne protesty... Obowiązkiem Związku Literatów Polskich jest solidarność z klasą robotniczą. Po raz pierwszy od trzydziestu lat zdarzyła się ostatnia sytuacja, w której pisarze polscy stanęli w obronie klasy robotniczej! Są za to prześladowani... bez obrony ze strony Związku. Ja chcę przypomnieć kolegom, że w roku 1923 było w Krakowie powstanie robotnicze. Byłem wtedy tylko sympatykiem, jeszcze nie członkiem KPP, ale partia delegowała mnie do udziału w tych wydarzeniach. I widziałem: robotnicy strzelali do szarżujących ułanów, ułani ginęli podobnie jak robotnicy! U nas ostatnio robotnicy do nikogo nie strzelali! W roku 1923 cały Kraków został opano-

wany przez robotników. A co było potem? W parę tygodni później nie było już w więzieniu żadnego robotnika! Cała prasa pisała o tym otwarcie. Ministra spraw wewnętrznych Kiernika narwaliśmy krwawym katem klasy robotniczej — i Kiernik w parę tygodni później już nie był ministrem, musiał ustąpić rząd Witos! W roku 1936 byłem sekretarzem organizacji partyjnej w redakcji „Lewara” we Lwowie. Nie mam zamiaru bronić sanacji, jestem ostatni, który by czuł do sanacji sympatię. Ale w czasie wojny domowej w Hiszpanii cenzura zdjęła nam cały numer, nawet nazwiska autorów. Zdjęła... ale potem pismo wychodziło dalej, z tym samym zespołem. Co wy mi opowiadacie (do przedstawicieli POP) o rządzie robotniczym, o interesie klasy robotniczej!? Ja jestem w swojej twórczości monomatem. Pisałem zawsze o walce klasy robotniczej, o sprawach klasy robotniczej. Toteż dzisiaj moich książek się nie wydaje. Jedną wydano w zeszłym roku, bo była 40-ta rocznica wojny domowej w Hiszpanii i coś trzeba było wydać. I nie więcej. W jednym z pism cenzura zdjęła mi cały artykuł na temat spraw dzisiejszych. Ja jestem komunistą, więc chcę socjalizmu. Ale to nie może być socjalizm biurokratyczny, socjalizm upaństwowiony, socjalizm uprzywilejowanych. To musi być socjalizm klasy robotniczej. Jestem komunistą, więc jestem przeciwko kapitalizmowi. Przeciwno kapitalizmowi państwowemu, który u nas panuje — także! Opowiada się nam o walce klasowej, która się w Polsce toczy. Oczywiście, że w naszym kraju toczy się ostra walka klasowa. Walka klasowa pomiędzy klasą robotniczą i nami, którzy ją popieramy, a grupą politycznych menażerów, którzy opanowali władzę i rządzą tym krajem!

Wystąpienie Jana Wyki zostało skwitowane przez zebranych w sposób zróżnicowany. Mniej więcej jedna czwarta zebranych wybuchła frenetycznymi, trwającymi parę minut oklaskami. Mniej więcej trzy czwarte w tróznym milczeniu siedziało w krzesłach bez ruchu. L. Bartelski postarał się natychmiast o zakończenie demonstracji. Jest znamienne, że oklaskami skwitowali wystąpienie Wyki przede wszystkim młodzi wiekiem uczestnicy zebrania. Starsi członkowie ZLP zachowali z reguły milczenie.

Wacław Korabiewicz wystąpił w tonie bardzo spokojnym. Oświadczył, iż stosowanie represji i kar wobec pisarzy uczestniczących w akcji obrony klasy robotniczej, kar, polegających na uniemożliwieniu im publikacji swoich utworów, jest uderzeniem bynajmniej nie personalnie w tych ludzi, lecz w kulturę narodową. „Jeżeli uniemożliwia się publikowanie dzieł np. Kazimierzowi Brandysowi, to karze się nie tyle Brandysa, ile całą literaturę polską, polską kulturę!”. Zgłosił formalny wniosek: Zarząd OW i ZG ZLP podejmą natychmiast akcję zmierzającą do przekonania władz, iż powinny zaprzestać stosowania kar i represji wobec pisarzy zaangażowanych w obronę klasy robotniczej, polegających na uniemożliwianiu im publikowania swoich utworów.

L. Bartelski oświadczył, że wniosek włączony jest do protokołu i natychmiast przeszedł do porządku dziennego. W. Korabiewicz popełnił błąd: nie zgłosił jednocześnie wniosku o przeprowadzenie w sprawie zgłoszonej przez siebie propozycji natychmiastowego głosowania zebranych. Gdyby wniosek Korabiewicza został uchwalony większością głosów zebranych, stałby się aktem formalnie obowiązującym władze ZLP. Bez tego głosowania został po prostu odłożony *ad acta* przez Zarząd OW ZLP. Wskutek bardzo zręcznej taktyki L. Bartelskiego uniemożliwiono później zgłoszenie odrębnego wniosku o przeprowadzenie takiego głosowania.

Jako ostatni w dyskusji zabrał głos Marek Antoni Wasilewski. Przypominając wypowiedź Bartelskiego o spodziewanym spotkaniu E. Gierka ze „sporą ilością członków ZLP” pytał: kto będzie ewentualnie zaproszony na to spotkanie, kto będzie decydował o doborze kandydatów? A ci, którzy nie znajdują się wśród tej „sporej ilości”, będą pozbawieni możliwości wysłuchania

pierwszego sekretarza i wystąpienia z własnymi postulatami? E. Gierek przemawiał wielokrotnie do większej niż 1000-2000 ludzi grupy zebranych. Nie chyba nie stoi na przeszkodzie, aby na spotkanie takie zaprosić wszystkich członków Oddziału Warszawskiego ZLP, a może wszystkich członków Związku?

Widząc, że lista mówców zgłoszonych do dyskusji jest wyczerpana, L. Bartelski w znamienny sposób przystąpił do ostatniego punktu programu: wolne wnioski.

— Ostatni punkt naszego zebrania: wolne wnioski? Czy ktoś z kolegów zgłasza się do głosu? (Dokładnie sekunda oczekiwania). Nie widzę. Wobec tego ogłaszam zebranie za zamkniętą!

W spokoju i z poczuciem wyraźnego rozczarowania większość udała się natychmiast do domów. Niektórzy uczestnicy zebrania przez kilkadziesiąt minut toczyli jeszcze rozmowy kularowe, ujawniając zdumienie, po co w ogóle zebranie takie zostało zwołane.

Sprawa "Odry"

W grudniu 1976 roku ukazał się ostatni numer wrocławskiego miesięcznika *Odra* redagowany przez dotychczasowy zespół w składzie: Zbigniew Kubikowski — redaktor naczelny, Janina Wieczerska — zastępca redaktora naczelnego, Mieczysław Orski — sekretarz redakcji, Zbigniew Paluszak — redaktor graficzny, Piotr Kajewski, Tymoteusz Karpowicz, Urszula Koziół, Jacek Łukasiewicz, Ignacy Rutkiewicz, Andrzej Szczypiorski, Adam Zagajewski — redaktorzy działów. Stałymi współpracownikami tego pisma byli: Julian Bartosz, Wojciech Dzieduszycki, Andrzej Falkiewicz, Ludwik Flaszen, Mariusz Hermansdorfer, Józef Kelera, Tadeusz Różewicz, Franciszek Ryszka, Wiesław Saniewski, Jerzy Szperkowicz, Marian Wallek-Walewski, Krzysztof Wolicki, Henryk Worcell. Władze lokalne zwolniły redaktora naczelnego tego miesięcznika, Zbigniewa Kubikowskiego. Na znak protestu przeciwko tej decyzji odeszli razem z Kubikowskim: Tymoteusz Karpowicz, Jacek Łukasiewicz, Andrzej Szczypiorski i Adam Zagajewski. Wycofały się również wszystkie wodzące pióra współpracowników *Odry*: z Andrzejem Falkiewiczem, Ludwikiem Flaszenem, Józefem Kelera i Tadeuszem Różewiczem. Władze miejscowe zarzuciły *Odrze*, że przyciąga takich pisarzy-dysydentów jak Stanisław Barańczak i Adam Zagajewski i że nie chciała być regionalna tylko ogólnopolska. Oskarżenia te ze strony władz partyjnych były wysuwane przeciw pismu od lat, teraz zamieniły się w ukaz. Nowym redaktorem miesięcznika, zachowującego tę samą nazwę i szatę graficzną został major Waldemar Kotowicz, autor książki „Frontowe drogi”, którą — jak sam informuje o sobie w pierwszym, redagowanym przez siebie (styczeń 1977) numerze nowej *Odry* — przełożono również na język mongolski. Jego zastępcą miał być Witold Stankiewicz, były cenzor wojewódzki we Wrocławiu. Po jego nagłej śmierci mianowano na to stanowisko Ryszarda Pollaka, partyjnego dziennikarza wrocławskich gazet codziennych. W nowym zespole pozostali niektórzy dawni redaktorzy pisma jak: Piotr Kajewski, Urszula Koziół, Mieczysław Orski, Zbigniew Paluszak i Ignacy Rutkiewicz. Nazwisk nowych stałych współpracowników — nie podano.

Sąsiedzi

Emigracja słowacka na Zachodzie

Ogólnie twierdzi się, że na Zachodzie żyje ponad trzy miliony Słowaków, czyli niemal połowa całego narodu słowackiego. Zbytne wydają się jednak polemiki z tym twierdzeniem, ponieważ nie ma dokładnych statystyk ani też nie zdefiniowano dotąd, kogo można uważać za zagranicznego Słowaka — czy emigrantów pierwszego lub drugiego pokolenia, czy wreszcie wszystkich tych, którzy podają pochodzenie słowackie, nawet jeśli zostali całkowicie zasymilowani w krajach osiedlenia. Celem niniejszego artykułu jest nakreślenie obrazu obecnej słowackiej emigracji politycznej, którą na Zachodzie dość często określa się — niesłusznie — mianem emigracji czechosłowackiej, zastępując pojęcie przynależności narodowej państwową. Jeśli zatem wymieniamy ogólną liczbę Słowaków, przebywających w krajach Zachodu, czynimy to dlatego, że choć przeważająca ich większość zalicza się do emigracji tzw. społecznej, to przecież oni, zagraniczni Słowacy, zawsze odgrywali poważną rolę polityczną, wywierali wielki wpływ na życie narodu słowackiego w kraju.

Już w drugiej połowie ubiegłego stulecia Słowacy zmuszeni byli opuścić swą ojczyznę — wówczas Austro-Węgry — gdyż nie byli w stanie się wyżywić. W latach 1860-1900 opuściło Słowację ponad milion ludzi, w większości udając się do Stanów Zjednoczonych. Odplyw ten trwał — choć w mniejszym stopniu — w okresie Pierwszej Republiki Czechosłowackiej (1918-1939), albowiem ten twór państwowy nie potrafił zapewnić warunków egzystencji Słowakom. Stąd też tak wielkie rzesze Słowaków w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, następnie — choć w mniejszej liczbie — we Francji i innych krajach Europy, w Argentynie i Australii. Mowa tu oczywiście o emigracji zarobkowej. Z właściwą słowacką emigracją polityczną spotykamy się dopiero po roku 1945, gdyż zarówno w okresie pierwszej jak i drugiej wojny światowej liczba słowackich działaczy politycznych poza granicami kraju była znikoma. Mimo to właśnie emigracji zarobkowej

zawdzięczają oni tę wybitną rolę, jaką odegrali. Milan Rastislav Štefánik, generał francuski, był w stanie oprzeć się na amerykańskich Słowakach, głównie na Lidze Słowackiej, której reprezentanci — również w imieniu narodu słowackiego — byli sygnatariuszami umowy pittsburskiej, stanowiącej fundament późniejszego wspólnego państwa Czechów i Słowaków. W okresie drugiej wojny światowej do najwybitniejszych słowackich emigrantów politycznych należy były szef rządu czechosłowacji Hodža, który jednak z uwagi na opozycję w stosunku do Benesa większej roli w rządzie emigracyjnym nie odegrał.

Obecną zagraniczną społeczność Słowaków wciąż jeszcze dzielić należy na dwie zasadnicze grupy: 1) emigrację zarobkową starszej daty, która zapuściła trwałe korzenie w krajach udzielających im schronienia, ale która bierze czynny udział w słowackim życiu kulturalnym i politycznym na wygnaniu oraz 2) emigrację polityczną *sui generis*. Tę ostatnią można by nazwać motorem akcji politycznych, podczas gdy ta pierwsza spełnia rolę materiału pędnego czy zaplecza.

Słowacka emigracja polityczna — jak zresztą każda emigracja — nie jest jednolita pod względem ideowym. Wpływ na ten stan rzeczy miały m.in. okoliczności oraz przyczyny opuszczenia kraju. W zasadzie panuje zgoda co do konieczności wyzwolenia Słowaków z kajdan obecnego reżymu; rozbieżności dotyczą poglądów na przyszłe urządzenie Słowacji. Nieznaczna część skłania się ku utrzymaniu Republiki Czechosłowackiej — w formie federalnej. Utrzymanie zasady jednolitego narodu czechosłowackiego popiera zaledwie kilka jednostek. Większość emigracji słowackiej dąży do niezależnej Słowacji, ewentualnie w ramach szerszej federacji śródkowo- czy ogólnoeuropejskiej.

Podział społeczności zagranicznych Słowaków na emigrację zarobkową i polityczną, na orientację czechosłowacką czy też czysto słowacką nie jest jednak wyczerpujący. Obok owego podziału poziomego wskazane jest dokonanie podziału pionowego, gdzie istotnym elementem jest czas opuszczenia kraju, przynależność religijna, stosunek do dawnych twórców państwowych, w których zamieszkiwali Słowacy, wreszcie stosunek do obecnego reżymu komunistycznego. Należy ponadto uwzględniać geograficzne rozmieszczenie emigrantów, ponieważ warunki życiowe, prądy ideowe i życie polityczne w tym czy innym kraju lub na tym czy innym kontynencie wywierały wpływ na kształtowanie światopoglądu emigranta oraz wybór metod politycznego działania. W łonie emigracji słowackiej dostrzega się bardzo wyraźną odmienność poglądów, np. na sytuację międzynarodową, w zależności od tego, czy ma się do czynienia ze Słowakiem z Europy czy Stanów Zjednoczonych.

Z punktu widzenia chronologii przybycia na Zachód polityczną emigrację słowacką należy podzielić na trzy wielkie grupy, które z czasem zaczęły się o emigrację zarobkową, ubiegały się o jej pomoc i przyjaźń, by potem wciągnąć ją w wir działalności politycznej.

1. Pierwsza fala emigracyjna po drugiej wojnie światowej, emigracja z Republiki Słowackiej (która powstała na mocy uchwały słowackiego parlamentu autonomicznego oraz wskutek nacisku Niemców po okupacji Czech i Moraw przez wojska naziistowskie w marcu 1939) miała wspólny mianownik: ideę ciągłości państwowości słowackiej. Emigracja ta występowała zatem jednoznacznie przeciwko egzystencji Republiki Czechosłowackiej, bez względu na jej ustrój państwowy. Reżym Benesa no i oczywiście — komunistyczny określały tę emigrację jako faszystowską. W użyciu były takie epitety, jak kolaborant, klerofaszysta, „l'udak” — a to dlatego, że emigracja ta zawsze odwoływała się do katolickiej tradycji narodowej. Mimo oczerniania, ta właśnie fala emigracyjna rozwinęła szeroką działalność, w szczególności przy pomocy wielkich organizacji Słowaków amerykańskich, zdołała też zdobyć dla swych celów poparcie następnych fal emigracyjnych. Najwybitniejsi reprezentanci tej fali to przede wszystkim te osobistości, które jeszcze na samym początku istnienia Republiki Słowackiej — wskutek nacisku Hitlera — odsunięte zostały od wpływów w kierownictwie państwowym: Karol Sidor, którego wysłano jako posła do Watykanu; Jozef Kirschbaum, odsunięty i mianowany posłem w Bernie; wreszcie Ferdinand Durczanský, były minister spraw zagranicznych, od roku 1941 zajmujący się swą kancelarią adwokacką oraz profesurą na uniwersytecie. Karol Sidor i Durczanský z czasem zmarli, ale ich koncepcje polityczne znajdują wciąż jeszcze odbicie w łonie tej fali emigracyjnej, dzielącej się na początku na dwa obozy: radykalny — reprezentowany przez Durczanskiego oraz umiarkowany — przez Sidora i Kirschbauma. Pierwszy obóz skupiał się wokół Słowackiego Komitetu Wyzwolenia, drugi natomiast w Słowackiej Radzie Narodowej, które to organizacje z czasem utraciły swe cechy odrębne i struktury organizacyjne, by w roku 1970 stać się jednym z podstawowych czynników powstałego Światowego Kongresu Słowaków.

2. Emigracja roku 1948 uchodziła z kraju za granicę po gorzkim doświadczeniu współpracy z komunistami, którzy zdobyli władzę w wyniku puczu. W przeważającej mierze byli to działacze Demokratycznej Partii Słowacji, która w wyborach z roku 1946 zdobyła prawie 60 % głosów na Słowacji, a to dzięki aktywnemu skrzydłu katolickiemu, które zdołało pozyskać również zwolenników ruchu autonomicznego Hlinki i Republiki Słowackiej mimo że, kierownictwo partii w większości znajdowało się w rękach słowackich protestantów o orientacji proczechosłowackiej. Działacze ci, choć skarżyli się na nierozsądną wyborców czeskich na ziemiach czeskich i na Morawach głosujących masowo na komunistów i socjaldemokratów, z chwilą gdy znaleźli się na emigracji w przeważającej większości skupili się wokół powstałej w Ameryce Rady Wolnej Czechosłowacji stojąc na stanowisku równouprawnienia narodów czeskiego i słowackiego. Organizacja ta, po bujnym rozkwicie w okresie zimnej wojny, przekształciła

się z czasem w bardziej lub mniej papierową. Jej słowackimi filarami byli przewodniczący DPS Lettrich (dziś już nieżyjący), byli członkowie Rady Pełnomocników na Słowacji: Kornel Filo, Martin Kvetko, Samo Belusz — obecnie dyrektor rozgłośni czechosłowackiej Radia Wolna Europa. Inną, dziś jeszcze istniejącą, słowacką organizacją polityczną o nastawieniu proczechosłowackim jest Stała Konferencja Emigrantów Słowackich z Martinem Kvetko i Rudolfem Frasztackim na czele. Ten ostatni w roku 1975 został także przewodniczącym na nowo wskrzeszonej Rady Wolnej Czechosłowacji. Mniejszość przedstawicieli tej fali emigracyjnej skłaniała się ku tendencji odrodzenia państwowości słowackiej reprezentowanej m.in. przez pośła Emanuela Boehma, Staszke i innych — emigrantów z roku 1945.

3. Emigracja posierpniowa (1968) charakteryzuje się znacznym zróżnicowaniem światopoglądowym. Składa się z wielu ugrupowań, przeważnie bez celów politycznych. W przeciwieństwie do emigracji czeskiej z tego okresu, wśród Słowaków z trudem można znaleźć zawiedzionych komunistów. Przyczyną tego stanu rzeczy jest prawdopodobnie ta okoliczność, że komunizm nie zdobył dostatecznie żyznej gleby na Słowacji a to z powodu silnych uczuć religijnych ludności. Dlatego też ruch reformatorski na Słowacji przejawiał się przede wszystkim w wysiłkach zmierzających do wprowadzenia ustroju federalnego, a zatem do zaspokojenia aspiracji narodowych. Poważną część tej grupy składa się z ludzi twierdzących, że ich zdolności i ambicje nie były w kraju należycie ocenione i dlatego szukali szczęścia na Zachodzie. Inni znów wykorzystali stosunkowo łatwy sposób ucieczki, by uregulować swe sprawy osobiste lub rodzinne. Obok nich znaleźli się także na Zachodzie ludzie rzeczywiście przez reżym prześladowani, którzy swój zamiar wyrwania się poza granice kraju, by tam walczyć o lepsze warunki życia Słowaków, zrealizować mogli dopiero w związku z sierpniowym wstrząsem w Czechosłowacji. Ludzie ci w znakomitej większości przyłączyli się do tych ugrupowań emigracji słowackiej, które stoją na gruncie słowackiej państwowości. W miarę upływu czasu także w tych dwu pierwszych odłamach posierpniowej emigracji, tych apolitycznych, dochodzi do kształtowania się określonego światopoglądu czy motywacji politycznej — czy to marksistowskiej (w bardzo małym stopniu), socjalistyczno-reformatorskiej, liberalnej, chrześcijańsko-demokratycznej względnie „nowoludackiej”.

Spółeczność zagranicznych Słowaków, w masie swej kształtowana przez emigrację zarobkową oraz kolejne fale emigracji politycznej, siłą rzeczy skupia się wokół organizacji obrony interesów ale także politycznych. Nie sposób je tu wszystkie wymienić. Ograniczmy się zatem do ogólnego zarysu, podając dla przykładu tylko niektóre. Najsilniejsze słowackie zrzeszenia i organizacje działają na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady. Zrzeszają one obywateli pochodzenia słowackiego, którzy wyemi-

growali z przyczyn społecznych, i tworzone są przede wszystkim na zasadzie wyznaniowej. Przynależność do określonego wyznania określała z reguły nastawienie polityczne — tendencja katolicka skłaniała się ku idei suwerenności słowackiej, natomiast protestancka bliższa była Czechom i broniła zasady wspólnego państwa Czechów i Słowaków. Procentowo (zaokrąglając) stosunek ten dałby się wyrazić następująco: 80 % zwolenników tendencji katolickiej, 20 % protestanckiej. Zrzeszenia te — podobnie jak zrzeszenia polonii amerykańskiej — mają charakter organizacji wspierających. Najbardziej znaną organizacją słowacką na ziemi amerykańskiej jest Liga Słowacka, która już w odległej przeszłości odgrywała ważną rolę polityczną. Popierały ją inne, stosunkowo dość bogate zrzeszenia, jak Pierwsza Jednota Katolicka, Stowarzyszenie Katolików Słowackich, Jednota Kobieta, Katolicki Sokół, protestancki Związek Narodowy i inne. W Kanadzie działa Kanadyjska Liga Słowacka.

Przyływ kolejnych fal emigracyjnych prowadził do zakładania różnorodnych organizacji i zrzeszeń, początkowo o charakterze społecznym, później jednak także politycznym. Organizacje te szybko powstawały i znikły z powierzchni. Zmieniały też często swe cele i zamiary. Skoro mowa tu o emigracji słowackiej, wyłączmy przeto z naszych rozważań organizacje nazywające się czechosłowackimi — zrzeszają one przede wszystkim emigrantów pochodzenia czeskiego, chełpią się jednak, że należą do nich nieco Słowaków.

Największą liczbę emigracyjnych zrzeszeń, rzeczywistych bądź na papierze, wykazuje Republika Federalna Niemiec, gdzie warunki dla prowadzenia działalności emigracyjnej były przychylniejsze niż na przykład we Francji — tam liczba słowackich emigrantów politycznych (w odróżnieniu od emigrantów zarobkowych) sprowadza się zaledwie do kilkudziesięciu. Emigracja posierpniowa znalazła schronienie również w Szwajcarii. Tam warunki okazały się bardzo przychylne do tworzenia organizacji przede wszystkim o charakterze kulturalnym, ponieważ działalność polityczna z uwagi na ścisłą neutralność tego kraju jest poważnie ograniczona. Inne słowackie związki i instytucje działają we Włoszech, w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii i w Austrii. Istotnym czynnikiem życia na emigracji jest działalność słowackich misji katolickich, które pomagają Słowakom wytrwać. Misje te działają we wszystkich krajach Europy i są poważnym ogniwem łączącym różne grupy rozdrobnionej częstokroć pod względem światopoglądowym emigracji.

Ostatnio pragnienie zjednoczenia ogarnia poważną część słowackiej emigracji politycznej. Tylko mniejszość skłania się bowiem do koncepcji czechosłowackiej, większość znajduje zadowolenie pod parasolem Światowego Kongresu Słowaków. Zgodnie ze Statutem tej organizacji cele jej i zadania są następujące: a) wspieranie kulturalnego, naukowego, politycznego, religijnego, społecznego i ekonomicznego rozwoju narodu słowackiego oraz wszystkich ludzi pochodzenia słowackiego; b) reprezentowanie

Słowaków wobec światowej opinii publicznej i wyjaśnianie prawa narodu słowackiego do samostanowienia; c) stwarzanie warunków do uznania w świetle prawa międzynarodowego osobowości i wynikającej stąd suwerenności narodu słowackiego jako naturalnej i prawnej podstawy jego własnej niezależności państwowej. (Cyt. ze Statutu Światowego Kongresu Słowaków uchwalonego 19 czerwca 1971 roku na zgromadzeniu generalnym w Toronto, w rok po założeniu).

Inicjatorem stworzenia tej ogólnoswiatowej organizacji Słowaków jest kanadyjski przemysłowiec pochodzenia słowackiego Stefan B. Roman, do roku 1970 politycznie niezaangażowany. Przy poparciu przedstawicieli różnych prądów politycznych emigracji słowackiej zdołał doprowadzić do zjednoczenia najważniejszych organizacji słowackich na Zachodzie. Dziś Światowy Kongres Słowaków zrzesza różne organizacje polityczne, często o sprzecznej orientacji. W Prezydium Kongresu zasiadają przedstawiciele różnych fal emigracji: Jozef Kirschbaum — z pierwszej — wraz z Imrichem Kružliakiem z Rozgłośni Wolna Europa — druga — są pracującymi wiceprzewodniczącymi; Frantiszek Braxator, wiceprzewodniczący na Europę — posierpniowy; pastor ewangelicki Duszán Toth, sekretarz generalny — posierpniowy; Eugen Loeb, ofiara procesu przeciwko Slansky'emu i towarzyszom, wyznania mojżeszowego. Ograniczamy się tylko do najbardziej charakterystycznych przykładów.

Do Kongresu przyłączyły się najbardziej reprezentatywne organizacje słowackie w Niemczech Zachodnich (których liczba jest tak wielka, że nie sposób byłoby je tu wymieniać), Szwajcarii (Stowarzyszenie Przyjaciół Słowacji w Szwajcarii), we Francji (Związek Przyjaźni Francusko-Słowackiej), w Wielkiej Brytanii (Koło Słowackie) i wiele innych.

Mówiąc o emigracji słowackiej w wolnym świecie i pragnąc nakreślić możliwie pełny obraz życia społeczności słowackiej na wygnaniu nie sposób pominąć instytucji wydawniczych i prasy. Są one bowiem istotnym spoiwem życia tej społeczności. Zatrzymajmy się więc przynajmniej na najważniejszych publikacjach, ponieważ przy tej okazji można wspomnieć też instytucje, które je wydają. Wielką działalność wydawniczą prowadzi Zakład Świętego Cyryla i Metodego w Rzymie — miesięcznik *Hlas z Rima* i literatura religijna; Instytut Słowacki w Cleveland — przegląd literacko-naukowy *Most*; Liga Słowacka w Ameryce — publikuje w języku angielskim *Slovakia*; Instytut Słowacki w Rzymie — periodyk naukowy *Slovak Studies*; Zakład Matusza Czernáka w Kolonii — przegląd *Slovakie* i miesięcznik w języku słowackim *Slobodné Slovensko*; wydawnictwo Pol'ana w Zürichu — doskonały, o nastawieniu pluralistycznym miesięcznik *Horizont* oraz liczne książki, m.in. przekład Sołżenicynowskiego Gułagu; Wydawnictwo Jezuitów Słowackich w Kanadzie, Cambridge, „Dobrá kniha” i inne.

Robert AIGNER

(Tłumaczył Stefan Michnik)

W sowieckiej prasie

Trzy wydarzenia z końca starego 1976 i początków nowego 1977 roku zilustrowały niepewność sytuacji w Związku Sowieckim, niezdecydowanie wodzów, którzy nie wiedzą jaką wybrać politykę dla rozwiązania szeregu problemów ekonomicznych, wewnętrzno-politycznych i dotyczących polityki zagranicznej. Pierwszym takim wydarzeniem było długo oczekiwane, i od dawna nie żałując środków przygotowywane: 70-ciolecie generalnego sekretarza, Leonida Breżniewa; drugim niespodziewana i wydająca się niewiarygodną (ale której koncepcja była sformułowana przez sowieckich emigrantów — wymiana Władimira Bukowskiego więźnia Władimira na więźnia chilijskiego Luisa Carvalana; trzecim — także całkowicie nieoczekiwanym — wybuch w moskiewskim metro.

Dzień urodzin Leonida Iljicza przeszedł — jak należało oczekiwać — bardzo dobrze: artykuły w pismach, liczne fotografie ze wszystkimi orderami, lub tylko ich częścią, z dziećmi, z robotnikami, w polu po ramiona w pszenicy, z konstruktorami raket itd., itp. W ciągu 10 dni gratulacyjne listy od wdzięcznych mieszkańców naszej planety. Uczucia te, którymi przepełniona była w owe uroczyste dni ludzkość, najlepiej wyraziło dwóch ludzi. Były adiutant Breżniewa, ppłk rezerwy I. Krawczuk napisał: „Podkreślam, mego dowódcę kochano bezgranicznie za to, że sam był w swych zaletach ludzkich i oficerskich idealnym przykładem wszystkiego we wszystkim” (*Prawda*, 19. 12. 1976). Polski pisarz — Jerzy Putrament napisał: „Oto dlaczego chcę powtórzyć (adiutant pisał „podkreślić” — A.K.), że zasługa zażegnania trzeciego światowego pożaru przypada przede wszystkim i głównie miłującej pokój ojczyźnie Sowieców, komunistycznej partii Związku Sowieckiego z generalnym sekretarzem jej Centralnego Komitetu, towarzyszem Leonidem Breżniewem... My szczerzimy się partią, której przewodzi Leonid Iljicz Breżniew. Posiada ona dostatecznie dużo doświadczenia, mądrości, ostrożności i przewidywania w każdej sytuacji (*Litieraturnaja Gazeta*, 15. 12. 1976*)

Kulminacyjnym punktem święta było wręczenie jubilatowi trzeciej złotej gwiazdy, dającej obecnie, już najbardziej legalnie, prawo do pomnika w Moskwie. Na fotografii, która ozdobiła pierwsze strony wszystkich pism sowieckich, widzimy ten podniosły moment: Podgorny drżącymi oboma rękami wpina w marynarkę Breżniewa złotą gwiazdę, a obok półkolem stoją wodzowie sowieccy i bratnich partii radośnie bijąc w rączki.

* Nie wiadomo kogo miał na myśli „polski pisarz Jerzy Putrament” — tak podpisał swój artykuł — mówiąc my jesteśmy dumni. Zresztą możliwe, że jest to *pluralis majestaticus*.

Potem wodzowie kierowali do wodza dziękiżne słowa. Specjalnie interesująco wyglądały dziękiżne przemówienia gości. Jednakowe uczucie głębokiej radości z powodu 70-ciolecia szefowie bratnich partii wyrażali nieco odmiennymi słowami. Sekretarz mongolskiej kompartii Ju. Cedenbał powiedział otwarcie: „Witając naszego bliskiego przyjaciela starszego brata...”; sekretarz bułgarskiej kompartii T. Żiwkow miłośnie: „Każde bułgarskie serce... chroni wasz obraz i wasze zasługi dla socjalistycznej Bułgarii...”; sekretarz czechosłowackiej kompartii Husak z przejęciem: „Nasza partia i nasz naród szanują was, Leonidzie Iljicz...”. I naród czechosłowacki — jak się okazuje — „chroni w sercach pamięć” o Breżniewie, co prawda tylko pamięć o udziale generalnego sekretarza w wojnie z niemieckim faszyzmem, zwycięstwo nad którym „przyniosło Czechosłowacji wolność”. Sekretarz polskiej kompartii E. Gierek mówił rzeczowo: „My wysoko cenimy ludzi, którzy oddają wszystkie swoje siły dla dobra narodu” ale nie wspominał o osobistych zasługach Leonida Iljicza dla podniesienia dobrobytu Polski. Z zachwytem mówił o „ogromnej działalności osobistej towarzysza L. I. Breżniewa” Raul Castro, który przekazał mu „uczucia niezłomnej przyjaźni i wielkiej miłości oraz wiecznej wdzięczności wszystkich kubańskich komunistów”.

Wśród dziesiątków powitalnych przemówień nie zwrócił specjalnej uwagi toast sekretarza kompartii Urugwaju R. Arismendi'ego, który zaproponował wypicie za „międzynarodową solidarność, którą zawsze przejawia w stosunku do narodów Ameryki Łacińskiej Leonid Iljicz Breżniew”. R. Arismendi zrobił aluzję do pomyślnego zakończenia tajnych pertraktacji, prowadzonych między Breżniewem a Pinochetem przy pośrednictwie Amerykanów, w sprawie wymiany Władimira Bukowskiego na Luisa Carvalana.

Przybycie towarzysza Carvalana na jubileusz miało być punktem szczytowym święta. Ale to jakoś nie wyszło. TASS podał 18 grudnia całemu światu: „Towarzysz Luis Carvalan na wolności! Na skutek ogromnego ruchu solidarności z chilijskimi patriotami i demokratami narodów Związku Sowieckiego i innych krajów socjalistycznych, dzięki energicznemu wysiłkom międzynarodowych organizacji i postępowego społeczeństwa wszystkich krajów świata, został on wyrwany z więziennych katowni...”. Ale dzień przedtem, 17 grudnia, Andriej Sacharow poinformował korespondentów zagranicznych, że sowiecki dysydent Władimir Bukowski, skazany w styczniu 1972 roku na 7 lat pozbawienia wolności, został zwolniony w zamian za zwolnienie Luisa Carvalana. 18 grudnia, na lotnisku w Zurychu, na oczach całego świata nastąpiła wymiana więźniów.

Propaganda sowiecka znalazła się w trudnej sytuacji: trzeba było czarne przedstawić jako białe. Nie jest to nic nowego dla sowieckiej propagandy, gdyż zajmuje się ona tym już od 60-ciu lat. Ale obecnie warunki były specjalne: „fokus” musiał być zrobiony jawnie.

Gdy Politbiuro powzięło decyzję wymiany Carvalana na Bukowskiego mając niewątpliwie na myśli zrobienie podarku generalnemu sekretarzowi, opierało się na tradycji. Tradycji handlu ludźmi między generalnymi sekretarzami sowieckiej kompartii i dyktatorami. W 1934 roku Stalin wymienił u Hitlera Dymitrowa na niemieckich szpiegów więzionych w ZSSR. W 1940 roku Stalin wymienił u Horty'ego Matiasa Rakosi na sztandary węgierskie, zdobyte przez żołnierzy rosyjskich w 1848 roku. Zresztą w poszukiwaniu tradycji handlu zakładnikami można pójść jeszcze dalej — do ojca państwa sowieckiego. W 1922 roku Lenin napisał znamienny artykuł: „Myśmy zapłacili zbyt drogo”, w którym ostro zarzucał Bucharinowi i Radkowi że w zamian za obietnicę europejskich socjalistów — podtrzymania władzy sowieckiej — nie będą rozstrzelani członkowie partii socjal-rewolucjonistów, sążeni na jednym z pierwszych sfałszowanych procesów sowieckich. Władimir Iljicz znał cenę zakładników. Niewątpliwie z socjalistami było łatwiej się targować. Zwolennicy „burżuazyjnego humanizmu” cenili ludzkie życie. Trudniej targować się z duchowymi braćmi — dyktatorami. Tu na litość nie można nabrać. Trzeba wymieniać głowę za głowę. Tak więc za głowę „generalnego sekretarza komunistycznej partii Chile” trzeba było dać głowę „antysowieckiego Bukowskiego”.

Cynizm wymiany i jej niewygodą z punktu widzenia propagandy sowieckiej były podkreślone wyraźną niechęcią „towarzysza Carvalana” do wzięcia udziału w spektaklu. „Podarek” nie zjawił się przy stole jubilata. Radosne tytuły w gazetach: „Zwycięstwo solidarności”, „Witaj, drogi przyjacielu”, a nawet życzliwie familiarne „Witaj towarzyszu Luczo”, radosne cytaty z pism bułgarskich, hawańskich, wschodnio-berlińskich, sławiące „niewzruszoną wierność ZSSR dla zasad proletariackiej solidarności” itd. — a tu „towarzysz Luczo” zjawił się u swego wybawcy dopiero 23 grudnia. Następnego dnia wszystkie sowieckie gazety zamieściły fotografię, którą — moim zdaniem — można uważać za fotografię roku: wielki gruby, przypominający niedźwiedzia Breżniew, szeroko otwierający ramiona w które wpada maleńki jak myszka towarzysz Carvalan. I Breżniew i Carvalan pokazują w uśmiechu zęby. Rozcałowawszy się z Leonidem Iljiczem „towarzysz Luczo” wyjechał ze Związku Sowieckiego. Jak piszą w *tournee* po bratnich krajach. Ale w każdym razie opuścił ojczyznę światowego proletariatu.

Można przypuszczać, że Luis Carvalan miał nadzieję, że będzie zwolniony w inny sposób: rzeczywiście pod naciskiem światowej opinii społecznej. Jak wiadomo, gdy rozeszły się pierwsze pogłoski o ewentualności jego wymiany na Bukowskiego, sekretarz generalny kompartii chilijskiej rozmawiając telefonicznie ze swego więźnia z korespondentem zagranicznym (we wladimirskim więzieniu jak dotąd więźniowie nie korzystają z telefonu...), twardo oświadczył, że jeśli będą go wymieniali to nie wyjdzie na wolność. Ale jak lubią mówić w Moskwie: nie możesz — nauczymy; nie chcesz — zmusimy...

Co osiągnął Breżniew zamawiając sobie w charakterze jubileuszowego tortu Carvalana? Dziś można to już podsumować. Na skutek tej wymiany miliony czytelników gazet i widzów postawiły znak równości między Breżniewem a Pinochetem. Wymiana Carvalana na Bukowskiego okazała się, z punktu widzenia interesów Breżniewa — głupotą. Tak zakończyło się święto.

Święto się skończyło i zaczął się dzień powszedni. 8 stycznia 1977 roku TASS podał króciutkie oświadczenie: „8 stycznia nastąpił wybuch o słabej mocy na stacji metra moskiewskiego. Wśród pasażerów są ranni; okazano im pomoc lekarską; prowadzi się śledztwo”. Komunikat ten ukazał się tylko w jednym piśmie — *Moskowskaja Prawda* w dolnym rogu trzeciej strony. Tytuł najbardziej bezbarwny: „Informacja”. Na zachód wiadomość o wybuchu w metro moskiewskim przekazał Victor Luis, sowiecki korespondent londyńskiego pisma *Evening News*, którego Andriej Sacharow nazwał „znanym agentem KGB”. Luis już wiedział, że śledztwo szuka winnych wśród „dysydentów”. Sowieccy „dysydenci” — Andriej Sacharow, przedstawiciel Komitetu — Jurij Orłow i przedstawiciel Amnesty International w Moskwie — Turczyn 14 stycznia złożyli oświadczenie w którym nazywanie „dysydentami” prawdziwych czy wymyślonych terrorystów uważają za prowokację, obliczoną na skompromitowanie dysydentów w Związku Sowieckim.

Przeszedł miesiąc od „prawdziwego czy wymyślonego” wybuchu w moskiewskim metrze. Śledztwo, jak dotąd, nie dało żadnych rezultatów. Jest jasne, że „dysydenci” — to jest ci, którzy w Związku Sowieckim walczą o prawa człowieka, o przestrzeganie uchwał w Helsinkach i o amnestię dla więźniów politycznych — nie mają żadnego związku z wybuchem — o ile miał miejsce. Powtarzam — jeśli wybuch miał miejsce, jak dotąd bowiem oprócz komunikatu TASS'a i oświadczenia Victora Luisa nie ma na to żadnych dowodów. Można więc przypuszczać, że wiadomość o wybuchu rozpowszechniła KGB w celach prowokacyjnych. Wystarczy przekartkować „Archipelag Gułag”, by znaleźć dziesiątki przykładów niepohamowanej fantazji pracowników „Organów”, wymyślających szczegóły okropnych spisków i aktów terrorystycznych, nigdzie w rzeczywistości nie istniejących w naturze. Rozstrzelano lub zgębniono w łagrach setki tysięcy ludzi za udział w wymyślonych aktach terrorystycznych. Dlatego nie ma nic dziwnego że KGB rozpowszechniło pogłoski o wybuchu, który samo wymyśliło. Można mieć tylko jedno zastrzeżenie. Sowieckie organy chętnie korzystały z oskarżeń o działalność terrorystyczną gdy o terrorze w Związku Sowieckim nikt nie myślał, gdy nawet książki o rosyjskich terrorystach z XIX wieku — narodowolcach — były zakazane. Dzisiaj kłamliwa wiadomość o wybuchu może nasunąć myśl o wybuchu. Szereg lat temu sowieckie gazety pisały z zachwytem o sukcesach bohaterów palestyńskich, porywających samoloty. Piękne opisy „heroicznych

akcji” walczących ze syjonizmem dały rezultaty: zaczęły się porywania sowieckich samolotów.

Sowieckie pisma także dużo pisały o terrorystach: z aprobatą opisywano zamordowanie izraelskich sportowców w Monachium, z oburzeniem — o środkach zastosowanych przez Izrael wobec terrorystów. Victor Luis mówiąc o wybuchu powiedział, że „dysydenci” zorganizowali go pod wpływem prasy zachodniej zbytnio reklamującej sukcesy bandy Baadera i Patrycji Hearst. W rzeczywistości to prasa sowiecka reklamowała i terrorystów-Palestyńczyków i bandę Baadera i Patrycję Hearst. Gdy w *Prawdzie* — obok raportu Breżniewa z wezwaniem do podniesienia wydajności pracy kombajnów — zamieszcza się niewielką wzmiankę o sukcesach terrorystów, wywołuje ona znacznie silniejsze wrażenie niż wiadomość o tychże terrorystach na pierwszej stronie *New York Times'a* gdzie na 40 pozostałych stronach jest inny materiał do czytania.

Jeśli jednak wybuch w metrze moskiewskim miał miejsce, to nie można wykluczyć wersji o akcie terrorystycznym dokonanym przez terrorystę czy terrorystów. Nie ma wątpliwości, że narastające w Związku Sowieckim niezadowolenie będzie szukało innych form oprócz „Obrony Praw Człowieka” i walki o przeżeganie sowieckiej Konstytucji.

Mówi się, że historia nigdy nikogo niczego nie nauczyła. To prawda. Ale historia pozwala szukać i znajdować analogie, paralele. W Rosji XIX wieku, po okresie pokojowego „chodzenia w lud” rozpoczął się okres działalności terrorystycznej, który zakończył się zabójstwem Aleksandra II. Historia ostatnich lat daje przykłady potwierdzające możliwość podobnego rozwoju sytuacji. W 1969 roku 22-letni lejtnant Iljin strzelał u wrót kremleskich do sznura samochodów, a w jednym z nich siedział Breżniew. W 1973 roku nastąpił wybuch w mauzoleum Lenina. Jeśli przeanalizować wiadomości o procesach sądowych w Związku Sowieckim za ostatnie lata — o procesach zarejestrowanych przez samizdatowską „Kronikę bieżących wydarzeń”, ale nie znajdujących echa za granicą z powodu anonimowości oskarżonych, to łatwo wyciągnąć wniosek: myśl o niezbędności aktywnych działań rozszerza się coraz bardziej. Bunt na sowieckim okręcie wojennym w listopadzie 1975 roku jest przykładem takiej działalności.

Dzisiaj nie możemy jeszcze powiedzieć czy „wybuch w metrze” był wybuchem czy tylko plotką, dziełem terrorystów czy prowokacją KGB. Jednakowoż można stwierdzić, że wiadomość o wybuchu otwiera nowy rozdział w represyjnej polityce KGB. 4 lutego dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Aleksandra Ginzburga, jednego z najbardziej znanych sowieckich dysydentów, który dwukrotnie siedział już w łagrach, i który zawiadywał funduszem pomocy dla sowieckich więźniów politycznych. 5 lutego dowiedzieliśmy się o usunięciu ze Związku Sowieckiego dziennikarza amerykańskiego, przedstawiciela agencji *Associated Press*. Jest to

pierwszy, po podpisaniu umowy w Helsinkach, wypadek wysiedlenia korespondenta zagranicznego.

Te dwa wydarzenia wskazują w jakim kierunku zamierzają działać „Organy”. W okresie ostatniego półtora roku po Helsinkach „Organy” nie mogły się zdecydować jaką wybrać politykę, jakimi metodami walczyć z „inaczej myślącymi”. Dziś widać, że decyzja została powzięta. W stosunku do dysydentów zdecydowano stosować surowe represje. By nikt nie mógł oskarżyć KGB o aresztowanie „za poglądy polityczne” Ginzburgowi w czasie rewizji podrzucono waluty zagraniczne. W *Literaturnoj Gaziecie* zamieszczono list długoletniego więźnia stalinowskich, chruszczowowskich i breżniewskich łagrów, Pietrowa-Agatowa, który poszedł na służbę do KGB. Oskarża on Aleksandra Ginzburga, z którym przez rok przebywał w jednej celi, o związki „ze światem przestępczym”, z kryminalistami.

Drugi kierunek uderzenia to dziennikarze zagraniczni. Nabrawszy odwagi po Helsinkach (może nie całkowicie, ale w każdym razie troszeczkę) przy pomocy dysydentów osiągnęli oni rzecz niewiarygodną. KGB było zmuszone pracować na oczach całego świata. O każdym aresztowaniu, o każdej rewizji Zachód jest natychmiast poinformowany. Sytuacja jest tym bardziej niewygodna, że europejskie partie komunistyczne, które jeszcze nie tak dawno były skuteczną drugą kurtyną zasłaniającą robotę KGB, zaczynają zmieniać stosunek do „ojczyzny światowego proletariatu”. Coraz więc częściej, w uzupełnieniu propagandowej kampanii przeciwko „wewnętrznym wrogom”, dysydentom i zewnętrznym wrogom-zachodnim dziennikarzom, pojawiają się w ZSSR artykuły skierowane przeciw niektórym europejskim kompartiom, przede wszystkim włoskiej, a w ostatnich czasach i francuskiej. Ton niektórych z tych artykułów przypomina dawne dobre czasy kiedy kierownicy zagranicznych kompartii narazili się na gniew Moskwy, spadali ze swych stanowisk jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kto wie, czy niedługo nie będziemy znowu świadkami personalnych zmian na stanowiskach — na przykład sekretarza KC francuskiej kompartii...

Dobrze wiadomo, że w walce z wewnętrznym niezadowoleniem pałka nie wystarcza. Potrzebny jest także i pierniczek. W związku z poważnymi trudnościami w dziedzinie zaopatrzenia kierownictwo sowieckie zdecydowało dać społeczeństwu piernik specjalnego gatunku. Koncepcję tego „piernika” sformułował przewodniczący Związku Pisarzy Sowieckich Michałkow w długim sprawozdaniu o osiągnięciach sowieckiej literatury i kultury. Podkreślił on co prawda jeden bardzo poważny brak: brak antysyjonistycznych filmów, chociaż istnieje już bogata literatura antysyjonistyczna. I natychmiast, w odpowiedzi na zarzut autora słów sowieckiego hymnu, telewizja moskiewska pokazała 22 stycznia film pt. „Kusielec dusz”, w którym przy pomocy „artystycznych środków” których mógłby pozazdrościć Julius Streicher, zostali zdemaskowani sowieccy Żydzi-syjonisci. Jeśli by ktoś jeszcze powątpiewał w skuteczność telewizji jako narzędzia propa-

gandy to nowy film sowiecki powinien rozwiązać wszystkie wątpliwości. Marshal McLugan twierdzi, że „message to massage”, ale nawet nie podejrzewa w jakim stopniu ma rację: po filmie, w którym w nadmiarze podano fotografie żydowskich aktywistów, ich dzieci zaczęto „masować” — tj. po prostu bić w szkołach. Powodzenie filmu skłoniło kierownictwo telewizji moskiewskiej do oświadczenia, że film będzie wyświetlany ponownie. Możliwe po to, by message był zrozumiany nie tylko przez dzieci...

Statystyka stwierdza, że w Związku Sowieckim żyje ponad 100 narodowości. Nie ulega wątpliwości, że sowieckiemu kierownictwu zupełnie wystarczyłyby tylko dwie: rosyjska i żydowska. I trudno nawet powiedzieć, która z nich jest dla nich ważniejsza. W najbardziej ciężkich chwilach odwołanie się do antysemityzmu było zawsze wyjściem z sytuacji.

Ale jednocześnie odwołanie się do tego niezawodnego, wypróbowanego oręża zawsze świadczyło o trudnej sytuacji władzy...

Adam KRUCZEK

Kronika białoruska

Propaganda sowiecka od wielu lat pisze o osuszaniu Polesia. Prasa, radio, telewizja udzielały wiele miejsca i czasu tej propagandzie. Poetom i literatom kazano opiewać prace melioratorów pod „mądrym kierownictwem partii i rządu”, które obiecywały ludności złote góry po osuszeniu poleskich bagien. Roboty melioracyjne prowadzono na olbrzymią skalę. A jakież osiągnięto rezultaty? Pisz o tym Ihnat Dubrowski w swoim raporcie pt. „W poszukiwaniu złotego dna”, zamieszczonym w 6 i 7 numerach miesięcznika *Połymia (Płomień)* z 1967 r. Okazuje się, że kanały melioracyjne kopano zbyt głębokie, zbudowano bardzo mało śluz. W rezultacie rzeki i studnie spłycały, na torfowiskach powstają pożary. Zamiast pastwisk, łąk i urodzajnych pól — pustynia. Żeby ratować sytuację kołchoźnicy w pińskim, pietrykowskim, kalinkowskim, lubańskim, żolihorskim i innych rejonach Polesia zaczęły na własną rękę udoskonalać melioracyjne systemy, budując własne prymitywne śluzy.



Znaczna część komсомолców na Białorusi jest wierząca i nawet praktykująca. Mińska gazeta komсомолска w języku rosyjskim *Znamia junosti (Sztandar Wczesnej Młodości)* w nr. z 15. 9. 76 w artykule pt. „Brak zasad jako zasada” donosi o „charakterystycznym stosunku do religii niektórych komсомолców” tzn. o wierzących komсомолcach i pisze dalej: „Brygada komitetu obwodowego komсомолu przeprowadziła w rejonie ostrowieckim (rejon sąsiedni z oszmiańskim — W.B.) badanie socjologiczne celem poznania stosunku młodzieży do religii. Okazało się, że z 338 przesłuchanych — 5,4 % wyraziło obojętność w stosunku do wierzących, 10,4 % odpowiedziało: „jeśli człowiek wierzy w Boga, to niech sobie wierzy”; 3,1 %

przyznało się, że regularnie obchodzą święta kościelne; 11,2 % oświadczyło, że ich zdaniem religia nie jest szkodliwa, 9 % opowiedziało się za chrztem dzieci, a 5,2 % za ślubem w kościele... Komitet rejonowy komsomołu — pisał *Znamia junosti* — na tyle nie przywiązuje wagi do wychowania ateistycznego, że nie zechciał udzielić mu chociaż by jednego wiersza w резолюcji rejonowej sprawozdawczo-wyborczej konferencji. I — rzecz znamienita delegatka na konferencję, komsomółka Teresa Gulbicka (obecnie Punzel) ze wsi Alchouka wkrótce po konferencji wzięła ślub w kościele". W tejże wsi komsomolcy, bracia Stefan i Edward Lachowicze z żonami Wandą (siostrą sekretarza fabrycznej organizacji komsomolskiej) i Marią (komsomółka) ochrzczili swoje dzieci. Rodzicami chrzestnymi byli również komsomolcy, Iwan Szyszkiepo i Maria Sielicka. Korespondentom gazety w rejonowym Komitecie powiedziano, że wszystkim komsomolcom, którzy chrztili swoje dzieci, lub uczestniczyli w chrzcinach, udzielono surowej nagany. „I tyle” — zaznacza *Znamia junosti*. A młodzież, w jej liczbie również komsomolcy, powiada: „Przecież i nasza Konstytucja mówi o wolności religii...”.

Białoruska sowiecka gazeta *Literatura i Mastactwa* (*Literatura i Sztuka*), wydawana w Mińsku w nr. z 8. 10. 76 powiadomiła, że popularny białoruski zespół wokalo-instrumentalny „Pieśniary” (Pieśniarze) wkrótce ma przybyć do Stanów Zjednoczonych na występy gościnne. Będzie to pierwszy przyjazd do Ameryki nie tylko tego zespołu, lecz w ogóle białoruskich artystów oczywiście jeśli dojdzie do skutku.

13. 10. 76 minęło 80 lat od urodzenia wybitnego białoruskiego historyka sztuki, docenta Państwowego Uniwersytetu Białoruskiego w Mińsku, Mikołaj Sčakacichina. Mińskie czasopismo *Małodość*, które podało tę wiadomość, oczywiście ani słówkiem nie wspomniało, że jego pierwszy tom zamierzonego pięciotomowego wielkiego dzieła „Zarysy historii sztuki białoruskiej”, wydany w 1928 r. w Mińsku przez Sekcję nauk humanistycznych Instytutu Kultury Białoruskiej, został wkrótce przez władze komunistyczne skonfiskowany, a sam autor w 1930 r., w czasie niszczenia kultury białoruskiej i jej działaczy, aresztowany jako białoruski narodowy demokrat (nacedem) i zesłany do Baszkirii, gdzie po dziesięciu latach zmarł. Mimo, że został pośmiertnie zrehabilitowany, żadna jego praca naukowa nie została na Białorusi wznowiona. Książka „Zarysy historii sztuki białoruskiej”, tom I, została w 1970 r. wydana na nowo w Nowym Jorku przez Białoruskie Towarzystwo Naukowe im. Franciszka Skaryny.

Przed kolektywizacją na Białorusi ziemniaków nigdy nie brakowało. Z Białorusi wywożono do sąsiednich krajów, głównie do Rosji, len i ziemniaki. Dziś brakuje nie tylko zboża lecz i ziemniaków. Oto co pisał korespondent mińskiej *Sielskaj gaziety* w nr. z dn. 16. 10. 76: „Przymrozki, które zupełnie niespodziewanie posrebrzyły - na początku października pola republiki, stworzyły niemało trudności ziemniaczarzom. Z kolei to się odbiło na pracy państwowych agentów skupu, których zadaniem jest w krótkim terminie odprawić transporty ziemniaków do różnych rejonów naszego kraju (tj. Związku Sowieckiego — W.B.). Należy zaznaczyć, że we wrześniu kolejarzy nie wykonywali zapotrzebowań na wagony. Dziesiątki nierozładowanych ciężarówek wracały ze stacji kolejowych. Niejednokrotnie

na załadunek ziemniaków były podstawiane wagony, w których przedtem przewożono nawozy sztuczne i trujące środki chemiczne; potrzeba było wiele czasu, by je oczyścić. Toteż często, gdy brak jest wagonów, ziemniaki wyładowuje się pod gołym niebem wprost na ziemię. Jasne, że po kilku dniach pod działaniem niesprzyjających czynników atmosferycznych (deszcze, przymrozki) wszystkie zgniją”. Wprawdzie Związek Sowiecki jeszcze nie importuje ziemniaków ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, ale za to z sąsiedniej Polski!

Inna gazeta, mianowicie *Sowietskaja Bieloruskija* pisze: „... W jednym tylko rejonie słuckim na polach i koło stacji kolejowych zostało ponad 5.000 ton nie wyeksportowanych ziemniaków, Kombajny są źle odremontowane i 'dzień pracują, a dwa — stoją bezczynne’...”.

23. 11. 76 minęło 70 lat od ukazania się w Wilnie pierwszego numeru gazety Białoruskiej Socjalistycznej Hromady *Nasza Niwa*, która była regularnie wydawana do połowy 1915 r. *Nasza Niwa*, budząc świadomość narodową wśród szerokich mas, odegrała kolosalną rolę w Odrodzeniu białoruskim. Na jej łamach w okresie blisko dziesięciu lat drukowali swoje utwory Janka Kupała (Jan Łuciewicz), Jakub Kołas (Konstanty Mickiewicz), Maksim Bahdanowicz i plejada innych poetów, pisarzy i publicystów.

Redaktor-wydawca *Naszej Niwy* Aleksander Ułasau i faktyczny jej redaktor Antoni Łuckiewicz zostali wkrótce po „wyzwoleniu” Zachodniej Białorusi we wrześniu 1939 r. aresztowani i wszelki ślad po nich zaginął.

Siedemdziesięciolecie zostało przez prasę BSSR przemilczane.

Jak podaje nowojorski *Bialorus* z 3. 10. 76 kolonia białoruska Nowego Jorku i okolic obchodziła 80-lecie kompozytora i wybitnego pedagoga muzycznego prof. Elży Zubkowicz, Akademia ku jej czci, która się odbyła w Białoruskim Ośrodku Społecznym w Nowym Jorku, była zorganizowana przez Białoruski Instytut Nauki i Sztuki i Zarząd Główny Zjednoczenia Białorusko-Amerykańskiego (BAZA).

22 i 23. 10. 76 odbyła się w Hamiltonie, Kanada, konferencja naukowa, zorganizowana przez Mac Master University. Tematem konferencji były język i literatura narodów nierosyjskich Związku Sowieckiego. Jeden z prelegentów, profesor Uniwersytetu Torontńskiego Norman Schneidman, wygłosił odczyt pt. „Pisarze nierosyjscy na wszechzwiązkowej scenie literackiej”, w którym nazwał najwybitniejszego współczesnego pisarza białoruskiego Wasila Bykowa „bezsprzecznie jednym z największych pisarzy Związku Sowieckiego”. Z Białorusinów wzięli udział w konferencji dr Wincenty Zuk-Hryszkiewicz (Prezydent emigracyjnej Rady BNR), dr Raisa Zuk-Hryszkiewicz, p. Walentyna Paszkiewicz i p. Paweł Paszkiewicz.

Administrator Białoruskiego Kościoła Prawosławnego w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, ks. Swiatasław Kouš, został 23. 10. 76 awansowany

przez Egzarchę Patriarchatu Konstantynopolańskiego na Amerykę Północną i Południową, Arcybiskupa Jakowosa do godności Protoprezbytera.

28. 11. 76 w Białoruskim Ośrodku Społecznym w Nowym Jorku została otwarta 2-ga Wystawa dzieł sztuki (malarstwo, rysunek, grafika) białoruskich artystów Europy i Ameryki, zorganizowana przez Białoruski Instytut Nauki i Sztuki w Nowym Jorku.

Włodzimierz BRYLEWSKI

Kronika litewska

EMIGRACJA

W dniach 4-5 grudnia ubiegłego roku obradował w Waszyngtonie sejm litewskiej emigracji. Był to zjazd 75 delegatów partii politycznych i ugrupowań dawnego ruchu oporu, zrzeszonych w Naczelnym Komitecie Wyzwolenia Litwy (w skróceniu VLIK). Ustalono, że tak jak na konferencję w Helsinkach, mają być wysłani delegaci-obszerni na konferencję w Belgradzie. Przewodniczący Vilunas Spotkał się z prezydentem ukraińskiego rządu na uchodźstwie Lewickim i ma go ponownie odwiedzić w Niemczech w celu omówienia współpracy. Celem uniknięcia nieporozumień ma być przydzielany łącznik Vlika do naczelnej organizacji społecznej. Projektowane jest utworzenie komórki z zadaniem opieki i pomocy więźniom politycznym i zesłańcom. Biura VLIK'u będą w czasie wakacji zatrudniać studenta Twa nauk politycznych, aby młode pokolenie z kwalifikacjami do akcji politycznej było obznajmione z problemami litewskimi. Te drobniaczki organizacyjne podajemy tutaj, bo może niektóre pomysły są godne naśladowania. Sprawozdanie wymieniało różne interwencje, memoriały oraz akcje propagandową. M.in. w Chicago ukazało się drugie ozdobne wydanie książeczki „Lithuania” (32 str.) podającej w skrócie dane geograficzne i historyczne o Litwie. Podkreślić należy, że konflikt wileński został tam całkowicie pominięty i nie ma żadnych akcentów antypolskich. Książeczka ma być wydana również w językach francuskim, hiszpańskim i niemieckim.

Przedstawiciel „Funduszu Litewskiego” zalecał zwrócenie uwagi na samotnych emigrantów, nie mających spadkobierców. W okresie powojennym rząd kanadyjski uzyskał ponad dwa miliony dolarów od Litwinów, którzy nie sporządzili testamentów.

W Chicago odbyła się wspólna konferencja studentów litewskich i łotewskich. Odczyty wygłosiło 5 profesorów uczelni amerykańskich o literaturze, polityce itd.

Emigracja litewska podtrzymuje łączność międzykontynentalną. Np. do Australii przybywają z Ameryki młodzieżowe zespoły artystyczne, sportowcy, profesorowie, politycy i biskupi. (Nota-bene Polonię Australijską odwiedzają tylko te dwie ostatnie kategorie).

W ciągu ostatnich 10 lat nadano w Chicago 560 litewskich programów telewizyjnych, kosztem 300 tys. dolarów. Połowę wydatków pokryto z ogłoszeń, a połowę z ofiar. Natomiast Opera Litewska istnieje w Chicago już 21 lat. Na pokrycie kosztów urządzone są bale i loterie. W ub. roku były trzy przedstawienia.

Wobec drakońskiej taryfy na przesyłki do kraju, odzywają się głosy, by je ograniczyć do wypadków skrajnej nędzy odbiorców, gdyż przy tak wysokich opłatach są one głównie subsydiowaniem rządu Sowieckiego.

W Kanadzie odbyła się konferencja organizacji społecznych Bałtów. Zaproszono też Ukraińców, z którymi współpraca się zacieśnia. Delegat ukraiński zwrócił uwagę, że Sowieci starają się pokłócić emigrację polityczną z Żydami. „Przysłużylibyśmy się czerwonym, gdyby w naszej prasie ukazały się akcenty antysemityczne. Z Żydami należy prowadzić dialog, odgradzając się od przestępców wojennych, jeżeli byłoby dowiedzione, że są tacy wśród nas”. Problem ten był szeroko dyskutowany na konferencji.

Przed paru laty katolicy litewscy przesłali apel do kardynałów Śliipyja i irlandzkiego, Samore. W odpowiedzi katolicy irlandzcy ufundowali statuetkę Matki Boskiej dla kościoła w Ostrej Bramie, i ruszyli procesją do ambasady sowieckiej w Dublinie, by ją przekazać do przesłania do Wilna. W ambasadzie zastali zamknięte drzwi. Rokowania poprzez adwokatów też nie dały wyników. Statuetkę przesłano do Anglii i, na interwencję rządu irlandzkiego, sekretarz ambasady PRL obiecał ją przesłać do Polski a następnie do Wilna. O dalszych losach uroczystości poświęconego daru dla Ostrej Bramy — informacji brak.

KRAJ

Na początku roku 1976 zaludnienie Republiki Litewskiej wzrosło do 3,3 milionów, to jest przekroczyło o sto tysięcy zaludnienie sprzed 35 lat. Wobec migracji młodych roczników do miast, ilość urodzeń jest tam większa (17 na tysiąc) niż na wsi (14). W miastach już mieszka 57,4 % ludności, a Wilno ma 450 tysięcy mieszkańców. W roku 1951 zawarto na Litwie 23 tysiące małżeństw, a rozwodów zarejestrowano 600. Obecnie co trzecie małżeństwo się rozpada. Przed paru laty przez izby wytrzeźwień przeszło 65 tys. osób, przy tendencji wzrastającej. Alkoholizm wzrasta katastrofalnie. W roku 1972 statystyczny Litwin przepijał rocznie 116 rubli, w roku 1974 już 156 rubli. Więcej niż przeciętny miesięczny zarobek.

Sowiecki budżet państwowy na rok 1977 przewiduje pewne uprzywilejowanie (pod względem przekazywania wpływów do centrali) republik azjatyckich oraz Litwy i Estonii, a pokrzywdzenie Łotwy i Ukrainy.

Lotnisko wileńskie jest bardzo ruchliwe: 5 samolotów dziennie do Moskwy, 4 do Kijowa, dwa do Leningradu, mniej więcej po jednym do Charkowa, Odessy, Rygi, Lwowa i wielu innych miast. Najdrożej kosztuje bilet do Nowosybirsk — 60 rubli, najtaniej do Kowna — 2 ruble i do Druskiennik 3 ruble. Nie ma natomiast w rozkładzie na rok 1977 żadnej linii lotniczej poza granice Związku. Skąd by nie jechać do Wilna, zawsze droga prowadzi przez Moskwę. Litwini wyjeżdżający na Zachód muszą się podawać za turystów sowieckich i nie ujawniać swej narodowości, ani przynależności republikańskiej. Zespół artystyczny studentów wileńskich ostatnio występował z powodzeniem w Portugalii. Ze były to tańce i pieśni litewskie pozostało dla Portugalczyków tajemnicą.

Ogłoszone rozkłady lotów wyglądają pięknie na papierze. W praktyce nazbyt często trzeba po drodze czekać na lotniskach godzinami a nawet dniami. Przy czym troska o człowieka polega na tym, że trzeba siedzieć na krzesłku, bez prawa opuszczenia lotniska i bez możliwości przespania się, gdyż nigdy nie wiadomo kiedy samolot odleci.

Grupa litewskich dysydentów utworzyła komitet celem rejestrowania faktów niedotrzymywania przez rząd Sowiecki zobowiązań wynikających z uchwał konferencji w Helsinkach. Komitet ten zdobył się na wyczyn nielada, bo dnia 1 grudnia 1976 urządził w Moskwie konferencję prasową dla zagranicznych dziennikarzy, o czym podała agencja Reutersa.

W skład komitetu wchodzi: „aktywista religijny,” V. Petkus, „aktywista żydowski” — dr E. Finkelšteinas (fizyk), ks. Karolis Gureckas, z Wileńszczyzny (może Gurecki?), poeta T. Venclova, domagający się prawa opuszczenia Związku Sowieckiego, i wreszcie poetka O. Lukauskaite-Poškienė.

Wśród litewskich intelektualistów, którzy ostatnio wydostali się na Zachód, przeprowadzono ankietę na temat jaki wpływ ma *détente*, dążąca do zmniejszenia napięcia — na warunki twórczości artystycznej i pracy naukowej w Związku Sowieckim (i na Litwie). Wypowiedzi wskazują, że „zaciskanie pęt” ideologicznych jest tym silniejsze, im bliższe są oficjalne stosunki z Zachodem. Jest to dążenie do zneutralizowania ewentualnych szkodliwych wpływów ideologicznych na sowieckich obywateli. Dlatego też w roku 1970 zostało wprowadzone zaostrzenie kontroli ideologicznej. Obecnie nacisk doszedł do największego nasilenia w stosunku do całej twórczości kulturalnej. W dziedzinie nauki są dwa wyjątki. Badanie ekonomiczno-matematycznych metod, gdyż oczekiwane jest uzyskanie konkretnych rezultatów w dziedzinie rozwiązywania trudnych problemów gospodarczych. W tymże celu mało skrzepowane jest badanie sytuacji w innych krajach. Skrzepowanie twórczości artystycznej i literackiej odnosi się również do Litwy. Jeszcze przed kilku laty zdarzały się tam utwory godne uwagi. Obecnie literatura stała się bezbarwna. Na repertuary teatrów nie ma żadnego wpływu odzwonni. Decydują wytyczne programowe. Liczne dramaty historyczne z twórczości okresu niepodległości nie są wystawiane. Wszelkie akcenty patriotyczne i antyrosyjskie nie są tolerowane — nawet kozaicy usmierający rewolucję. Propagowany jest wytyczny patriotyzm ogólnosowiecki — inny jest karalnym nacjonalizmem. Ogromna większość napływowej ludności rosyjskiej nie uczy się litewskiego, chociaż zdarzają się wyjątki prawie litwinizacji Rosjan, na

zasadzie powstawania patriotyzmu lokalnego. Na ogół fasada jest litewska, bo na wielu czołowych stanowiskach pozostają Litwini, ale ich zastępcami są Rosjanie, którzy decydują. W tym roku wprowadzana jest nauka języka rosyjskiego w drugich oddziałach (klasach) szkół powszechnych, gdyż znajomość języka rosyjskiego ma być konieczna dla każdego obywatela sowieckiego. Nowe zarządzenia o administracji kościelnej ustalają 20-osobowe komitety kościelne, i trzyosobowe zarządy, które są odpowiedzialne za gospodarkę finansową i dobre prowadzenie się księży. Władze komunistyczne starają się wprowadzić do komitetów swoich ludzi, nawet partyjnych. Byli zesłańcy i elementy nieprawomyślnie nie mogą się ubiegać o wybór. Pewna starsza kobieta w Możejkach postawiła krzyż przed swoim domkiem i nie usłuchała nakazu jego usunięcia. Wówczas władze skierowały robotników do wykonania tej pracy, ale spośród czterystu żaden się nie zgodził, i zdjęcia krzyża dokonała sama milicja.

Neue Zürcher Nachrichten z dnia 1. 12 1976 donosi, że w Wilnie na wieczornych mszach, nawet w dnie powszednie, kościół św. Piotra i Pawła jest tak przepełniony, że część wiernych w deszcz i niepogodę, modli się na cmentarzu kościelnym.

Nadeszły wiadomości o losach nauczycielki-katolickiej Nijole Sadunaite. Została wywieziona z Wilna w towarzystwie 600 kryminalistów, jako jedyna polityczna. Pracuje w obozie szyjąc 70 par rękawic dziennie. Musi pracować od 6 rano do 10 wieczorem. Wyżywienie zależy od wypełnienia normy, a gdy maszyna się zepsuje, na majstra trzeba czekać cały dzień. Jest tak osłabiona, że połowę czasu przebywa w szpitalu.

Ukrywano starannie że po wojnie istniał na Litwie ruch oporu a ostatnio postawiono pomniczek pod Kownem komсомолcowi, zamordowanemu przez partyzantów w roku 1951, a więc w 6 lat po wojnie.

POLONIKI

Na uroczystym odsłonięciu w Wilnie, w dniu 25. 11. 76 pomnika Mieczysława Kozłowskiego (niegdyś bliskiego współpracownika F. Dzierżyńskiego), redaktora wileńskiego *Przeglądu Robotniczego* (1900 r.) później sowieckiego dygnitarza, odegrano „Warszawiankę”, w obecności kierowników partii, dziewczyn w strojach narodowych (jakich?) i wnuków Kozłowskiego noszących imiona Jurij i Tatiana.

Prasa litewsko-kanadyjska referuje konferencję prasową przybyłego z Londynu dr. Z. Stahla, w której uchylił się on od odpowiedzi na pytanie co sądzi o problemie Wileńszczyzny. Z okazji kanadyjskiej wizyty biskupa łomżyńskiego Sasnowskiego prasa ta dużo pisze o sporze o nabożeństwa litewskie w bazylice w Sejnach, gdzie Litwinom przydzielono mały kościółek po-luterański.

W litewsko-amerykańskim czasopiśmie *Draugas* J. Dainauskas w cyklu

artykułów omawia „sprawę litewsko-polską”. W jednym z odcinków czytamy: „W paryskim miesięczniku *Kultura* Nr 11, 1975, „Wspomnienia o Polakach kowieńskich” pt. „Nad Wentą”, Katelbach opisuje swój pobyt w roku 1934 w Powenciu i w gospodarstwie ówczesnego redaktora *Dziennika Polskiego* E. Jakubauskasa (Jakubowski) który i teraz wciąż pisuje na łamach *Kultury*, zwłaszcza o sprawach litewskich. T. Katelbach, chociaż był gościem na Litwie, nie może wytrzymać by nie dać wyrazu swej wrogości do Litwy, pisząc, że *Dziennik Polski* był okrutnie przez Litwinów cenzurowany. Na Żmudzi może mniej było słychać o antypolskich wystąpieniach litewskiej administracji”.

Dalej autor przypomina, że przed 20 laty w książce prof. Paszkiewicza Wilno figuruje w granicach Polski, i obszernie cytuję krytykę polityki Marszałka Piłsudskiego, opierając się na pamiętnikach gen. J. Kirchmayera.



W Sejnach (PRL), gdzie istnieje spór o litewskie nabożeństwa w bazylice, były na ścianach prowokacyjne napisy: „Wyrznięć Polaków”. Mogli to robić komuniści dla zaognienia stosunków.

Na ogół ustosunkowanie się prasy sowiecko-litewskiej do PRL jest zazwyczaj poprawne. Ostatnio reportaż z „międzynarodowego miasta” Wrocławia, gdzie na ulicach słychać języki niemiecki, ukraiński, grecki, żydowski i litewski, donosi o istniejącej tam litewskiej świetlicy, korzystającej z wydanej pomocy miejscowych władz.

E. ŻAGIELL

Kronika ukraińska

PLUS CATHOLIQUE QUE LE PAPE

Egzarchat apostolski dla katolików
ukraińskich w Wielkiej Brytanii

Londyn, 14 grudnia 1976.

Do Szanownej Redakcji *Kultury*

W piśmie *Kultura*, nrze 9/348, wrzesień 1976, Dominik Morawski w „Korespondencji z Rzymu” na str. 80 pisze:

„Do konfuzji w prasie przyczynił się w Anglii fakt, iż wierni, bez zgody watykańskiego lojalisty bp. Horniaka, zorganizowali zbiórkę na Fundusz Patriarchalny, bojkotując oficjalną kolektę w kościołach. Prasa angielska, nie orientując się lub fałszywie informowana, przypisała tę zbiórkę motywom personalnym, stając po stronie przeciwników kardynała Slipyja. W związku z tym należy zwrócić uwagę, że przy biskupie Horniaku kręcą się pewni współpracownicy nie tylko oddani duszą i ciałem Watykanowi, ale również inspirowani przez KGB...”.

Twierdzenie autora, że „przy bp. Horniaku kręcą się współpracownicy... przez KGB” jest fałszywe, krzywdzące i tendencyjne. Ani kancelaria bp. Horniaka, ani on sam nie znają takich ludzi i dementują kategorycznie insynuację Autora. Biorąc pod uwagę fakt, iż kalumnia pana Morawskiego znalazła już echo w części prasy ukraińskiej, kancelaria Biskupa uważa, że redakcja *Kultury* powinna udzielić nam satysfakcji zgodnie z zasadami etyki dziennikarskiej. Jeśli ma on dowody na poparcie tego co twierdzi, dlaczego nie ujawni nazwisk? W przeciwnym wypadku krzywda wyrządzona powinna być naprawiona. Przy sposobności chciałbym zwrócić uwagę Pańską na poprzedni artykuł pana Morawskiego pt. „Ukraina: Patriarchat jest faktycznie uznawany” (marzec 1976, Nr 3/342). Także i ten artykuł nie wytrzymuje krytyki, wydaje się zaimprovizowany, jakby napisany na zamówienie. Jest on pełen niedokładności i obraźliwych zarzutów pod adresem bp. Horniaka i ojców bazylianów. Czy na to zasłużyli? Może na skutek tego, że czują się lojalnymi członkami Kościoła Katolickiego i bronią autorytetu Papieża oraz ważności ustaw kościelnych i orientacji Soboru Powszechnego Vaticano II?

Nie chcę wchodzić w szczegóły, chciałbym zwrócić uwagę na następujące punkty:

1. Katolicki Patriarchat Ukraiński nie istnieje *de facto* i *de iure* ponieważ nie został ustanowiony przez Stolicę Apostolską, która reprezentuje jedyny autorytet religijny w tej materii. W konsekwencji więc, jeśli nie istnieje dotąd Patriarchat jako najwyższy organ kościelny, nie istnieje również prawowity Patriarcha. Nazwy używane w prasie i przemówieniach (jak Ojciec Ludu, Wyzwolicielem, Mojżesz i Patriarcha) nie mają prawnego, hierarchicznego znaczenia, lecz są po prostu pochwałami.

2. Mons. Kir Augustyn Horniak CBB — nie jest narodowości rosyjskiej, ani jugosłowiańskiej. Posiada paszport amerykański (tak jak kardynał Król!), ale uważa się za Ukraińca chociaż urodził się w Jugosławii. A jeśli mons. Augustyn ma być uważany za Jugosłowianina, to do jakiego narodu należą dzieci polskie urodzone poza Polską?

3. Bazylianie nie latynizują naszego narodu ani naszego Kościoła (np. w Brazylii uratowali naszą emigrację od asymilacji). Bazylianie bronią prawodawstwa Kościoła Powszechnego, Papież jest dla nich zwierzchnikiem całego Kościoła Katolickiego, a kardynał Josif Slipyj jest pierwszym dostojnikiem katolickiego Kościoła Ukraińskiego i najbardziej zasłużonym jego przedstawicielem, lecz nie jest jeszcze Patriarchą! *Est modus in rebus*.

4. Nasz pasterz Augustyn, nasz kler i wierni w Wielkiej Brytanii poparli w zasadzie postulat ustanowienia patriarchatu. A dlaczego by nie? Pragniemy patriarchatu prawowitego, nie powołanego „przez wolę narodu”. Władza i prawo w Kościele Powszechnym przychodzi z góry, a nie z dołu. Gdyby przychodziły z dołu, to wtedy eutanazja, rozwody, przerywanie ciąży i kobiety w stanie duchownym byłyby już uznane w Kościele Katolickim. Wówczas także i „Kościół Narodowy” stałby się najpotężniejszym Kościołem i mógłby również stać się Kościołem państwowym w obecnej, socjalistycznej Polsce. Czy tego chce pan Morawski? Nie życzymy tego ani nam, ani wam!

Nasz Kościół w Wielkiej Brytanii jako instytucja religijna nie chce toczyć wojny z polskim czasopiśmie, ale pismo nieprzezwornie dostarcza samo powodu do sporu. Dlatego *Kultura* powinna uważnie badać i cenzurować artykuły na tematy ukraińskie pana Morawskiego, które w ostatnim czasie wykazują małą obiektywność i dużą tendencyjność. A może Autor ukrywa jakiś inny motyw? Bóg raczy wiedzieć.

Z należnym szacunkiem,

Za kancelarię biskupią
dr Stepan WIWCZARUK, kanclerz

„Uderz w stół, nożyce się odezwą” — brzmi stare polskie przysłowie. Informując czytelników o prawdziwym tle zajęć w Anglii w związku ze stanowiskiem (odosobnionym), jakie zajął tamtejszy biskup, egzarcha apostolski dla katolików ukraińskich, sprowokowałem niechęć „adwersarza” w wewnętrznym sporze ukraińskiej diaspory. Obok listów uznania, jakie redakcja *Kultury* otrzymała za poparcie udzielone Ukraincom, od święckich towarzystw „Za patriarchat”, zrzeszających znakomitą większość ukraińskich katolików w USA, Kanadzie i Europie — oto pierwszy przejaw polemiki. Cała historia powstała z odnotowanego przez nas faktu, że niektóre organy prasy angielskiej, mylnie informowane przez biskupią kancelarię ukraińską w Londynie, zarzuciły kardynałowi Slipyji dążenie do schizmy poprzez nacisk na Stolicę Apostolską o legalizację ukraińskiego patriarchatu. Ta sama prasa nie uważała jednak za stosowne zamieścić sprostowań kancelarii kard. Slipyja, jak np. z 29 sierpnia ub. roku, w których czytamy m.in.: „wszelkie wysiłki, petycje i listy pasterskie Jego Eminencji nie mają nic wspólnego ze spekulacjami przypisującymi mu chęć powołania do życia niezależnego, narodowego Kościoła. Insynuacja, że jego ostatni list pasterski o 'Jedność ukraińskich chrześcijan' ma charakter nacjonalistyczny, stanowi nie tylko fałsz i złośliwość, lecz jest zwykłą kalumnią. List ten podkreśla zdecydowanie „naszą wierność dla Ojca Świętego, jako najwyższego Kapłana Kościoła Powszechnego. Dla zrozumienia naszej problematyki konieczne jest prawidłowe uchwycenie znaczenia Kościoła Partykularnego (Wschodniego) i jego odrębnej struktury w ramach Kościoła Powszechnego. Byliśmy i pozostaniemy Kościołem katolickim i ukraińskim w unii z Kościołem Powszechnym i Papieżem w Rzymie”.

Argumenty przytoczone w liście biskupiej kancelarii londyńskiej pomijają historyczny aspekt wysiłków o legalizację ustroju patriarchalnego w Kościele Ukraińskim. Zmarły niedawno arcybiskup Iwan Buczko pisał w roku 1971: „Katolickie patriarchaty były utworzone dla każdego Kościoła Partykularnego pozostającego w unii ze Stolicą Apostolską: patriarchat aleksandryjski dla Koptów, patriarchaty: dla Syryjczyków, Moranitów i Melchitów, Chaldejczyków i Armenijczyków. Każdy z tych Kościołów Wschodnich jest znacznie mniejszy niż Kościół Ukraiński. Nasze wysiłki zmierzają do formalnego uznania samorządu w obrębie patriarchatu”. Po Soborze Watykańo II ukraińscy katolicy oczekują, zgodnie z dekretem o Kościołach wschodnich formalnego potwierdzenia ze strony Stolicy Apostolskiej, a nie „stworzenia patriarchatu”. Metropolici Kijowa i całej Rusi cieszyli się ongiś takimi samymi prawami z jakich korzystają dziś Kościoły wschodnie w których istnieje patriarchat (z wyjątkiem oficjalnego tytułu). Wystarczy przeczytać *Osservatore Romano* z 6 lutego 1964, gdzie ta sprawa jest prawidłowo naświetlona. Dekret na jaki powołuje się kard. Slipy, biskupi ukraińscy w USA, Kanadzie i Australii, przyznaje w teorii prawie takie same prawa kardynałowi Slipyji jako arcybiskupowi Większemu (*arcivescovo Maggiore*) jakie posiadają patriarchowie wschodni. Wierni i hierarchie domagają się potwierdzenia tych praw w praktyce. Jeśli wierni modlą się za swego Patriarchę (czego *nota-bene* Kongregacja dla Kościołów Wschodnich nie kontestuje) i uważają go *de facto* za Patriarchę nie ma w tym naruszenia wierności dla Stolicy Apostolskiej. Egzarcha apostolski w Londynie jest zatem *plus catholique que le Pape*.

Komu zależy na tym aby doprowadzić do wbicia klina między Watykan a ukraińską wspólnotę, kto dąży do rozbicia? Niewątpliwie rozbicie leży w interesie Moskwy i rosyjskiego patriarchatu. Jeśli bp Horniak i jego kancelaria „nie znają” ludzi inspirowanych przez KGB, nie znaczy to że ludzi takich w ogóle nie ma w otoczeniu biskupa. Z publikacji jakimi KGB zasypuje ukraińską emigrację na obczyźnie wynika że wywiad sowiecki jest doskonale zorientowany w panujących rozdziewkach i przede wszystkim

w linii jaką reprezentuje egzarcha londyński. Powinno to chyba stanowić przestrożę (której chcieliśmy dać wyraz).

Dwa zarzuty mniejszego kalibru: narodowość bp. Horniaka i „latynizujący” bazylianizm. Nie twierdziłem że bp Horniak jest narodowości rosyjskiej lub jugosłowiańskiej, lecz że jest „Rusinem z Jugosławii”, mianowanym bez konsultacji z kard. Slipyjem. Latynizująca tendencja reprezentowana przez bazylianów ukraińskich: opieram się na opinii znawców, zarówno pochodzenia ukraińskiego, jak i polskiego (np. dominikanina O. F. Bednarskiego, prof. rzymskiego „Angelicum”). Dzieje Unii Brzeskiej do naszych czasów zawierają *nota-bene* liczne przykłady tej tendencji, jak również nominacji na biskupów osób nie ukraińskiego pochodzenia (Bazylianów porównuje się nieraz do „jezuitów” rytu wschodniego).

Co to znaczy że patriarchat nie może być ustanowiony „z woli narodu”, tylko „z góry”, a nie „z dołu”? W dziejach Kościoła Powszechnego liczne są przykłady presji idącej właśnie z dołu, a kończącej się formalnym uznaniem zarówno odnośnych uprawnień lokalnych, jak i nawet pewnych dogmatów, które nie zawsze były narzucane z góry, lecz wyrastały do naszych długoletniego procesu postępującego „z dołu”. Kongregacja watykańska może się mylić, zwłaszcza kiedy idzie nie o względy pastoralne czy kanoniczne. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy lojalnością a nadgorliwością lojalistyczną, jaka charakteryzuje egzarchat londyński.

Wyciągnięcie Polski jako argumentu odbija się jak bumerang przeciwko teozom kancelarii egzarchatu londyńskiego. W Polsce „Kościół Narodowy” nie ma żadnych szans jak dowiodły zresztą liczne, nieudane próby zaborców, ponieważ duchowni od Prymasa do najskromniejszego kapłana są związani z masą wiernych, a ci ostatni „stoją murem” za swymi pasterzami. Na tym polega m.in. siła i prężność polskiego Kościoła i prawdziwe źródło jego wierności dla Stolicy Apostolskiej (nie za każdą cenę!). Nadgorliwy w stosunku do Watykanu i jego dykasterii nigdy nie mieli w Polsce powodzenia — liczne są natomiast przykłady zmagania toczonych ze Stolicą Apostolską (ze strony dostojników Kościoła i świeckich), zaskanajając się nieraz bogobojnymi intencjami dla maskowania czysto życiowych, politycznych kalkulacji.

Po co fatygować Pana Boga? Niżej podpisany nie kierował się — co mu imputuje list kanclerza egzarchatu londyńskiego — żadnymi tajemnymi, ukrytymi motywami. Stanowisko zajęte przez *Kulturę* na rzecz patriarchatu (por. oświadczenie w nr. 12/339, 1975, str. 89) odpowiada naszej trosce o pojednanie polsko-ukraińskie i świadomości, że jest to nieodzowny warunek otwarcia prawdziwego dialogu z prawosławiem. Prawdziwego, to znaczy nie fasadowego i pozornego, prowadzonego pomiędzy kard. Willebrandsem i innymi wysłannikami Watykanu a patriarchą Pimenem i metropolitą Nikodemem (pod kontrolą KGB). Chodzi o dialog skierowany ku jedności katolików i prawosławnych ukraińskich (jest ich znaczna większość i — jak wykazują ostatnie informacje, kontestują oni oficjalną Cerkiew) których — jak stwierdził w swym liście ekumenicznym kard. Slipy — „nie dzielą podstawowe różnice dogmatyczne”.

Kard. Slipy, po modłach odprawionych nad grobem Johna Kennedy (któremu zawdzięcza swe uwolnienie), wygłaszając przemówienie w siedzibie waszyngtońskiej filii katolickiego uniwersytetu ukraińskiego, powiedział m.in.:

„Nie aspiruję do tytułu Patriarchy dla osobistej sławy i chwały. Pragnę statusu patriarchalnego dla naszego Kościoła, większego od wszystkich katolickich Kościołów Wschodnich razem wziętych, jako konieczności dla przetrwania tego Kościoła. Gdyby mi chodziło o osobisty honor i rangę, mogłem to uzyskać od reżymu sowieckiego bez spędzania 18 lat w łagrach. Trzy dni po aresztowaniu ofiarowano mi prawosławną metropolię Kijowa i Galicji w zamian za wyrzeczenie się wierności dla Stolicy Apostolskiej. Odmówiłem.

Kilka lat później ponowiono ofertę jeszcze wyższej godności. Odmówiłem. Gdybym przyjął tę propozycję, Ojciec Św. rozmawiałby ze mną jak równy z równym jak to czyni z Patriarchą moskiewskim. Jestem lojalny wobec Stolicy Piotrowej i Kościoła Powszechnego. Pragnę jedynie poszanowania i uznania praw katolickiego Kościoła Ukraińskiego, który wówczas będzie mógł służyć jako pomost do porozumienia ze słowiańskim, prawosławnym Wschodem, pomost uznany przez tak wielu poprzedników Pawła VI-tego. Jedność w różnorodności stanowi kamień węgielny katolicyzmu".

W czasie audiencji udzielonej 13 grudnia ub. roku kard. Slipyjowi i sześciu biskupom ukraińskim z USA, Kanady i Australii, Papież potwierdził, że „oczekiwania uznania godności patriarchalnej nie mogą być w obecnej koniunkturze (podkreślenie moje — D.M.) spełnione". W odpowiedzi kard. Slipyj powiedział m.in. że „głosy i listy od kapłanów, jakie napływają do Papieża z łagrow (z prośbą o przystanie Biblii) świadczą o nieustających na Ukrainie prześladowaniach za wiarę... Nasi bracia i siostry oczekują słowa pociechy od Waszej Świętobliwości... gorąco pragniemy by Wasza Świętobliwość skierował specjalne orędzie do wiernych na Ukrainie, cierpiących od 30 lat prześladowania za Chrystusa i jego Kościół. Kto może to dziś uczynić jeśli nie Wasza Świętobliwość?"

Dominik MORAWSKI

FRAGMENTS

Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 4-ty rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów Kultury na język angielski. Prenumerata na rok 1977 — 10 numerów — wynosi dol. 8.50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumerator, który wpłaci dol. 23.50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1977 i 1978 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS

Correspondance Home Study of Languages
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95 685. U.S.A.

Sprawy i troski

Helsinki czy "Mesures administratives" ?

Ówczesny kandydat, a obecny Prezydent Republiki Francuskiej, Valéry Giscard d'Estaing pisał w liście do wyborców-Polaków, 8 maja 1974 roku:

„Przywiązuję szczególną wagę do swobodnego krążenia idei i informacji, a także do poruszania się osób między wszystkimi krajami i zrobię wszystko aby te zasady były respektowane na Konferencji w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w Genewie".

Przy podpisywaniu, w Helsinkach, tekstu wypracowanego w Genewie p. Giscard d'Estaing przemawiał w tym samym duchu. Powtórzył tę tezę jeszcze w kilkunastu przemówieniach we Francji i za granicą. Co więcej: mówił o tym na Kremlu w czasie swojej ostatniej wizyty w Moskwie czym zdenerwował Breżniewa.

Wydawałoby się, że wobec takiego stanowiska Prezydenta odpowiednie władze francuskie zrobią wszystko, aby je wprowadzić w życie. Tymczasem, w ostatnich czasach władze administracyjne zwiększyły trudności dla zapraszających krewnych i znajomych z Kraju. Dotychczas zaproszenie było „wizowane" przez komisariaty policji, które sprawdzały tożsamość zapraszającego, i fakt że ma środki egzystencji. Obecnie, przynajmniej w Paryżu, zapraszających odsyła się na Prefekturę, gdzie muszą wykazać ile zarabiają i czy mają odpowiednie mieszkanie, aby przyjąć zaproszonego.

Przepisy te istniały dawniej, od 1974 roku, a celem ich było wykonanie decyzji o zamknięciu emigracji do Francji. Istotnie w ostatnich dniach wyjazdów emigrantów niż przyjazdów. Wobec kryzysu gospodarczego Francja — jak wiele innych krajów, a wśród nich i Stany Zjednoczone — walczy z nielegalną imigracją „turystów" szukających pracy i mieszkania. To jest zrozumiałe i nie można mieć o to zbyt pretensji do administracji francuskiej.

Mniej zrozumiałe jest jednak stosunek do osób, które chcą odwiedzić swoich bliskich we Francji. Osoby te przyjeżdżają na określony — i zazwyczaj krótki — okres czasu. Przyglądają się Francji, oddychają atmosferą wolności, a ich wiadomości o tym kraju będą na pewno lepsze niż autobusowych „Orbisowskich" turystów, pędzonych po muzeach i zabytkach architektury, ale bez kontaktu z ludnością.

Zarządzenia administracji francuskiej mają jeszcze jeden aspekt. Wynika z nich praktycznie, że prawo do zaproszenia mają tylko ci Polacy z Kraju, którzy posiadają we Francji krewnych lub znajomych bogatych. Takich,

którzy dobrze zarabiają (lub mają fortunę osobistą), a więc stać ich na odpowiednio duże mieszkanie. Ci biedniejsi nie będą mogli mieć kontaktu ze swymi bliskimi! A gdzież tu „Liberté — Egalité — Fraternité”?

Rozumiemy, że reżym zwiększa trudności w uzyskiwaniu paszportów, bo nie zależy mu na tym, aby obywatele PRL wiedzieli jak się żyje w wolnych krajach.

Ale jak pogodzić francuskie praktyki administracyjne z przemówieniami Prezydenta Giscard d'Estaing?

Jerzy JANKOWSKI

AZYL POLITYCZNY W SZWECJI

Biorąc pod uwagę, że Szwecja ma tylko 8 milionów mieszkańców, polityka rządu szwedzkiego w dalszym ciągu jest najbardziej liberalna w Europie. Ze względu jednak na pogłębiający się kryzys gospodarczy i bezrobocie, udzielanie prawa stałego pobytu i prawa do pracy zostało ograniczone wyłącznie dla ludzi proszących o azyl polityczny. Każdy zgłaszający się po azyl polityczny ma z miejsca opłacone mieszkanie (nawet dwupokojowe, a rodziny trzypokojowe), dostaje dziennie na utrzymanie Kr 27, na przejazdy (bilet miesięczny na całe województwo) — Kr 70 oraz możliwość uczęszczania na bezpłatne kursy języka szwedzkiego. Oprócz tego ma zapewnioną pomoc lekarską, a gdy zachodzi tego potrzeba, otrzymuje pieniądze na ciepłe ubranie.

Prawdą natomiast jest, że osoby, które nie mogą uzasadnić przebywania poza krajem z uwagi na prześladowania czy niebezpieczeństwo — mogą (ale nie muszą) zostać odesłani do granicy na koszt Szwedów. Jeżeli natomiast mają rodziny, czy przyjaciół którzy „zapewnią pobyt materialnie”, lub sami mają pieniądze i udowodnią to policji, mogą pozostać dłużej bez groźby wysiedlenia. Jeśli zaś przekroczą termin powrotu do kraju (ważność paszportu), to mogą ubiegać się o pozostanie; dotyczy to szczególnie tych, którzy przez polskie organizacje emigracyjne zostali skierowani do adwokatów szwedzkich, opłacanych przez szwedzki Urząd Emigracyjny. Po cierpliwym czekaniu udaje im się otrzymać prawo pobytu. Otrzymują je z powodów humanitarnych. Uchodźcy, którzy proszą o azyl polityczny, muszą powoływać się na Konwencję Genewską. Najważniejszymi warunkami przyjęcia podania o azyl polityczny jest to, by Szwecja była pierwszym krajem pobytu po opuszczeniu Polski oraz by zgłoszenie nastąpiło jak najwcześniej, nie później jak po upływie 36 godzin. Istnieją trudności, gdy zgłoszenie następuje po kilku tygodniach czy miesiącach. Jeśli Szwecja nie jest pierwszym krajem pobytu za granicą, to nie udaje się sprawy załatwić pozytywnie.

Prawo pobytu i pracy można otrzymać także na zasadzie łączenia rodzin, zawarcia małżeństwa lub nawet tylko zaręczyn (jeśli w grę wchodzi obywatel szwedzki). Zawarcie małżeństwa nie daje jeszcze prawa pobytu, można je otrzymać dopiero po roku pożycia małżeńskiego, a do roku jest dawane warunkowo i przedłużane co trzy miesiące.

Inne osoby, ubiegające się o zezwolenie na pobyt i pracę z powodów zawodowych czy zarobkowych, spotykają się z reguły z odmową, chyba że wykonują zawód szczególnie potrzebny; należą do nich lekarze psychiatry i rentgenolodzy oraz dentyści.

Nieznane są nam wypadki wydalenia Polaków, którzy prosili o azyl polityczny, powołując się na prześladowania polityczne czy działalność polityczną (choćby związaną z kolportażem książek czy ulotek politycznych).

Prasa szwedzka doniosła, że szwedzki Urząd Emigracyjny ma do załatwienia 21 tysięcy podań uchodźców z różnych krajów — z tej liczby tylko 2 i pół tysiąca osób otrzyma zezwolenie na pobyt.

N. Z.

Kronika kulturalna

Ogród nauk czy wirydarz poetycki ?

W swoim *Ogrodzie Nauk* Czesław Miłosz wysuwa Mickiewicza jako wzór polszczyzny. To samo w sobie nie jest jeszcze ani nowe, ani niezwykle. Ze literaturze potrzebne są wzory wiemy już od czasów starożytnych, a raczej przestaliśmy to wiedzieć dopiero ostatnio, kiedy nie tylko w literaturze i sztuce, ale też we wszystkich innych dziedzinach, z moralnością włącznie, zapomniała dowolność wzorów, z której każdy może sobie wybierać to co chce, coś w rodzaju *Musée Imaginaire* Malraux. Ciekawe jest jednak uzasadnienie, które daje Miłosz, a mianowicie jakby nowa periodyzacja dziejów języka literackiego (bo o taki tylko chyba Miłoszowi chodzi). Mówi więc o „pierwszej polszczyźnie” z okresu od roku 1400 aż po Reja, o polszczyźnie drugiej „pod piórem Reja, Górnickiego, Kochanowskiego”, a wreszcie o polszczyźnie trzeciej, „to Krasicki, Trembecki, Fredro, Mickiewicz, ale już nie Słowacki”. Gdyby nie to, że Miłosz mówi o polszczyźnie, a nie tylko o literaturze, przypominałaby ta propozycja pewną tradycję historii literatury polskiej, tę która gdzieś właśnie od czasów Krasickiego widzi wzór poezji w klasyku Kochanowskim i w jego „Wiekcu Złotym”, za którego kontynuację tak zwany pseudoklasycyzm sam się uważa. Do niedawna była to jedyna propozycja obowiązująca. Między Kochanowskim a Krasickim rozpościerała się z małymi wyjątkami pustynia „zepsucia smaku”, „zwyrrodnienia”, „mroku jezuickiego”, „nocy saskiej”.

Napisałem „tak zwany” pseudoklasycyzm, bo podzielałem zdanie wybitnego sławisty ukraińskiego Dmytra Czyżewskiego, że należy tu mówić o klasycyzmie, a nie o żadnym „pseudo”. Klasycyzm w literaturze europejskiej to tradycja poszukiwania wzorów u Cicerona, w stylu niekwieciwym, klarownym, oczyszczonym, tradycja ciceronijsko-horacjańska, tradycja „attycyzmu”. Przeciwnieństwem jej, również wywodzącym się ze starożytności, jest antyklasycyzm, tradycja antyciceronijska, zwana od średniowiecza stylem kwieciwym (*stilus floridus*), co aż do czasów

Krasickiego niekoniecznie było naganą. Jedną, choć nie jedyną, różnicą między oboma szkołami jest zdaje się to, że klasycyzm (użyjmy umownie tego określenia, o odmiennym użyciu go przez J. M. Rymkiewicza będzie jeszcze mowa) uznaje tylko wzór jedyny, wszystkie inne odrzuca, podczas gdy antyklasycyzm ma miejsce nie tylko dla wszystkich możliwych wzorów, ale nawet i dla klasycyzmu jako jednego z uprawnionych.

Klasycznym krajem klasycyzmu jest, jak wiadomo, Francja. Jej historycy literatury do dziś albo w ogóle nie przyznają że i we Francji była poezja barokowa, albo też potępiają tę ostatnią jako zwyrodnienie smaku i odrzucają ją od głównego nurtu języka francuskiego. Nie przypadkiem chyba z tejże Francji pochodzi ogród *à la française*, oczyszczony, polerowany, pełen światła i porządku. Wszystko, co do niego nie należy, albo nie bywa zauważone, gdyż znajduje się poza nim, w dzikiej naturze, albo też — o ile się znajdzie przypadkiem w ogrodzie — bywa bezlitośnie wyrwane jako szkodliwy chwast. Nawet obiad francuski jest klasyczny, niemniej jak francuski teatr z jego trzema jednościami. W obiedzie francuskim dania zachowują jedność stylu: przystawka, *hors d'œuvre*, to coś jak obowiązujący we francuskim wypracowaniu czy poemacie wstęp — *exposition*. Mieszać składników nie wolno: mięso podaje się bez jarzyn, następnie jarzynę bez mięsa. Zupa to *potage clair*, już Voltaire mówił o oczyszczonym przez jego poprzedników języku francuskim, że przypomina taki właśnie *potage*: przezroczysty, klarowny, ale w środku nie ma nic. Kapuśniak, barszcz z uszkami (o zgrozo!) lub barszcz ukraiński ze śmietaną są dla zwolenników tego stylu czystym barbarzyństwem. Obiad polski jest oczywiście zupełnie inny, w tradycji barokowej, co nie oznacza oczywiście, że wszystko wolno mieszać ze wszystkim: do barszczu pasują uszka, nie leniwe pierogi, ale — że przypomnę *Pana Tadeusza* — sztuka leży w jednoczesnym kombinowaniu pasujących do siebie elementów i w zaskakiwaniu tym uczestników.

Tak więc obok ogrodu *à la française* możliwy jest jeszcze ogród inny, staropolski *Ogród ale nie plewiony, wirydarz ziół rozlicznych i kwiatów pełny, co kwatera to inszego ziela*, itd. Już sam ten tytuł jest programem literackim.

I tu proponuję czytelnikowi małe zadanie rachunkowe. Miłosz zapewne uważa za wzorzec polszczyzny *Pana Tadeusza* (i słusznie). Od pierwszego wystąpienia Krasickiego (1765) do *Pana Tadeusza* upłynęło wszystkich lat 70. „Drugą polszczyznę”, nawet jeśli włączyć do niej Reja — czego nie czynię, ale o tym za chwilę — można liczyć od wystąpienia Reja (1541) do śmierci Kochanowskiego (1584), a więc razem lat 43. Tymczasem poezja i proza barokowa trwały u nas lat blisko dwieście. Jeżeli liczyć niezmienne restryktywnie, to jest od śmierci Kochanowskiego do roku 1765. Ale przecież pierwszy poeta barokowy Sęp Szarzyński zmarł już w roku 1581, a jeszcze za Oświecenia pisał Kitowicz (o jego barokowej prozie jest ciekawa monografia Matuzewskiej), oraz poetka Konstancja Benisławska, zmarła w

roku 1806, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie urodzin Słowackiego. Więc jak to jest z tym głównym nurtem literatury polskiej? Czy nie jest on przypadkiem barokowy, podobnie jak cały styl polskiego życia, polskiej sztuki aż po polską kuchnię? Oczywiście wolno uznać ten styl za „nie-styl”, za „nie-formę”, tak jak to robili klasyści epoki Oświecenia i jak to zdaje się robi Miłosz. Ale czy nie jest to znowu objaw niepewności siebie, znowu zapatrywania się w cudze, głównie francuskie wzory?

Warto powrócić jeszcze do pociągającej propozycji Miłosza, do jego trzech polszczyzn. Więc przede wszystkim pierwsza polszczyzna, ta poczynająca się od roku 1400. Nie jest znów tak źle z tymi tekstami, mamy ich dosyć aby wiedzieć, że jest to polszczyzna niezmiernie nieporadna, jak przystało na początkującą; ostatecznie choćby samo olbrzymie tomisko Biblii Królowej Zofii z roku 1455: przekład Biblii to zadanie, na którym można ugruntować język literacki, a już na pewno można osądzić czy i jak się takie przedsięwzięcie udało. Jej wzorem jest obok łaciny przede wszystkim czeski. Nic dziwnego, bo Czechy leżą bliżej Zachodu, mają z nim kontakty wcześniejsze i zażyłsze, ich przekład Biblii datuje się z końca XIV wieku, z tego samego mniej więcej okresu pochodzi też mistrzowska proza Husa. O tym, że bez wzorów nie powstaną ani utwory pojedyncze ani język poetycki wiedzieli także już starożytni (*exemplaria graeca nocturna versate manu, versate diurna*). Podobnie na wzorach francuskich i łacińskich oparł się Chaucer tworząc angielski język poetycki, oparł się Caxton i jego następcy tworząc angielszczyznę nowoczesną. Jeśli polszczyzna ta była tak nieporadna, to zapewne dlatego, że zabrakło jej Husa lub Chaucera.

Polshczyzna pierwsza kończy się okresem przejściowym, począwszy od pierwszych druków w latach dwudziestych szesnastego wieku poprzez prozę polemik protestancko-katolickich i spory o model językowy, których echa mamy jeszcze w *Dworzaninie* Górnickiego. Wydaje mi się jednak, że Miłosz nie ma racji sądząc, że Rej nurt polszczyzny pierwszej poniechał: on ją właśnie rozwinął i doprowadził do poziomu literatury. Porzucił ten nurt dopiero Kochanowski nawiązując ponad tradycją rejowską wprost do Horacego i do cyceronianizmu (całkiem podobnie ma się rzecz w innych literaturach europejskich). Gdyż Kochanowski postawił sobie za zadanie *illustration de la langue polonaise*, stworzenie polszczyzny równej klasycznej łacinie, a to wówczas można było osiągnąć tylko przez zerwanie z „polshczyzną pierwszą”.

Trudno się natomiast zgodzić na następną propozycję Miłosza, choć jest ona i konsekwentna i jak najbardziej tradycyjna, to jest na odpisanie na straty dwustu lat literatury polskiej, skoro literaturze barokowej Miłosz nie przyznaje nawet prawa do nazwy „trzecia polshczyzna” i skoro ma być ona tylko — teza powtarzana przez historyków literatury od czasów Krasickiego — zepsuciem stylu polshczyzny renesansowej. Głównym zarzutem, który stawia tej polshczyźnie jest to, że nie jest klarowna, że nie ma energii, że jest gadulstwem. Na zarzut ten trudno odpowia-

dać tylko gołosłownym zapewnieniem, że jest odwrotnie. Zaproponuję więc czytelnikowi pewną zabawę. Weźmiemy sobie kilka krótkich tekstów barokowych i zobaczymy sami czy jest aż tak źle, czy rzeczywiście nie są klarowne, czy brak im energii, czy pełne są gadulstwa (o gawędzie potem). Przy czym, zgodnie z postulatami Miłosza, że sprawdzianem energii języka powinna być proza, wybieram naprzód prozę. A więc na początek przekład Stanisława Warszewickiego z „ojca” baroku hiszpańskiego i europejskiego, w tym i polskiego, Ludwika z Grenady. Wiadomo o nim, że czytywał go pilnie Sęp Szarzyński i już 50 lat temu Tadeusz Sinko odnalazł godne uwagi ślady tej lektury u naszego pierwszego poety wczesnobarokowego:

„Takowym tedy obyczajem upadną żli w onę przepaść i w onę więź ciemności i zamieszania. Ale który język będzie mógł wymówić wielkość i rozmaitość mąk, które tam będą cierpieć? Tam będą gorzeć ich ciała w żywych płomieniach, które nigdy nie zgasną; tam będą postawione dusze ich, gryząc się i jedząc same w sobie onym robakiem, który gryzie sumnienie a nigdy gryźć nie przestanie; tam będzie wieczny płacz i zgrzytanie zęb, którym tak wiele razów groźą Pisma Boże; tam nieszczęśni z okrutnej rozpacz i jadu obrócą gniew przeciw Panu Bogu i sami przeciw sobie i będą ciała na sobie kęsać, rwąc w sobie wnętrzości od wzdychania, zęby ścinając i drapiąc jako wściekłe ciała swe własnymi paznokciami, bluźniąc i złorzecząc zawżdy Sędzię, który je zdał na takie męki”.

Nie jest to proza klasycystyczna, zarówno ze względu na treść jak i na formę: typowe barokowe powtórzenia retoryczne, a także początki barokowego „makabryzmu”, który rozwinie się oczywiście o wiele szerzej w poezji późniejszej. Ale trudno chyba jej odmówić energii i mocnej modulacji rytmicznej. Można by jednak zarzucić, że tłumacz jest pisarzem Wieku Złotego, wychowanym na Cyceronie i że działają tu jeszcze wzorce „drugiej polszczyzny”. Weźmy więc pisarzy, których przynależność do baroku jest niewątpliwa. Biorę przy tym celowo pisarzy niekoniecznie wybitnych, bo nie chodzi o mistrzów, tylko o możliwości polszczyzny. Zaczniemy od Piotra Hiacynta Pruszcza, cytatem z jego *Fortecy Duchownej Królestwa Polskiego z Żywotów Świętych* [...], Kraków 1662. Są to krótkie żywoty świętych, błogosławionych i innych świątobliwych Polaków. Dzisiejszego czytelnika uderza energia tych krótkich członów, wzorowanych niewątpliwie na historykach łacińskich. Zauważmy na przykład, ile energii zyskuje ta charakterystyka na rzeczownikach, jak opatrzyciel, wyniszczyciel, zamiast np. opatrywał bardzo szczerze, ogromnie wyniszczał herezję, itd.

„Świątobliwy Zygmunt, Biskup Krakowski i Kardynał, człowiek wielkiej świątobliwości i jałmużnik, niedostatnich

ludzi w każdym stanie opatrzyciel bardzo szczodry, Mąż Rzeczypospolitej zasłużony, czujny jej strażnik, nieprzyjacielowi Krzyża świętego straszny. Ogromny wyniszczyciel Herezji przekłetej, przewrotnych Ministrów znosić potężny i nieustraszony. Ten w surowości żyjąc, między wielą dobrych uczynków, gdyż nic sobie — mając wiele — nie przyczytywał, ale hojnie ubogim sierotom, Wdowom, Klasztorom i Szpitalom udzielał [...]”.

Drugi przykład z całkiem innej beczki, moralista Adam Gdajusz (1680). Potępienie luksusu strojów jeszcze częstsze jest w ówczesnej poezji, o tym jak diabli modne stroje kochają pisze bodaj co drugi poeta barokowy. Mnie jednak chodzi o energię tego opisu, o jego klarowność i brak gadulstwa (choć temat mógłby do tego skłaniać):

„Niektóry Kaznodzieja wołał kiedyś na Katedrze przeciw alamodskiemu nowo wymyślonym, na przodku kończatym i jakoby rogatym trzewikom, powiadając, że Dyjabeł je wymyślił. Właśnie tedy był w kościele Szwiec, który takie trzewiki robił. Ten zapaliwszy się i zajuszywszy się na onego serdecznego Kaznodzieję haniebnie, rzekł: 'A cóż temu Popu do trzewików? Chce nas oto uczyć, jako albo na jaki kształt My Szewcy obuwia robić mamy? Bodajże go ciężka choroba popadła!' Ledwie tych słów domówiwszy wnet z Kościoła wybieżał; w drodze idąc do domu potkał się z nim Chłop jakiś duży i okropny, który porwawszy go za łeb uderzył o ziemię tak, że się zaraz krwią oblał. Tamże niemal całą godzinę leżał jak umarty, aż ludzie z kościoła wyszedłszy do domu go zaprowadzili. I tak od onego czasu już więcej szpiczastych i kończatych trzewików robić nie chciał”.

Może warto dodać, że energię tekst zawdzięcza składni, zwłaszcza imiesłowom zamiast mniej oszczędnych zdań podrzędnych, oraz czasownikom konkretnym z przyimkiem: z Kościoła wybieżał, porwawszy za łeb, uderzył o ziemię; dzięki umiejętnemu użyciu składni wybieżał jest zresztą ostatnią czynnością wykonaną przez Szewca, od tej chwili staje się on przedmiotem akcji, widać to nawet w takim szczególe, że autor nie pisze: potkał się z Chłopem jakimś, lecz odwrotnie: potkał się z nim Chłop...

Jako czwarty przykład nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania jednego z największych poetów polskich i — obok Sępa Szarzyńskiego, Zimorowicza, Kochowskiego, Potockiego i St. H. Lubomirskiego — największego między Kochanowskim a Mickiewiczem.

Tutaj jeszcze jedna dygresja: w perspektywie klasycyzmu, obowiązującej dotąd w historii poezji polskiej, mamy najwięk-

szego poetę przed Mickiewiczem tj. Kochanowskiego, a potem zaraz (w hierarchii wielkości) Mickiewicza. Jeżeli, co z obowiązku oczywiście robią, historycy literatury zapuszczają się w smutne pustynie zwyrodniałego smaku między tymi dwoma szczytami i jeżeli również z obowiązku odnotują tu i ówdzie samotny szczyt, a może raczej pagórek, nie dosięgający ich zdaniem obu mistrzów, to są to właśnie samotne szczyty na pustyni, bez żadnej łączności między sobą. Taka perspektywa jest absolutnym anachronizmem, istnieje ciągłość nie tylko od Kochanowskiego ponad głowami dwu stuleci do Krasińskiego, lecz przede wszystkim od Kochanowskiego do jego bezpośrednich następców i przez nich aż do Słowackiego.

Dlatego też chciałbym przytoczyć tu fragment Jana Andrzeja Morsztyna, który na pierwszy rzut oka brzmi tak nowocześnie, że czytelnik skłonny byłby przypisać go Słowackiemu lub któremuś z poetów jeszcze późniejszych:

Do Jana Grotkowskiego Internuncjusza JKM w Neapolim.

*Lecz choć morskiego prośba Palemona
I gładkiej będzie chciała Partenopy,
Abyś ich cuda śpiewał, jako grona
I żniwa pałą z Wezuwa potopy,
Jako odmienna w panów tamta strona,
Jak od niej morze przerwało Cyklopy,
Niech cię tak sobie nie ma kraj napolski,
Abyś ojczyźnej miał zapomnieć Polski.*

*Możeś twój wierszem mówić dowcip żyzny
I z teraźniejszym i z upadłym Rzymem,
Ale ty, pomniąc prostotę ojczyzny,
Mów z nią domowym, nie przewoźnym rymem
I swojej matce nie zadaj tej blizny,
Żebyś językiem miał pisać pielgrzymem,
Bo ona widząc rym twój tak przebrany,
Śmie swoje nad Rzym przekładać Słowiany. [...]*

Nie wiem czy Słowacki znał akurat ten utwór. Raczej nie, skoro był znany tylko w rękopisach. Ale niewątpliwie kształcił się zarówno on jak i Mickiewicz na tej samej tradycji, nie tylko na Janie Kochanowskim, lecz i na Goffredzie Piotra, zapewne i na Stanisławie Herakliusz Lubomirskim i na Wespazjanie Kochowskim. Czy więc można nazwać tę tradycję bocznym nurtem?

A wreszcie chciałbym zacytować przykład saskiego obskurantyzmu, a mimo to dobrej polszczyzny, oślawionego autora *Nowych Aten*, księdza Benedykta Chmielowskiego. Mogę to uczynić dzięki Janowi Józefowi Lipskiemu, który z podziwu godną odwagą

cywilną wydał w roku 1966 wybór z tej pierwszej polskiej encyklopedii (1745):

„Heretycy też swoich przeciwko naszym stawiają męczenników, a raczej Pseudomęczenników, które na rozstajne drogi, nie do Kościołów przenosić, na szubienicach wieszać, nie w Relikwiarze osadzać, stosami ognistymi, nie lampami oświecać należy. A cóż to są ich za męczennicy? oto którzy Katolickie Kościoły powykradali, porabowali, SAKRAMENT Najś. podeptali, obrazy, Relikwie zdespektowali, Xięży, Biskupów pobili, Zakonne Panienki violarunt; którzy oczywiście wierze Katolickiej tot saeculis nauką Ojców Świętych, cudami utwierdzonej, z pychy, ze złości kontradukują. Za to tedy ich słusznie i świętobliwie Królowie, Xiążęta, Panowie, Magistraty, a najlepiej święta Inkwizycja jako łotrów, kryminalistów, buntowników, świętokradców, toporem, mieczem, ogniem, szubienicą karze”.

Tu także mamy całą gamę retoryki barokowej, z jej ulubionymi figurami, jak *oppositio* (na rozstajne drogi to tam, gdzie grzebano samobójców, kuglarzy i im podobnych), *kalambur* (stosami ognistymi oświecać) oraz *enumeratio* i to bardzo kunsztowna, bo najpierw wymieniono w porządku zstępującym cztery klasy przedstawicieli zwierzchności, potem w porządku wstępującym cztery klasy zbrodniarzy (łotr był zapewne szczeblem najniższym), a na koniec, też chyba w porządku wstępującym, cztery narzędzia kary. Mimo tych chwytów retorycznych nie ma tu gadulstwa, nie sposób odmówić temu tekstowi energii i znakomitej modulacji rytmicznej, zwłaszcza ostatnie zdanie zbiera i ciska niejako w czytelnika lub słuchacza — proszę je przeczytać na głos — wnioski z całego fragmentu.

Z tą „nocą saską” należałoby więc może uważać. Bo że był to okres upadku politycznego nie oznacza koniecznie, że należy też tak sądzić o kulturze czy języku. Ta sama epoka wydała w Polsce niezłą architekturę, a o języku wiemy od niedawna, dzięki cennej pracy Ireny Bajerowej, że właśnie czasy saskie są okresem, w którym z tak zwanej średniopolszczyzny, polszczyzny siedemnastowiecznej, wykształca się stopniowo znany nam nowoczesny język polski czyli Miłosza „trzecia polszczyzna”. Podobnie jak szkoła „nocy saskiej” wychowały Konarskiego (ur. 1700) i Krasińskiego (ur. 1735), tak samo jej pisarze przygotowali ową polszczyznę, którą pisał Krasiński i jego następcy.

A teraz jeszcze kilka słów o gawędzie. Typowym gatunkiem polskiej prozy literackiej XIX wieku jest nie nowela (pożal się Boże, gdzie ta polska nowela) ani powieść, ale właśnie gawęda. Oczywiście, że gawęda może uwodzić do gadulstwa i że jest masa gawęd drugo- i trzeciorzędnych, najgorsze z nich to może poetyckie gawędy Wincentego Pola. Ale ilu jest w tym samym czasie trzeciorzędnych epigonów Mickiewicza? Lecz jeśli weźmiemy gawędę w tym, co ma najlepszego, a więc w *Pamięt-*

kach Soplicy, to nie wydaje się, aby była tylko stylizacją, a już na pewno nie jest gadulstwem i nie brak jej ani energii ani ostrej modulacji rytmicznej:

„Pan Wołdkowicz został zaprowadzony do sądu, wybadany, osądzony, dekretowany i dysponowany na śmierć, a nareszcie rozstrzelany: to wszystko w przeciągu niespełna godziny! Zaraz po dopełnieniu wyroku i trybunał i książę-biskup rozjechali się, i w porę, bo książę wojewoda wileński, dowiedziawszy się, że pan Wołdkowicz puścił się do Nowogródka, zaraz przeczuł niebezpieczeństwo i na czele sześciu tysięcy milicji swojej, którą zebrał na prędko, i bandy albeńskiej, ruszył za nim i w ośm godzin po rozstrzelaniu przyjaciela stanął przed miastem. Pułk imienia Massalskich próbował rogatek bronić, ale w puch został rozbitym. Tam się dopiero dowiedział książę o nieszczęściu swoim. Bo zawsze później mawiał: 'Dwa tylko nieszczęścia prawdziwe w życiu doświadczyłem: pierwsze, podział kraju, drugie: rozstrzelanie Wołdkowicza' — i nigdy nie przestał opłakiwać tej straty”.

Oszczędność wyrazu, przeciwieństwo gadulstwa, uderza chyba każdego. Cały mord sądowy opisany jednym zdaniem, w którym narastająca gradacja czasowników potęguje napięcie. Ucieczkę morderców skwitowano jednym ironicznym zwrotem i w porę, po czym nowa kaskada akcji. Zajęciu miasta nie poświęcono nawet słowa, wynika ono tylko ze zwężonego opisu obrony i z przysłowka *tam* (tj. w mieście, nie na rogatkach).

Czytelnikowi, który ma *Pamiętki Soplicy* pod ręką, poleciłbym przeczytanie tego rozdziału do końca („Wołdkowicza rozstrzelali!”).

Elementy gawędy znajdujemy na przykład w niemal nieznanym prozie Wincentego Pola (*Obrazy z życia i natury*). Dlaczego Pol znany był, a w swoim czasie sławny, ze swych niezmiernie słabych wierszy, a dlaczego nikt nie czyta jego prozy, trudno zrozumieć. Chyba że przyjmiemy, bodaj za Nietzschem, że historia literatury polega na tym, że jeden profesor odpisuje od drugiego (a czytelnik im wierzy).

W naszych czasach tradycję gawędy widzę w niezmiernie klasycznej prozie Jerzego Stempowskiego. Niedarmo nazwał ją on notatnikiem niespiesznego przechodnia, bo gawęda nie spieszy się, nie jest prozą amerykańską. Choć oczywiście do mistrzów Stempowskiego należeli też Rzymianie — przede wszystkim antyklasycystyczny Owidiusz — no i XVIII-wieczni, a więc jak najbardziej klasycystyczni, Francuzi. Kto zresztą pamięta jak Stempowski pisał swe eseje, ten wie, że były one wszystkie napróżd opowiadane i dopiero gdy pisarz osiągnął w opowiadaniu formę ostateczną — spisywane. A więc nawet powstawanie ich zgodne było z tradycją gawędy. Tę tradycję widziałbym też u Gombrowicza (o tym, że wywodzi się on ze szlacheckiej tradycji sarmackiej pisał ostatnio w sposób równie błyskotliwy jak przekony-

wujący Jan Błoński).

Może więc można by zaryzykować twierdzenie, że to antyklasycystyczna tradycja barokowa jest nadrzędna: jest w niej miejsce na wszystkie rodzaje sarmatyzmu, i na najróżniejsze skrzyżowania sarmatyzmu z klasycyzmem, a wreszcie, dlaczego by nie, na arystokratyczny klasycyzm. Pisałem o klasycyzmie, bo zarówno „cyceronianizm” jak i „attycyzm” są terminami stosunkowo mało znanymi i zapewne o węższym zakresie. Ale może warto przypomnieć, że ostatnio — to znaczy od jakichś przeszło dziesięciu lat — Jarosław Marek Rymkiewicz nazywa klasycyzmem właśnie nawrót do barokowych tradycji. A jeżeli Rymkiewicz i inni poeci mogą widzieć wzorzec w Danielu Naborowskim i w Stanisławie Herakliusz Lubomirskim — a ostatecznie wiersze J. M. Rymkiewicza, w których nawiązuje do tej tradycji, należą do lepszych w ciągu tych lat — to chyba nie ma powodu odpisywać dwustu lat literatury polskiej na straty, ani też przypisywać panującej mody na *ambiwalencje*, *niestabilności* i *egzemplifikacje* akurat tradycji barokowej.



Napisawszy to, przeczytałem jeszcze raz artykuł Miłosza i waham się: a może jemu o całkiem coś innego chodziło? I może gadamy ze sobą tak jak ci dwaj przed obrazem w miłoszowym muzeum albo mówiąc bardziej po staropolsku, jak dziad z obrazem (jeszcze potoczniej: jak gęś z prosięciem).

A może najważniejsze w *Ogródzie Nauk* jest to przygnębiające odkrycie, że porozumienie jest niemożliwe i że pisze się w pustkę, bo następcy mogą całą tę spuściznę wyrzucić na śmietnik? Lecz skoro klasycysta jest z natury rzeczy „platonikiem”, skoro zakłada, że istnieją niezmiennie wzory piękna i dobra, to powinien też pamiętać, że „zbiorowość” (w tradycyjnej terminologii: *profanum vulgus*) nigdy nie jest na nie wrażliwa i zawsze woli szlagiery i telewizję, ale także, że wzory zauważy i podejmie „późny wnuk”. Ale może znowu źle zrozumiałem *Ogród Nauk*? Może Miłoszowi-poecie chodziło tylko o propozycję wzorca dla poezji własnej i innych, a już ja, nieuważny czytelnik, zobaczyłem w tym teorię roboczą, dotyczącą całej tradycji literatury polskiej, i bodajże nie tylko polskiej.

Andrzej VINCENZ

Uzupełnienia

W moich uwagach o „trzech polszczyznach” („Ogród nauk”, *Kultura*, Nr 12/351) zbyt już skrótowo się wyrażałem, z czego

się sumituję. Przynajmniej jednak podnieciłem profesora Andrzeja Vincenza do wypowiedzi, co dostatecznie okupia wady mego artykułu. Wielka szkoda, że tak rzadko odzywa się na te tematy mój znakomity kolega z Heidelbergu (że uszanujemy staroświeckie a nie całkiem nierozsądne grzeczności). Przyjemnie mi pospierać się z nim tutaj przez chwilę.

Nie było moim zamiarem wskrzeszenie sporu pomiędzy klasycyzmem i Barokiem. Pomijając już wieloznaczność każdego z tych terminów, w żadnym wypadku nie chciałbym się podawać za „wroga Baroku”. Tak się po prostu złożyło, że, jak słusznie zauważa Vincenz, klasyczne fazy w dziejach polskiego języka były krótkie, natomiast barokowe długie, toteż dużo dobrego ale i dużo złego przypada na panowanie takiego czy innego Baroku.

„Ustawienie głosu” w danym języku nie jest dla mnie równoznaczne z jakimś bezwzględny potępieniem „odstępstw”. Inaczej mówiąc, nie zalecałbym żeby znieść wszystkie potrawy i zostawić tylko chleb, albo żeby kazać wszystkim chodzić, jeżeli niektórzy chcą biegać. Ponieważ Vincenz zaczyna od francuskiego, zdając się tłumaczyć moją tęsknotę do ładu francuskimi wpływami, przyznam, że owszem, francuski ma głos dobrze ustawiony, tak że nawet ktoś kto ma niewiele do powiedzenia może w tym języku zrećnie pisać (stąd zjawiska młodocianych stylistów jak Françoise Sagan). Jednakże prawa rządzące francuskim są tak szczególne, że obieranie go za ideał byłoby absurdem. Osobiście nie przepadam za ogrodami Wersalu, za francuskim rytuałem kulinarnym ani za aleksandrynem. Niedawno zmarły eksplorator francuszczyzny, St. John Perse, mówił mi kiedyś, że główną przyczyną poetyckich ruchów awangardowych był we Francji bunt przeciwko rygorom wersyfikacji i składni — niezmiennym od wieku szesnastego: czyli tutaj mamy „ustawienie” aż w nieznosnym nadmiarze.

Przejdźmy do trzech polszczyzn. Pierwsza jest odrębna i leksykalnie i gramatycznie, a oskarżanie jej o nieporadność na podstawie niektórych zachowanych tekstów nie wydaje mi się uzasadnione. Sądząc po *Psałterzu Puławskim* miała ona duże możliwości silnych rytmów, tj. była bogatsza w akcenty oksytoniczne czy sylaby „męskie” niż dzisiejsze (wszelkie *jeś, jeśm, jeż* etc.). Jeżeli trafna jest hipoteza, że psalterz ten jest kopią zaginionego psalterza królowej Kingi, polszczyzna wieku trzynastego zasługuje na podziw:

*Gospodnie, Boże mój, acz jeśm uczynił to,
acz jest złość w moich ręku,*

*Acz jeśm wracał odpłacającym mnie zła,
dostojno jest, bych spadł od moich nieprzyjaciół
próżnych.*

Albo:

*Co jest człowiek, iże jį pomnisz, albo syn człowieczy,
iże jį nawiedzasz?*

*Umniejszyles jį mało od aniołów, sławą i czią
koronowales jį i postawiles jį nad działą ręku twoich.*

*Wszycko poddał jeś pod nogi jego:
owce i skot wszytek i nad to wszytek zwierz polny,*

*Ptaki podniebne i ryby morskie, jeż przechodzą
stedze morskie.*

Druga polszczyzna to ta, jaką znajdujemy u Kochanowskiego i w Biblii Wujka. Bynajmniej nie twierdzę, że jest ona jednolita i że nie ma w niej różnych nurtów, często rozbieżnych. Byłoby np. ciekawe zbadać jej nurt „mówiony”, rozkosze sypania słów i słówek, jak u Reja, i porównać to z funkcją podobnego gadania u Rabelais. Na ogół wydaje mi się, że polski język literacki dojrzewa wtedy i zyskuje dużą sprawność nieco jednostronnie, tj. w wypowiedzi poetyckiej i w stylu dostojnym, natomiast nie w prozie pospolitej, gdzie czatuje rozwlekłość. Chyba nie jest ona różna od tej, jaką można wtedy obserwować w innych językach, ale w polskim zamiast ustępować z pola, będzie się zaznacza coraz silniej. Już w szesnastym wieku grzeszy nią np. Kronika Strykowski.

Vincenz uważa, że mówienie o trzeciej polszczyźnie jest staroświeckie, bo kiedy wyznaczano wysokie miejsce pisarzom ery stanisławowskiej jako reformatorom języka, dorobek polskiego Baroku był niedoceniony i mało znany. Czyli, według niego, istnieje ciągłość rozwoju a nie jakiś hiatus. Nie potrafiłbym udowodnić, że jest przeciwnie, ale, choć nie zapisuję siedemnastego wieku wyłącznie na rachunek strat jako ery zepsucia smaku, sądzę, że staroświecka ocena jest w ogólnych zarysach trafna. Stosunek do języka może być dobroduszny albo dramatyczny. Stabe okresy w dziejach polszczyzny to, moim zdaniem, te kiedy zwyciężała dobroduszność.

Dramatycznie odnosi się do języka piszący jeżeli jest świadomy, że nie wystarczy mówić żeby powiedzieć ani pisać żeby napisać, tj. że w każdym zdaniu odbywa się walka i tworzenie formy, co oznacza odrzucanie, oszczędność, ascezę. Niewątpliwie klasycyzm sprzyja takim dramatycznym wysiłkom, bo u jego podstawy leży jakby rezygnacja z wypowiedzenia wszystkiego: kto wybiera, tym samym musi odrzucać. Ogrody Wersalu wyrzekają się bujności przyrody na rzecz geometrycznej linii. Stendhal (choć romantyk z ducha) ćwiczy się w stylu oschłym i poprawnym jak styl kodeksu. Puszkina przenosi więźność jaką osiągnął w wierszu do swojej prozy i stara się o układ zdań ograniczony do słów niezbędnych. Kochanowski świadomie współzawodniczy

z Horacym. W ogóle chęć sprostania łacinie, w przekładach i adaptacjach, ma na język polski szesnastego wieku wpływ dobroczynny. Wyliczyć tutaj należy kolejne, katolickie i protestanckie, przekłady Biblii. Hebrajski i grekę jednostki, zwłaszcza wśród protestantów, studiowały, ale trudno wiedzieć na ile gruntownie, jak też które księgi Pisma były dostępne w oryginale. Opierano się przede wszystkim na łacińskiej Vulgacie.

Słowa „klasycyzm” i „Barok” są, jak rzekłem, mało przydatne i nie pokrywają się z moim podziałem na dramatyczność i dobroduszość w traktowaniu języka. Sęp Szarzyński jest dla mnie jak najbardziej dramatyczny przez swoje łamanie się ze słowem, trud jaki wkłada w zwolnienie tempa (opór składni, przerzutnie), do czego skłania go poczucie niewystarczalności słów. Choć znajdziemy u niego też *concetti*, jakie przywykliśmy łączyć z pojęciem poezji barokowej. Tylko że tutaj okazuje się, że są różne niespodzianki w dziejach literackich stylów. Przypomnę wiersz Sępa o ruinach Rzymu, zaczynający się tak:

*Ty, co Rzym wpośród Rzymu chcąc baczyć, pielgrzymie,
A wdy baczyć nie możesz w samym Rzymu Rzymie...*

i zawierający taką figurę retoryczną:

*To miasto świat zwalczywszy i siebie zwalczyło,
Bo nic nie zwalonego od niego nie było.
Dziś w Rzymie zwyciężonym Rzym niezwytyczony
(To jest ciało w swym cieniu) leży pogrzebiony.*

Otóż wiersz ten jest przekładem łacińskiego wiersza, którego autorem był zapomniany dziś humanista włoski Ianus Vitalis z Palermo, piszący wiele dziesiątków lat wcześniej niż Sęp (około roku 1500). Wiersz ten tłumaczony, zgodnie z ówczesnym obyczajem, bez podania że to przekład, pojawia się równocześnie w różnych literaturach: po francusku u Joachima du Bellay, po hiszpańsku u Quevedo*, po polsku u Sępa — pewnie też i w paru innych językach. Jest on zbudowany z figur bardzo starych, zapewne wcale nie wynalezionych przez włoskiego humanistę ale pożyczonych — z greki, tak jak niejedno u Kochanowskiego w *Trenach*, gdzie następujące wersy o Niobe zamienionej w Kamień są dosłownym przekładem z greckiej *Antologii*:

*Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.*

Tutaj przechodzę do postawy wobec języka dobrodusznej. Można w niej odgadywać przekonanie, że mowa wzbogaca się

* Nikt nie pamięta o prawdziwym źródle. Wydanie dzieł zebranych Franciszka de Quevedo (1580-1645), Barcelona, 1963, podaje jako źródło „epigramat polskiego humanisty Sępa Szarzyńskiego (sic)”.

przez „naddatki” czyli sama sobie by wystarczyła, tyle, że nie lubimy kiedy jest zbyt postna, piszący więc występuje jako sztukmistrz, który przydaje jej złocen i ozdób. Kwieciistość, krasomówstwo, użytek robiony z wyuczonych chwytów są właściwe stylowi sarmackiemu — jak w wyjątkach cytowanych przez Vincenza. Rzecz byłaby względnie prosta, gdyby podobne cechy nie występowały na dwóch poziomach: na wyższym w bardzo wyrafinowanej poezji kół dworskich, przede wszystkim u Jana Andrzeja Morsztyna, jak też u innych poetów z tej samej utalentowanej rodziny Morsztynów. Zastanówmy się chwilę nad poniższym krótkim wierszem Jana Andrzeja. Wyraża się w nim doskonale zrozumienie względności wszelkich metafor, które uzyskują sens wyłącznie kulturalno-obyczajowy, jak ukłon, dygi, taniec, formuła towarzyska:

*Oczy są ogień, czoło jest zwierciadłem,
Włos złotem, perłą ząb, płeć mlekiem zsiadłem,
Usta koralem, purpurą jagody,
Póki mi, panno, dotrzymujesz zgody.
Jak się zwadzimy, jagody są trądem,
Usta czeluścią, płeć blejwasem bladym,
Ząb szkapią kością, włosy pajęczyną,
Czoło maglownią, a oczy perzyną.*

Przez co Słowacki spokrewniony jest z polskim wiekiem siedemnastym? Przez dającą się wyprowadzić z jego pism teorię poetyckiego języka jako „naddatku” (że nie powiem „nadwartości”). Znakomicie ta teoria działa w jego stylu „ariostycznym”, ale też pozwala odpowiedzieć na pytanie dlaczego nieczytelna jest jego proza mistycznego okresu: nie mistyka tutaj winna jak sądzono, tylko stylistyka. To samo stosuje się do wielu innych pism romantyzmu. Bo krasomówca (również ten, który nie uświadamia sobie że jest nim) okazuje się bezbronny kiedy wykracza poza krąg odniesień kulturalno-obyczajowych i musi potykać się z językiem w sferze doświadczeń bardziej elementarnych. Przeciwnieństwem krasomówstwa jest nie tylko Mickiewicz, także Antoni Młczyński.

Powołując się na dramatyczne „ustawienie głosu” u Mickiewicza nie chcę powiedzieć, że można dzisiaj pisać jak Mickiewicz. Zwracam tylko uwagę na zaniedbania wieku dziewiętnastego, kiedy w prozie gawędziarstwo i stylizacja historyczna sprzyjały dobrodusznemu stosunkowi do języka. Czy da się przeskoczyć pewne fazy? Nie jestem pewien. Czytając młodzieńczą powieść Witkacego 622 *upadki Bunga* czyli *demoniczna kobieta* byłem uderzony podobieństwem stylistycznym tej prozy do czegoś znajomego. I nagle przypomniałem sobie: przecież to *Trędowata* Mniszkówny. Co powinno ostrzegać. Drwina spokrewnia z przedmiotem drwiny bardziej niż się przypuszcza, ujawnia się też bezpłodność ironii jako towarzyskiej samo-ochrony. Język w którym niegorzej można biegać a nawet latać, ale najtrudniej

chodząc, jest dość niebezpieczny. Czatują w nim pułapki niezamierzonej parodii, tak że język działa wbrew autorskim intencjom (co zdarzało się nieraz Młodej Polsce).

Trzecia polszczyzna w wieku dziewiętnastym, wieku powieści, niewiele wydaje dzieł reprezentujących jej główny nurt. Natomiast od początku naszego stulecia jedno po drugim następują różne mody na „udziwnianie”. Warto się chyba zastanowić nad tym faktem, że najlepiej piszący po polsku autorzy wbrew tym modom nawiązują bezpośrednio do Sienkiewicza, tam gdzie nie archaizuje (tak robi choćby Gombrowicz).

Nie mogę wyczerpać w krótkim artykule wszystkich nasuwających się zagadnień. Na przykład, jeżeli „dramatyczną” pracę nad językiem cenię, czyż nie powinienem najwyżej stawiać Norwida? Na to odpowiem: weźmy wielocłonowe okresy Norwida, złożone z piętrzących się zdań pobocznych, te labirynty w których gubi się sens na któreś mili pomiędzy podmiotem i orzeczeniem — i uczciwie, z ręką na sercu, stwierdzmy, że tak właśnie chcielibyśmy po polsku pisać. Niewiele ze sobą mający wspólnego pisarze są często pokrewni rytmem ich języka. Jakaś dziwna archaiczność łączy np. Norwida z Orzeszkową.

Pięknie pisał wspomniany przez Vincenza Paweł Hostowiec czyli Jerzy Stempowski. Był gawędziarzem ale nie w znaczeniu przyjętym w słownikach terminów literackich. Ściśle biorąc, polska gawęda, tak jak rosyjski *skaz*, tym się odznacza, że jest włożona w usta postaci opowiadającej, mającej pewne swoiste cechy — w gawędzie jest to zwykle szlachcic starej daty. Stempowski trochę budował, choć bardzo dyskretnie, swoją własną postać, „samotnego wędrowca”, humanisty zabłąkanego w świat w którym nikt już nie zna starożytnych języków i nie czyta starożytnych pisarzy. Ale jego polski był wolny od stylizacji, odczuwałem go zawsze jako dobrą trzecią polszczyznę, rodem gdzieś z łóz wileńskich, Towarzystwa Szubrawców i „Wiadomości Brukowych”.

Czesław MIŁOSZ

GWIAZDA POLARNA

Największy tygodnik w języku polskim
ukazujący się w Ameryce.

Wiadomości polityczne, — kronika życia Polonii —
wiadomości z Polski — powieści — nowele — wiersze.

Gwiazda Polarna
3535 Jefferson Street, Stevens Point, Wisc. 54481.
U.S.A.

Ci co odeszli

Władysław Wolski

Zmarły 24 stycznia br. w Lailly-en-Val we Francji Władysław Wolski był jednym z dawniejszych współpracowników w wydawnictwach Jerzego Giedroycia. W *Buncie Młodych* i w *Polityce* artykuły swe podpisywał jako Roman Krukowiecki, w *Kulturze* drukował je początkowo jako GAMMA, następnie zaś, w roku 1974, ponownie jako Krukowiecki.

Urodził się w Kijowie w roku 1904 i tam rozpoczął gimnazjum. Kolegował na jednej ławce z W.A. Zbyszewskim, którego zdaniem uczył się bardzo dobrze. W roku 1918 czy 1919 wymieciony rewolucją z Ukrainy przybył z rodzicami do Warszawy, gdzie ukończył szkołę średnią i zapisał się na prawo. Ciężkie warunki, w jakich się znalazł — podobnie jak inni kresowcy — sprawiły, że szybko oddał się pracy zarobkowej w dziennikarstwie. Zapewne przez koneksje ojca znalazł ją w *Zorzy*, redagowanej przez postać ND Wierczaka, i pod jego kierownictwem nauczył się wstępnych zasad tego rzemiosła. Wówczas też zapisał się do *Młodzieży Wszechpolskiej*, przybudówki Związku Ludowo-Narodowego późniejszego Stronnictwa Narodowego. Z organizacją tą jednak dość szybko popadł w konflikt, nie poddając się jej bezwzględnej dyscyplinie. Wykluczony z jej szeregów, związał się z Jerzym Rogowiczem i Henrykiem Zabłockim, którzy w tym czasie wystąpili z niej z trzaskiem. Była to pierwsza, wprawdzie nieliczna ale w ówczesnym życiu akademickim wiele znacząca secesja ideowa z tego stronnictwa, skazanego i później na wstrząsy i rozłamy. Pamiętam żywo spotkania z tymi trzema śmiałkami i boje, prowadzone w Bratniej Pomocy. W przeciwieństwie do niezrównanego polemisty jakim był Rogowicz, Wolski rzadko wstępował na trybunę, ale w małych zespołach był słuchany uważnie, bo umiał przypomnieć w porę, spokojnie i inteligentnie, potrzebne fakty i dane.

Na wykłady chodził mało, jednakże egzaminy roczne zdawał doskonale, z wyjątkiem ostatniego, do którego nie zdołał nigdy przystąpić, pochłonięty już wtedy namiętnością do bieżącej polityki. Pożerał tony pism wszystkich kierunków, rejestrował w

pamięci nazwiska, daty, stronnictwa, przemówienia, uchwały. To czytanie w polityce krajowej i międzynarodowej było jego atutem w dalszej jego pracy dziennikarskiej, w której go spotkałem w Agencji Wschodniej (AW) Adama Szczepanika. Związał się tam z Tadeuszem Łychowskim, z którym analizował bez końca artykuły w dostępnych mu wreszcie dziennikach sowieckich i francuskich. Stale czytał *Izвестia* i skrajnie prawicową *Action Française*. (Z okresu rewolucji nie wyniósł żadnego kompleksu antyrosyjskiego). Ta uważna lektura pism wielojęzycznych miała mu być własną szkołą nauk politycznych.

Po przewrocie majowym, w czasie którego okazał spokój i odwagę przekraczając jakby nigdy nic ulice pod obstrzałem karabinów maszynowych. Wolski rychło został zatrudniony jako urzędnik na początek w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a potem w biurze prasowym Prezydium Rady Ministrów, pod Tadeuszem Świącickim. Stamtąd, po paru latach, chyba za sprawą Stanisława Zaćwilichowskiego, przeszedł do biura prasowego MSZ. W roku 1934 został wysłany do Bukaresztu, do poselstwa M. Arciszewskiego. Szybko opanował język rumuński, pożerał i doskonale streszczał prasę, nawiązał stosunki. I tu zaznaczył się drugi, nieoceniony jego talent: pozornie nieśmiały, towarzysko mało wyrobiony, cygan, — z pewnością nie był to tzw. „rasowy dyplomata” — umiał dotrzeć do ludzi politycznych, reprezentujących wszystkie bez żadnego wyjątku odcienie, i zawrzeć z nimi bliskie znajomości. W ten sposób wszedł w styczność nie tylko z wybitnymi dziennikarzami ale i z osobistościami takimi jak Codreanu, przewodca Żelaznej Gwardii, Maniu b. premier i przywódca stronnictwa chłopskiego i Michail Antonescu.

Ostatni okres przedwojenny spędził w Warszawie, udzielając się coraz szerzej w kołach politycznych, pisząc dla Giedroycia artykuły i rozszerzając pole obserwacji na wiele nowych dziedzin. Pamiętam wnikliwy ale i „dyplomatyczny” raport jaki złożył ministrowi sprawiedliwości, Witoldowi Grabowskiemu, z podróży na Wołyń w okresie rosnącego napięcia przeciw wojewodzie Józefskiemu.

Ale w całej tej, nieraz rozrzućnej, pracy brakło Wolskiemu dyscypliny wysiłku, która by mu pozwoliła ukończyć studia i złożyć niezbędny egzamin dyplomatyczny w MSZ. Pozostał urzędnikiem kontraktowym, nie przekroczył stopnia dzielącego od ekskluzywnego zespołu „urzędników etatowych”.

We wrześniu z falą ewakuowanych urzędników dotarł do Rumunii i znalazł zatrudnienie w ambasadzie Rogera Raczyńskiego, który z pomocą Giedroycia dość szybko się na nim poznał. Gdy ambasada musiała opuścić Rumunię, pozostał z Giedroyciem w biurze polskim poselstwa chilijskiego, które przejęło opiekę nad sprawami polskimi. Gdy w marcu 1941 biuro zostało zlikwidowane, poselstwo angielskie zorganizowało Giedroyciowi i Wolskiemu wyjazd do Stambułu, gdzie jednak drogi ich się rozeszły. Giedroyc dotarł do Brygady Karpackiej, Wolski zaś, który już

dawniej nawiązał bliskie stosunki z płk. Kowalewskim, został na ochotnika zaangażowany w ramach tzw. Akcji Kontynentalnej polskiego ministerstwa spraw wewnętrznych do pracy w Rumunii i zawrócił do Bukaresztu.

Teraz już nie liczyły się stopnie służbowe, dyplomy i egzaminy — poza jednym jedynym, który trzeba było zdać: nie tylko z inteligencji ale i z odwagi i determinacji. Mając za zadanie obserwowanie dla naszego MSZ w Londynie sytuacji politycznej w Rumunii, opanowanej przez Niemców, Wolski stał na podstawie poufnych wiadomości od polityków rumuńskich regularnie raporty, które w Londynie czytane były z największą uwagą i — jak mi mówił potem Kajetan Morawski — miały bardzo wysoką cenę w oczach Anglików, którym były komunikowane.

Zabawna była technika pracy, obrana przez Wolskiego. Zarówno w czasie paromiesięcznego istnienia wydziału polskiego przy poselstwie chilijskim a zapewne i później swoje raporty pisał w czytelni luksusowego hotelu Ambasador, który był zarekwirowany przez komendę niemiecką ale bar i czytelnia były dostępne dla publiczności cywilnej. Często się zdarzało, że pikolak a także oficerowie niemieccy pracownicy zbierali rozrzuconemu *gentleman*owi kartki raportu rozsypane na podłodze.

Ale wiadomo, że praca najrzeczniejszego nawet agenta nie może trwać bez końca. Wolski został nakruty i aresztowany, szczęśliwie jednak bez kompromitujących dowodów. Nadal szansa mu dopisała: nie zastosowano tortur, poprzestano na osłepiających żarówkach, świecących się w celi całą noc. Nie przeszkodziły mu one jednak w głębokim śnie, bo był nieczuły na światło! Dobrze wyspany więzień nie wypadł z formy i wytrzymał wielogodzinne przesłuchania. Do tego stopnia, że Niemcy skazali go tylko na zesłanie do obozu koncentracyjnego. Ale w ostatniej chwili przyszło pismo marszałka Antonescu ze zwolnieniem go.

Cały ten rozdział, jakże charakterystyczny dla podwójnej gry, uprawianej z konieczności przez Rumunów, którzy się ubezpieczali na obie strony, maluje też dobrze Wolskiego i jego bez troskę w obliczu niebezpieczeństwa.

Warto zresztą sięgnąć do wspomnień, które Wolski raz tylko opublikował w nr. 25 (z r. 1949) *Kultury*, na marginesie recenzji z jakiejś książki rumuńskiej, wydanej na emigracji w Paryżu. Z opowiadania tego, ciekawego dla ówczesnej atmosfery Bukaresztu, wynika także, że Wolski bynajmniej nie ograniczał się do zbierania wiadomości, ale również je dawał, nie skąpiąc naświetleń i inspiracji.

Mowa jest w artykule o wybitnym dziennikarzu i pamphletyście rumuńskim, Seicaru, którego pismo *Curentul* wyrosło niejako do roli niezależnej instytucji. Wbrew pozorom nie był germanofilem, usiłował tylko być realistą, wyżywał się wprawdzie jako wróg Rosji, ale mimo wszechobecności gestapo przeprowadzał coraz jaskrawiej różnicę między wschodnimi i zachodnimi wrogami Niemiec i coraz śmielej zaczynał sugerować konieczność nawiązania rokowań z krajami anglosaskimi. W momencie zary-

sowującego się konfliktu między rządem polskim a Kremlem, nie bacząc na protesty poselstwa niemieckiego kierował uwagę opinii publicznej na istnienie problemu polskiego.

„W tym czasie — pisze Wolski — niedługo przed moim aresztowaniem zwróciłem się do p. Seicaru proponując mu korzystanie z moich materiałów do jego kampanii. Otrzymałem zaproszenie do znanej restauracji świata politycznego „Moderne”. Był to marzec 1943, bezpośrednio po klęsce niemieckiej pod Stalingradem. Wszedłem do restauracji jak zwykle przepełnionej... P. Seicaru... zobaczywszy mnie... wstał od stołu i wyciągając kordialnie rękę... ryknął na całą salę zamiast powitania: *Monsieur, je crache sur l'Allemagne**. Parsknąłem śmiechem, jakkolwiek ten wylew uczuć antyniemieckich nie był w mojej ówczesnej sytuacji pomysłem szczególnie szczęśliwym, zwłaszcza wobec stołu restauracyjnego obsadzonego opodal gęsto przez wylegających oficerów Wehrmachtu...” (str. 126).

I Wolski dodaje, że w pierwszej połowie 1944, czyli w rok później, kiedy rola *Curentula* osiągnęła punkt kulminacyjny, Wolski miał okazję codziennej współpracy z redakcją w zagadnieniach polskich. „Okolo 40 artykułów p. Seicaru, które w ciągu kilku miesięcy ukazały się tam na tematy polskie, były chyba jedynymi, jakie umieszczała prasa w krajach znajdujących się pod kontrolą wojsk osi. A seria artykułów o Powstaniu (tym razem częściowo skonfiskowanych) należała do najlepszych kart o bohaterkiej Warszawie”.

Oczywiście z dzisiejszej perspektywy wszystkie ówczesne wysiłki i osiągnięcia wydają się nam próżne i daremne — artykułów Seicaru nie znajdzie się z pewnością nigdzie, nawet w bibliotekach Bukaresztu — ale jednak z takich nawarstwień pracy składa się historia.

Wolski nigdy potem nie poczytywał sobie tej służby za szczególną zasługę. Skąpo o niej mówił, zawsze dość skryty i na swój temat mało mówny. Nie wiem, czy przyznano mu odznaczenie, nikt o tym zdaje się nie słyszał, może w okresie powojennego zamętu w polskim Londynie uszedł uwadze? Wszelako wśród ludzi świadomych zdarzeń na owym terenie, historia jego służby zapisała się w pamięci.

Po wejściu Rosjan Wolski wycofał się z Bukaresztu — znów z przegodami — na Wiedeń, do Włoch. Stamtąd wkrótce przeszedł do placówki 2-go Korpusu mjr. Józefa Czapskiego w Paryżu, by na nowo rozpocząć pracę nieoficjalnego attaché prasowego i łącznika z politykami francuskimi. Stykałem się z nim w tym okresie i podziwiałem łatwość, z jaką mimo skromnych środków potrafił nawiązywać stosunki, znajdować informacje. Współpracował ściśle z Andrzejem Bobkowskim i Ryszardem Wragą, ale po dawnemu chodził własnymi ścieżkami. Prócz Czapskiego pracę jego docenił w pełni ambasador Kajetan Morawski, który do jego raportów kierowanych do naszego Londynu przywiązywał wielką wagę.

* Proszę Pana, pluję na Niemcy!

Dzieje tej wysuniętej placówki 2-go Korpusu stanowczo zasługują na opracowanie. Kiedyż Józef Czapski zechce im wreszcie poświęcić wspomnienia? Ten obraz jest wart i kilku jego świetnych płócien.

Z nieco późniejszego okresu, kiedy — *Kultura* przeniosła się z Rzymu do Paryża — pochodzą obszerne artykuły GAMMY, rzeczowo i kompetentnie referujące stan rzeczy we Francji i „sytuację międzynarodową widzianą z Paryża”. Przeczytałem je teraz na nowo. Nie ma w nich *bria* i olśniewających efektów publicystycznych, ale też brak ryzykanckich syntez i nie sprawdzających się przepowiedni. W każdym imponuje bogactwo faktów i cyfr, i wytrawność sądu. Wolski w porę przewidywał niezmiernie możliwości, otwierające się przed gen. de Gaullem (w którego otoczeniu zaskarbił sobie zaufanie) i bezbłędnie postawił diagnozę choroby toczonej IV Republikę.

Po krótkim okresie współpracy z sekcją polską Radia Francuskiego w jej audycjach na Kraj, został Wolski zaangażowany do polskiego zespołu w organizującym się w Monachium Radiu Wolnej Europy. Pisał tam, o ile mi wiadomo, jako „Tański” (nazwisko panińskie jego matki), o Francji, Sowietach, krajach Bałkańskich. Z biegiem czasu zakres swych zainteresowań rozszerzył na kraje arabskie, korzystając z nawiązanych za sprawą żony stosunków w świecie politycznym Libanu i z obserwacji, poczynionych w parokrotnych podróżach na Środkowy Wschód. Do tego doszły krytyki filmowe, gdyż w Wolskim obudziła się po wojnie nowa namiętność — do X-ej muzy. Jeździł regularnie na festiwale w Oberhausen i do Cannes, gdzie spotykał recenzentów filmowych z Polski, wysoko ceniących jego smak i znajomość rzeczy. W każdym z tych działań praca jego w RFE cieszyła się podobno wielkim uznaniem zarówno dyrekcji jak i kolegów.

Po przekroczeniu granicy wieku i gdy wygaś parokrotnie przedłużany kontrakt pracy, Wolski z powrotem osiadł we Francji. W *Kulturze* parę razy napisał o zdarzeniach na Środkowym Wschodzie (raczej z arabskiego punktu widzenia), do Monachium nadawał audycje o filmach widzianych w Paryżu. Nigdy nie pisał ze szczególną łatwością, w artykuły swe wkładał dużo pracy. Ale nadal zadziwiał żywotnością. Zmienił się na twarzy ale zachował wrodzoną dystynkcję i charakterystyczny, młodzieńczo płynny chód. I zmysł humoru.

Nagle przyszła choroba, od której nie uratował go zabieg chirurgiczny i której nie docenił aż do ostatniej chwili. I zakończyła jego służbę ojczyźnie i kulturze.

Władysław ŻELEŃSKI

Władysław Żeleński ma rację, że mało wiemy o najnowszej historii Polski. Rzecz tak dobrze jak nieznana jest fakt, że w przeddzień naszego wyjazdu z Rumunii przy pomocy poselstwa angielskiego, Maniu oświadczył poufnie Wolskiemu, że gotów jest wyjechać na zachód, by stworzyć „Komitet Wolnych Rumunów”. Prosił Polaków o pomoc. A były wtedy stosunkowo duże

możliwości wyjazdu do Turcji via Bułgaria. Natychmiast po naszym przyjeździe do Stambułu Roger Raczynski przekazał tę wiadomość gen. Sikorskiemu. W oczekiwaniu odpowiedzi przeciągnąłem swój pobyt w Turcji — przed pójściem do wojska — o prawie miesiące. Nigdy żadna odpowiedź nie przyszła... (J. Giedroyc).

Henryk Jasiczek

W grudniu 1976 roku po krótkiej chorobie zmarł w Cieszynie Czeskim wybitny poeta i przywódca Polaków na Zaolziu, Henryk Jasiczek. Urodził się on w 1919 roku w Kottingbrunn pod Wiedniem. Przez całą młodość borykał się z trudnościami. W czasie okupacji, przebywając na terenie przyłączonym do Rzeszy, odmówił podpisania volkslisty. Z tego okresu pochodzą jego pierwsze próby poetyckie. Debiutował w 1948 roku tomem poezji *Rozmowy w ciszy*. W późniejszych latach ukazały się *Gwiazdy nad Beskidem*, *Obuskiem ciosane*, *Śpiewki zbójnickie*, *Jaśminowe noce* oraz satyryczne *Humoreski beskidzkie*. W latach 1945-1958 zajmował stanowisko redaktora naczelnego cieszyńskiego *Głosu Ludu*, od 1948 po 1968 rok był kierownikiem sekcji literackiej Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji. Był członkiem Związku Pisarzy Czechosłowackich oraz Związku Pisarzy Śląskich.

Okresem wielkiej próby dla Jasiczka okazał się rok 1968. Polacy poparli program demokratycznej przebudowy Czechosłowacji, co wywołało odpowiednią reakcję władz PRL. Ówczesny konsul polski w Ostrawie, Koreszyński, śledził wszystkie przejawy polskiej aktywności i sporządzał czarną listę, na której znalazł się zarówno Jasiczek jak i niemal wszyscy ludzie pióra na Zaolziu. Większość z nich posiadała przepustki graniczne do Polski, jednak władze PRL nie wpuszczały ich do kraju zwracając z mostu granicznego na Olzie. Wielu zatrzymywano i dopiero po paru dniach zwalniano. Polska pierwszy raz w swej historii występuje jako żandarm strzegący starego porządku i systemu rządzenia. Ludność Polska na Zaolziu przeżywa straszne dni, bowiem ostrze nienawiści społeczeństwa czeskiego kieruje się przeciw niej. Polacy nie mieli się do kogo zwrócić o pomoc. Ojczyzna stała się obczyzną — gorzko wymawiali. Zbyt często jesteśmy bici w ostatnich dziesiątkach lat. Nie mamy już ci!

Zwolniony został wtedy cały skład redakcyjny *Głosu ludu* oraz *Zwrotu*. Setki Polaków znalazło się bez pracy. Odszedł również ze stanowiska Kierownika Sekcji Literackiej PZKO (Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w CSRS) Henryk Jasiczek, który funkcje te piastował od 1948 roku, tzn. od chwili założenia Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO. Pozbawiony został tym samym wszelkiej działalności społeczno-politycznej, literackiej. Nie zezwolono mu również na dalszy druk jego prac. Po wielu staraniach znalazł pracę jako korektor w drukarni.

Prześladowania przyczyniły się do śmierci Jasiczka. Jego pogrzeb stał się spontaniczną manifestacją, w której wzięło udział 15 tys. Polaków od Bogumina po Jabłonków.

Zmarł duchowy następca Pawła Kubisza. Do wyniszczenia polskości na Zaolziu przyczynili się — przypomnijmy to — Edward Gierek, ówczesny wielkoryząca Śląska i śląski Iwaszkiewicz — Wilhelm Szewczyk.

Książki

Literatura emigracyjna w charakterze żyrafy

Nie często dociera do zachodniego czytelnika informacja o literackiej produkcji żyjących obok niego grup emigracyjnych. Książki poszczególnych pisarzy trafiają w przekładach na półki księgarskie, fenomen emigracyjnej literatury, tło pisarstwa najlepszych, pozostaje niezauważony.

Problem jest zapewne interesujący dla niewielkiego kręgu specjalistów, ale nie jest nieważny. W historii literatury polskiej, literatura emigracyjna stanowi jeden z kluczowych rozdziałów i kto próbuje tę literaturę zrozumieć potrzebuje tu przewodnika. Niewiele prób podjęto w kierunku opracowania takich przewodników i dlatego warto odnotować pojawienie się w Szwecji niewielkiej objętościowo pracy Marii Winiarskiej pt. *Cztery polscy pisarze emigracyjni i bibliografia ich dzieł* (*Några polska exilforfattare och deras verk i bibliografisk belysning*, Borås, 1976, str. 42). Jest to bibliografia prac Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Marka Hłaski, Józefa Mackiewicza i Czesława Miłosza.

Autorka zwraca czytelnikowi uwagę na fakt, iż pisarz emigracyjny, jeśli pozostaje na gruncie ojczystego języka, nie staje się jednym z pisarzy swego nowego kraju i nie jest również zwykłą, luźną, częstką ojczystej kultury. Dla wyobraźni człowieka Zachodu, przyzwyczajonego do wolności słowa i otwartych granic, zrozumienie tego faktu stwarza poważną komplikację. Często próbuje on zastosować analogie do własnych pisarzy, którzy wybrali sobie inny kraj zamieszkania, ale staje się to tylko powodem dodatkowych nieporozumień. Literatura emigracyjna jest jak żyrafa dla pewnej pani — zwierzęciem, które można zobaczyć, ale w które trudno uwierzyć. O istnieniu tego zwierza trzeba i warto przypominać.

Szkoda, że p. Winiarska tak mało pisze o drogach tej literatury do polskiego czytelnika, o jej związkach z literaturą krajową, o wpływie na środowiska twórcze, o nieustannym otwartym i ukrytym dialogu, a wreszcie o próbach i technikach upaństwowiania literatury emigracyjnej przez władze totalitarne. Można by się również spierać na temat wyboru tych a nie innych pisarzy. Dobrze by jednak było aby ta praca, być może w rozwiniętej formie, dotarła do instytucji sławistyki i innych instytucji, w których mogą się znaleźć ludzie zainteresowani tą problematyką. Dobrze by było aby podobne próby podejmowane były również w innych krajach gdzie zapewne rozumienie fenomenu literatury emigracyjnej natrafia na podobne trudności.

Wierność i nostalgia

Myślę, że Osip Mandelstam miał rację, każdy młody poeta powinien zrobić własną antologię ojczyźnej poezji. Wyznaczyć granice dziedzictwa, które przyjął i które odrzucił.

Mam przed sobą inną antologię poezji — wybór poezji szwedzkiej*, dokonany przez osiadłego w Szwecji emigranta i przeznaczony dla polskiego czytelnika. Zastanawiam się jak przyjąłby ten właśnie wybór współczesny czytelnik szwedzki? Czytelnik polskich przekładów odnajdzie tu rytmy poetów „Skamandra” i wrażliwość na tę samą problematykę społeczną. Tu, w nowej ojczyźnie, w kulturze narodu, który użyczył mu gościny, Autor przez lata tropił ślady swojego dziedzictwa. Przez chwilę mamy wrażenie, że Słonimski, Tuwim, Broniewski spędzali czas w jednej kawiarni ze swymi szwedzkimi kolegami. Liryka społecznej lewicy szwedzkiej przedstawiona została polskiemu czytelnikowi za pomocą tych środków wyrazu, które stworzyła liryka polskiej lewicy społecznej.

Łukasz Winiarski — socjalista, wydaje się rozważać abstrakcyjną kwestię — czy byłby sobą gdyby wychował się w kręgu kultury narodu wśród którego zamieszkał jako człowiek dojrzały i ukształtowany w kręgu kultury innej. Autor odpowiada na to pytanie pozytywnie, odnajdując tu wszystkie elementy swojego dziedzictwa i przekładając je na język głosów, które niegdyś kształtowały jego osobowość. Młodszy o całą generację, wzbogacony doświadczeniami życia w społeczeństwie zniewolonym przez socjalistyczny totalitaryzm, zadaje sobie pytanie podobne i dochodzi do wniosku, że z tego punktu widzenia Łukasz Winiarski miał więcej szczęścia — wolno mu było nie dostrzec kolejnego etapu rozwoju liryki szwedzkiej — zachwyty dla „postępowych dyktatur”, zagubienia wartości, które tradycji socjalistycznej dały początek.

Łukasz Winiarski oddał lirykę szwedzką na pastwę swojej nostalgii. Zaczyna od „Pieśni o wolności” zapomnianego tu już niemal biskupa Tomasza:

*Wolność najlepszą jest rzeczą
w całym świecie człowieczym,
gdy umiesz się z nią obchodzić
Chcesz w życiu błyszczeć cnotą,
wolność umiłuj nad złoto,
bo cześć za wolnością przychodzi.*

i urywa słysząc fałszywy ton sfrustrowanej liryki poetów mojego pokolenia. Kierowany wiernością i nostalgią wydobyl obraz jednostronny ale nam bliższy niż antologie młodych szwedzkich poetów. Słucham tych spolszczonych głosów, wracam do oryginału i nie słyszę zgrzytu. Odnajduję również słowa, które przeoczyłem, rozpoczynając oglądanie poezji szwedzkiej od współczesnych i szukając w starszych utworach raczej ich rodowodu niż własnego.

Poezja szwedzka, w jakiś sposób, podobnie jak polska, jest poezją prowinjonalną. Nie ma tu poetów wielkich, których wpływ rzutowałby na

* Łukasz Winiarski, *Liryka szwedzka*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1975, str. 130, wydanie II poszerzone.

literacką kulturę innych narodów. Jest jednak sporo dobrego rzemiosła, jest sporo poezji dobrej, której zalety i niedostrzegana oryginalność ujawnia się dopiero w zestawieniu z całokształtem kultury społecznej tego małego narodu. Między poezją i narodem nie było tu przepaści tak wielkiej jak u nas — wizja społeczna poetów znalazła poparcie większości. Instytucje społecznej sprawiedliwości zmniejszyły liczbę dramatów tradycyjnych, zabrakło głodnych, bezdomnych, wycieńczonych nadmierną pracą. Liryka sytych, wypoczętych, wstrząśniętych cudzym dramatem, którego nie pomagają zrozumieć własne doświadczenia, poruszonych abstrakcyjną formułą własności znalazła ujście, w tęsknocie do gwałtu i chęci burzenia.

Strofy, które Winiarski wybrał z obcego dziedzictwa uczą wrażliwości innej, jeśli wierzyć chwili obecnej, tej wrażliwości która budzi się z letargu w kraju do którego tęsknił. Wrażliwość ta zasadza się na wartościach, których treść i formę próbowano wypowiedzieć we wszystkich kulturach, a które wypowiedziane dostawały się zazwyczaj pod magiczną władzę lokalnych szamanów, a ci strzegli by nie stały się one autentyczną własnością wspólnoty.

Odtwarzanie tych wartości, przekazywanie ich z kultury w kulturę jest zasługą najwyższą.

Andrzej KORASZEWSKI

Nieudane wydawnictwo

Książka *Modern Slavic Literatures*, która ukazała się w wydawnictwie Frederick Ungar w Nowym Yorku, przynosi m.in. również wypowiedzi krytyków literackich oraz historyków literatury o 42 czeskich oraz 15 słowackich autorach XX wieku. Zaskakuje jednak, że wydawcy nie dzielą autorów na czeskich i słowackich, ale mówią o autorach „czechosłowackich” (zresztą tak samo mówią o autorach „jugosłowiańskich”); w związku z tym dziwi, że istnieje dział autorów ukraińskich.

Trudno oczywiście krytykować wybór autorów, którzy znaleźli się w książce, bo na pewno trzeba było przeprowadzić ostrą selekcję. Wydaje się jednak, że spośród czeskich autorów nie powinno było się rezygnować z np. A. Jiraska, P. Kohouta, F. Langera, J. Mahena, V. Neffa, F. Szramka, R. Weinera — i to nawet za cenę wykreślenia niektórych innych pisarzy.

Igor Hajek (Uniw. Lancaster) wybrał wypowiedzi o poszczególnych czeskich oraz słowackich autorach z różnych Czechosłowackich podręczników, czasopism oraz monografii ostatnich dziesięcioleci, jak również z niektórych prac zachodnich (zwłaszcza encyklopedii). Niestety, czytelnik nie jest zorientowany, kim są autorzy poszczególnych wypowiedzi. Obok marksistowskich krytyków, zwolenników Husaka (jak np. M. Hajkova) cytują się marksistowskich strukturalistów (Mukarovsky) oraz katolickich krytyków (B. Fuczki), obok niemarksistowskich strukturalistów (Wellek), stalinistów (Sztoll), egzystencjalistów (V. Czerny) oraz przedstawicieli Czechosłowackich slawistów na emigracji (np. A. Meszian). A więc wybór wcale bogaty, ale nie zrównoważony. Kompilacja świadczy o znacznym odczytaniu wydawców. Niestety jednak laikom książka nie bardzo może się przydać, natomiast dla fachowców jest niewystarczająca. Zresztą — w tymże wydawnictwie ukazała

się w roku 1973 *World Literature Since 1945*, gdzie o czeskiej i słowackiej literaturze pisał A. Meszian (o polskiej G. Gömöri), a więc dla pierwszej informacji istnieje zwięzły podręcznik o powojennej literaturze.

Karel KLATOVSKY

Nadesłane nowości wydawnicze

MIŁOSZ (Czesław). *Utwory poetyckie*. Wstęp w języku angielskim Alexander M. Schenker. Str. 401 i 3 nlb. (Wyd. Michigan Slavic Publications, Ann Arbor, Mich., 1976).

SOLSKI (Wacław). *Władza*. Powieść historyczna. Str. 220. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).

HAMERLIŃSKI - DZIEROŻYŃSKI (Andrzej). *O kartach, karciazach, grach pocztowych i grach szulerskich*. Szkice obyczajowe z wieków XV-XIX. Str. 421 i 3 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976; cena zł 70).

HELLER (Michał). *Początek świata*. Str. 195 i 1 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków, 1976; cena zł 46).

MŁODOŻENIEC (Juwentyn Maria L., Franciszkanin). *Znałem Bł. Maksymiliana* — Człowieka, który życie oddał za drugiego. Str. 132 i 2 nlb. (Nakładem Wydawnictwa Apostolatu Maryjnego — Różę Marii, Mariński Ośrodek Apostolstwa, Stockbridge, Mass., 1974).

GODYN (Zygmunt, rtm.). *Straty spośród kawalerzystów i pancernych z ręk sowieckich w drugiej wojnie światowej*. Str. 123 i 1 nlb. (vartyper). (Wydawnictwo „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej”, Nr 6, Londyn, 1976).

Komitet Obrony Robotników. *Zeszyt I*. Warszawa 1976. Str. 30. (Przedruk z *Tygodnia Polskiego*, Londyn, 30 października, 6,20 i 27 listopada 1976 r.).

TABORSKI (Bolesław). *Sieć słów*. Str. 60 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976, cena 10 zł.).

TABORSKI (Bolesław). *Duet*. Str. 7. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

MOROZ (Valentin). *Chronique de la résistance*. Préface de Pierre Daix. Documents II. Tłumaczenie z ukraińskiego O. S. Prosyry, Ivan Hnatiuk i Nadiia Tkatchouk. Str. 225 i 3 nlb. (Wyd. Editions PIUF, Paryż, 1977).

WYRWA (Tadeusz). *Les principes du droit des gens établis par les Polonais à l'aube des temps modernes*. Str. 1155-1178. (Nadbitka z „Mélanges offerts à Georges Burdeau”, L.G.D.J., 1977).

RÓŻEWICZ (Tadeusz). *The Survivor and other poems*. Tłumaczenie i przedmowa Magnus J. Krynski i Robert A. Maguire. Str. 160 i 2 nlb. (Wyd. Princeton University Press, Princeton, N.J., 1976; cena: dol. 16).

JURGELA (Constantine R., dr). *Lithuania: The Outpost of Freedom*. Str. 387 i 5 nlb. (Wyd. The National Guard of Lithuanians in Exile in cooperation with Valkyrie Press, Inc., St. Petersburg, Fla., 1976; cena dol. 15).

HELM-PIRGO (Marian). *Royal Dragons — Immortal Love*. A historical Novel of the seventeenth century. Illustration and map by the Author. Str. 314 i 2 nlb. (Wyd. Bicentennial Publishing Corporation, New York, N.Y., 1976; cena dol. 9,95).

HARMAN (Chris). *Bureaucracy and Revolution in Eastern Europe*. Str. 296. (Wyd. Pluto Press, London, 1974; cena £ 1.80 — paperback, £ 4.30 — hardback).

The Intelligentsia and the Intellectuals. Theory, Method and Case Study. Pod redakcją Aleksandra Gelli. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Sage Publications Ltd., London, 1976; cena £ 8.00 — cloth, £ 4.00 — paper).

MALE (X.). *Eve in Wonderland*. A Crime Story for Adult Readers. Str. 101 i 3 nlb. (Poets and Painters Press, London, 1976).

ZEEV EDARY (W. Bonk). *Nurses and Soldiers*. Tłumaczenie z polskiego Mendel Kohansky, tytuł oryginału *Siostry i żołnierze*. Str. 245 i 3 nlb. (Wyd. EKED, Tel-Aviv, 1976).

CIENCIAŁA (Anna M.). *German Propaganda for the Revision of the Polish-German Frontier in Dantzig and the Corridor: Its Effects on British Opinion and the British Policy-Making Elite in the Years 1919-1933*. Str. 77-129. (Nadbitka z *Antemurale*, XX, 1976).

ROMANOWICZ B. A.). *On the Tesseral-Harmonics Resonance in Artificial-Satellite Theory, Part II*. Str. 23 i Appendix A, Appendix B. (Wyd. Smithsonian Institution, Astrophysical Observatory, Cambridge, Mass., 1976).

Antemurale XX. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum, Romae, 1976; cena dol. 14).

ZAHACZEWSKYJ (Ewstachij). *Jiji rehit na Ijakaw...* Opowiadania z czasów drugiej wojny światowej. Wyd. II. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1976).

FOSTUN (Swiatomyr M.). *Szliachamy smerti*. Powieść z czasów drugiej wojny światowej. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1976).

EPICTET. *Encheiridion i Fragmenti*. Tłumaczenie na ukraiński Omelian Omecinskyj. Str. 103 i 1 nlb.

(Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1976).

SOLCZANUK (Roman). *Drahomanow na paryzkomu literaturnomu kongresi 1878*. Str. 74-102. (Nadbitka z *Suczasnist'*, cz. 5 (185) i cz. 7-8 (187-188), Monachium, 1976).

DRAHOMANOW (Mychajło). *Literatura ukrajinska proskrybowana radiom rosyjskym*. Str. 74-102. (Odbitka z *Suczasnist'* cz. 5 (185) i cz. 7-8 (187-188), Monachium 1976).

Lex Jusephovicia 1876. Z przywodu 100-littia zaborony ukrajinstwa. Montaż Romana Solczanyka. Str. 36-68. (Nadbitka z *Suczasnist'* cz. 5 (185), Monachium, 1976).

GEORGE (Stefan). *Wybór pism w języku ukraińskim i w przekładach na inne języki słowiańskie*. Opracowali G. Kosteckij i Oleh Zujewskij. T. I — str. 591 i 1 nlb. T. II — str. 529 i 15 nlb. (Wyd. „Na Hori”, Stuttgart, t. I — 1968-1971, t. II — 1973).

ZIEMCOW (Ilja). *Partia ili mafia?* Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Les Editions Réunis, Paryż, 1976).

BULGAKOW (Siergiej). *Tichije dmy*. Z artykułów 1911-15 r. Str. 202 i 4 nlb. (Wyd. Ymca-Press, Paryż, 1976).

CZUKOWSKAJA (Lidia). *Zapiski ob Annie Achmatowej*. Tom I 1938-1941. Str. 249 i 7 nlb. (Wyd. Ymca-Press (Paryż, 1976).

CZUKOWSKIJ (K.). *Kniga ob Aliksandrie Błokie*. Str. 168 i 4 nlb. (Wyd. Ymca-Press, Paryż, 1976).

TIUTCZEW (F.). *Politiczeskija statii*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Ymca-Press, Paryż, 1976).

AWIDAN (Dawid). *Kriptogrammy s borta razwiedspuwnika*. Sbornik stichotworienij. Str. 104. (Wyd. E. Lievin-Epsztejn-Modan, wraz z wydawnictwem Tridcatyj Wiek, Tel-Aviv, 1976).

Iskustwo pod buldozerom. (Siniaja kniga). Zebrał Alexander Gleser. Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Londyn).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

18-12-76

W związku z 70-tą rocznicą urodzin Leonida Breżniewa Edward Gierk wręczył mu na Kremlu wielki krzyż Orderu Odrodzenia Polski. Poprzednio Breżniew został już udekorowany przez tegoż E. Gierka orderem Virtuti Militari.

20-12-76

Oślawiony Władysław Kruczek ponownie został wybrany przewodniczącym Centralnej Rady Związków Zawodowych. Jednocześnie VIII Kongres Związków Zawodowych wprowadził do statutu Zrzeszenia Związków Zawodowych zmiany podkreślające m.in.: odpowiedzialność za umocnienie ludowego państwa pod kierunkiem PZPR, wierność zasadzie internacjonalizmu oraz niewzruszonej przyjaźni z ZSSR. ■ W Warszawie odbyło się Międzynarodowe Kolokwium Naukowe na temat „Parlamentarne i pozaadministracyjne formy ochrony praw obywatelskich”. Głównym referentem był Prokurator Generalny PRL L. Czubiński. Trudno rzeczywiście o lepszego referenta!

22-12-76

„W uznaniu wybitnych osiągnięć w działalności literackiej i społecznej” Rada Państwa nadała Zbigniewowi Żaluskemu order Sztandaru Pracy I-szej klasy.

2-1-77

Skup trzody chlewnej w PRL w listopadzie 1976 r. był o 28 % niższy w porównaniu z listopadem 1975 r. Podobna tendencja rysuje się w grudniu 1976 i styczniu bież. roku.

6-1-77

Moskiewskie wydawnictwo *Chudożestwiennaja Litieratura* wydało w nakładzie 50 tys. egzemplarzy I tom „Dzieł zebranych” Jarosława Iwaszkiewicza. ■ W ub. roku Polski Instytut Spraw Międzynarodowych nie przyznał pierwszej nagrody na najlepsze prace naukowe z zakresu współczesnych stosunków międzynarodowych. Dwie drugie nagrody otrzymali: Zygmunt Rybicki za pracę „Administracja gospodarcza europejskich krajów RWPG” i Edward Wójcik za „Konflikt bliskowschodni. Aspekty militarne”. ■ Wydawnictwo Poznańskie w serii „Dzieła pisarzy skandynawskich” wydało dotąd już 134 pozycje.

7-1-77

Osoby zamieszkałe w PRL, korzystające z belgijskich świadczeń społecznych jak emerytury, itp., otrzymują za każde FB 100,00 około zł 83 razem ze specjalnym dodatkiem, gdyż oficjalny kurs franka belgijskiego wynosi zł 49,90.

8-1-77

W PRL przetworzono w ub. roku 8.770 milionów litrów mleka. Produkcja globalna nie jest jednak wyższa niż przed rokiem, gdyż pogłowie krów spadło o 40 tys. sztuk. Producenci mogli sprzedawać więcej mleka, gdyż zmniejszyło się jego zużycie na paszę dla trzody i dla cieląt. Zwiększyło się natomiast spożycie nabiału na wsi. Ludność wiejska, jak i sami producenci mleka, zaopatrują się obecnie w sery, masło a nawet twaróg w sklepach.

10-1-77

Na Węgrzech nastąpiła duża podwyżka cen niektórych artykułów konsumpcyjnych. Konserwy i przetwory owocowe podrożały o 23 %, konserwy i przetwory warzywne o 17 %, ceny mrożonek o 25 %, kawa — 30 %. ■ Na miejsce zmarłego marszałka Jakubowskiego szefem wojsk Paktu Warszawskiego został mianowany gen. Wiktor Kulikow. Kulikow liczy 55 lat i uchodzi za jednego z czołowych strategów ZSSR.

15-1-77

W myśl zapowiedzi władz w roku 1977 ma ukazać się 150 milionów egzemplarzy książek (o 3,5 miliona więcej niż w ub. roku). Liczba tytułów wyniesie 7.000. ■ Związek Sowiecki zajmuje trzecie miejsce na ogólnoswiatowej liście importerów odzieży. Dostawy z PRL stanowią około 10 % całości tych zakupów. Wyroby polskiego przemysłu odzieżowego wynoszą w tej sprzedaży 56 % polskiej produkcji.

16-1-77

W bież. roku ukaze się tylko 17 wojewódzkich spisów telefonów, zamiast zaplanowanych 33 książek telefonicznych.

17-1-77

W Warszawie zmarła, w wieku 58 lat, Janina Kolendo, członek założyciel Stowarzyszenia PAX, b. naczelny redaktor miesięcznika *Życie i Myśl*, redaktor naczelny tygodnika *Kierunki* i wieloletni redaktor Instytutu Wydawniczego Pax. ■ W Warszawie zainaugurowano „Dni Moskwy”. Pretekstem do tych uroczystości była „32 rocznica wyzwolenia Warszawy”.

22-1-77

W Polsce jest ponad 105 tys. hektarów ziemi niezagospodarowanej, ponad 285 tys. ha ziemi źle zagospodarowanej oraz około 1.100 tys. ha o niskim stopniu zagospodarowania.

30-1-77

Zmarł w Warszawie adwokat Olgierd Missuna.

1-3-77

W PRL wprowadzono imienny bon oszczędnościowy z losowaniem premii w postaci samochodów osobowych. Ma to zachęcić ludność do oszczędzania. Wartość bonu samochodowego wynosi 15.000 zł.

ZACHÓD — EMIGRACJA

12-9-76

Związek Polaków w Austrii obchodził w Wiedniu 30-lecie istnienia i działalności. Adres ZPA następujący: 1030 WIEN III, Salesianergasse 2/3 (róg Heumarkt) — tel. 24 32 05, 73 31 94. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się o śmierci w dn. 21. 1. 1976 r. Stanisława Fischlowitza, który zmarł w Brazylii. Przed wojną był on radcą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a w Brazylii był profesorem nauk społecznych na Uniwersytecie Katolickim w Rio de Janeiro.

1-12-76

W Libanie zmarł, w wieku 94 lat, ks. prof. Kamil Kantak, dziekan dla Polaków w Libanie, b. rektor Seminarium Polskiego w Bejrucie i b. kapelan Wojska Polskiego w ZSSR i na Środkowym Wschodzie.

15-12-76

W Londynie odbyło się zebranie Rady Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego. Na zebraniu ambasador E. Raczyński oświadczył, że składa godność prezesa zarządu z powodu wieku i stanu zdrowia. Prezesem zarządu wybrano p. S. Leśniowskiego. W skład zarządu weszli: komandor B. Wronski, rtm. R. Dembiński, p. A. Mieczysławski, p. Z. Janik, płk Z. Nadratowski i p. Z. Gołębiowski. ■ Rada Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego wybrała nowy Komitet Wykonawczy w składzie: prezes — Tadeusz Walczak, wiceprezesi — Ryszard Gabrielczyk, Józef Garliński i Bolesław Gozdek, członkowie zarządu: Zygmunt Szkopiak, Artur Rymkiewicz, Władysław Maciejczyk, Anna Moszczyńska, Urszula Święcicka, Teodor Urbanowicz, Czesław Woyno i J. Radomyski.

16-12-76

Zmarł w Londynie Mateusz Bronisław Grabowski, założyciel popularnej Apteki Grabowskiego, Grabowski Export-Import oraz Galerii Grabowskiego, która odegrała znaczną rolę w polskim życiu kulturalnym.

25-12-76

W Londynie została podpisana między Wielką Brytanią a PRL pięcioletnia umowa o współpracy gospodarczej. M.in. postanowiono utworzyć wspólne, polsko-brytyjskie, przedsiębiorstwo budowy i eksploatacji 22 statków-masowców.

26-12-76

Zmarł w Buenos Aires inż. elektryk Zygmunt Kiciński, b. oficer Polskiej Marynarki Wojennej i jeden z czołowych inżynierów elektryków w Ameryce Południowej.

31-12-76

Maciej Babiński otrzymał pierwszą nagrodę państwową na wystawie sztuki współczesnej w Brazylii. W wystawie brało udział 850 artystów, którzy wystawili łącznie 2.500 obrazów.

1-1-77

9.626 osób pochodzenia niemieckiego wyemigrowało z ZSSR do NRF w ciągu ub. roku. Od 1970 roku ogółem 30.796 osób wyemigrowało do Niemiec Zachodnich. ■ Pismo PPS *Przemiany*, wydawane w NRF, przekształciło się na regularny miesięcznik. ■ Szwedzka firma budowlana Hallströms Byggnads AB zaskarżyła polskie przedsiębiorstwo państwowe Budimex do międzynarodowego sądu rozjemczego w Zurychu. Przedmiotem sporu jest niedotrzymanie kontraktu dostawy materiałów budowlanych. Firma szwedzka domaga się odszkodowania w wysokości 88 milionów koron szwedzkich. ■ 60 intelektualistów jugosłowiańskich wystosowało petycję do Sądu Konstytucyjnego, domagając się anulowania przepisu upoważniającego policję do odmawiania paszportów bez podania motywu.

2-1-77

W Paryżu zmarł Władysław Houwalt, radca Ministerstwa Skarbu RP i długoletni radca finansowy Ambasady RP we Francji.

9-1-77

W sali kina „Ritz” w Lille (Francja) odbyła się gala zorganizowana przez Wspólnotę Polsko-Francuską pod przewodnictwem Ministra Poczty i Telegrafu p. Norberta Ségarda. Po przemówieniach dr. Stefana Legierskiego, członka Rady Naczelnej Wspólnoty i kandydata na radnego miasta Lille

w zbliżających się wyborach komunalnych, i min. Norberta Ségarda wyświetlono film Janusza Piekałkiewicza „Mourir pour Varsovie”. Po wyświetleniu filmu odbyła się dyskusja, którą kierował Georges Donnez, deputowany departamentu Nord. Odpowiedzi i wyjaśnienia udzielali: prof. Olivier Pirrotte, z uniwersytetu w Lille, prof. Jerzy Mond z uniwersytetu Paris II i Jerzy Jankowski, prezes Wspólnoty. W zebraniu wzięło udział około 600 osób.

13-1-77

W Iraku, w rejonie zamieszkałym przez ludność kurdyjską, porwano grupę czterech polskich specjalistów: Jerzego Gołosia, Franciszka Pałysa, Mariana Rogoza i Antoniego Sobiesza, zatrudnionych przy pracach melioracyjnych. Kurdowie domagają się w zamian za ich wypuszczenie zwolnienia przez władze irackie Kurdów, znajdujących się w więzieniu. ■ Carlo Francanzani, deputowany włoskiej partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i sekretarz Komisji Spraw Zagranicznych, wysłał list do sekretarza generalnego partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, sekretarza Partii Komunistycznej, Berlinguera, i sekretarza Partii Socjalistycznej, Craxiego oraz do Konfederacji Związków Zawodowych, aby wspólna delegacja parlamentarna udała się do Pragi i Warszawy dla zademonstrowania solidarności włoskich demokratów wobec inicjatorów *Charte 77* oraz członków Komitetu Obrony Robotników w Warszawie. Pisma rzymskie podkreślają, że Francanzani brał udział w delegacji, która była w grudniu ub. roku w Hiszpanii dla zaprotestowania przeciw aresztowaniu sekretarza Partii Komunistycznej Carrillo.

14-1-77

15 deputowanych włoskiej partii Democrazia Cristiana złożyło interpelację do premiera i ministra spraw zagranicznych „by dowiedzieć się jakie inicjatywy rząd zamierza podjąć wobec ponownej, ostrej akcji represyjnej prowadzonej przez reżymy komunistyczne w Czechosłowacji, Polsce i ZSSR przeciwko intelektualistom robotnikom i młodzieży”.

15-1-77

Pierwszy sekretarz ambasady polskiej w Danii, Wiktor Kirczenko, został wydany z Danii za prowadzenie akcji szpiegowskiej.

16-1-77

Wszystkie polskie i polsko-żydowskie organizacje w Szwecji złożyły u Wicepremera i Ministra Pracy protest przeciwko reprezentowaniu polskiego uchodźstwa w Radzie Imigracyjnej przy Ministerstwie Pracy przez p. Zofię Kraszewską, przewodniczącą reżymowego klubu „Ogniwo”, zorganizowanego przez Konsulat PRL. Organizacje wysunęły jako swego reprezentanta osobę Jakuba Święcickiego.

20-1-77

Tegoroczna nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie została przyznana zespołowi teatralnemu Slough oraz rewielsom Midlandów.

21-1-77

W Londynie odbyło się zebranie Klubu Kultury z referatem B. Brodzińskiego „O potrzebie parlamentu na emigracji”. Referat wywołał trzygodzinną dyskusję. Pod koniec zebrania członkowie klubu uchwalili zmianę nazwy na „Klub Dyskusyjny Londyn” i wybrano komitet w składzie: B. Brodziński, T. Jarzębowski, A. Makatrewicz i J. Nowiak celem przygotowania programu działalności i ustalenia struktury organizacyjnej.

23-1-77

W Danii został utworzony Fundusz Pomocy Robotnikom w Polsce. Do zarządu Funduszu weszli: Jan Andrzejewski, Eugeniusz Gąsiorowski, Jerzy Waśniewski i Olgierd T. Zalewski. Wpłaty należy kierować: Fond til Hjælp for Forfulgte Arbejdere i Polen, Postbox 41, DK — 2880 Bagsvaerd, Dania — Postgiro Konto 80 33 218.

24-1-77

Stali przedstawiciele „9” w Brukseli powierzyli Anglii odpowiedzialność za wydawanie pozwoleń połowu wewnątrz nowoustanowionych wód terytorialnych Wspólnego Rynku Związkowi Sowieckiemu, Polsce i Niemcom Wschodnim. Porozumienie przewiduje udzielenie 38-miu statkom rybackim tych krajów zezwoleń na połowy wewnątrz 12 mil w okresie lutego i marca br. Kwota ustalona na pierwsze 3 miesiące br. przewiduje 38 tys. ton dla ZSSR i 6 tys. ton dla pozostałych krajów.

26-1-77

Józef Czapki wystawiał swoje obrazy i rysunki w Szwajcarii — od 9. 11. 76 do 11. 12. 76 w Lozannie w Galerii „Melisa” i od 14. 12. 76 do 26. 1. 77 w Chexbres w Galerii „Plexus”.

31-1-77

Przedstawiciele dziewięciu krajów neutralnych i niezaangażowanych obradowali w Belgradzie w sprawie konferencji, będącej przedłużeniem konferencji w Helsinkach, a która ma się odbyć w Belgradzie. Ustalono, że zebranie przygotowawcze na szczelbu ambasadorów rozpocznie się 15. 6. br. i będzie trwało około 6 tygodni. Sama konferencja odbędzie się w końcu września bież. roku, będzie trwała 3 miesiące i będzie składała się z trzech faz: pierwsza poświęcona obradom ministerstw spraw zagranicznych; druga — obejmie prace pięciu komisji; trzecia — będzie ponownym spotkaniem ministrów spraw zagranicznych (prawdopodobnie koło Nowego Roku) dla podpisania ostatecznych uchwał.

4-2-77

Staraniem Östeuropeiska Solidaritetkommittén odbyło się w Sztokholmie spotkanie dyskusyjne z A. A. Amalrikiem.

14-2-77

Kwartalnik *Kontynent* zorganizował w Paryżu wieczór W. Bukowskiego pt. „Więzienne i łagierne spotkania”.

25-2-77

Prof. Jerzy Starnawski z KUL'u wygłosił w „Centre du Dialogue” w Paryżu odczyt na temat: „Co piśmiennictwo dawnej Polski wniosło do literatury światowej”.

26-2-77

W Sztokholmie Östeuropeiska Solidaritetkommittén wraz z innymi stowarzyszeniami zorganizowała wiec przeciwko prześladowaniom w Polsce i w innych krajach Europy Wschodniej.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

1. 1. 77 z powodu trudności materialnych został zlikwidowany tygodnik *Polonia*, który ukazywał się w Chicago od 5 i pół lat pod redakcją Józefa

Białasiewicz. ■ Ks. W. Sojka na łamach *Gwiazdy Polarnej* i *Nowego Dziennika* poruszył sprawę katastrofalnego zaniku polskich parafii w USA. Ks. Sojka podaje, że w VI tomie wydawnictwa „Sacrum Polonia Millenium” ks. Peszkowski podał liczbę 769 parafii w roku 1959 — a w roku 1973 prof. Teresita Polsin w książce pt. „The Polish Americans” podaje już liczbę 310. ■ Maraton literaturoznawstwa — w Nowym Jorku odbył się doroczny zjazd amerykańskiego towarzystwa Modern Language Association (MLA). W ciągu 4 dni zjazdu wygłoszono 666 referatów. Każdy referat był przez organizatorów obliczony na 15 minut. Z Polaków wzięli udział: prof. Zbigniew Folejewski, Edward Czerwiński, Victor Contoski, Włodzimierz Krysiński. Jednocześnie miała miejsce w Nowym Jorku konwencja AATSEEL (American Association of Teachers of Slavic and East European Languages), w którego ramach miało miejsce sympozjum Sienkiewiczowskie — przewodniczył prof. Franciszek Mocha, a wzięli udział: prof. Giergielewicz, prof. Jerzy Krzyżanowski, Leon T. Błaszyk, i rev. dr Walter Żebrowski. ■ Polish American Congress Inc. Northern California Division zebrał na KOR do końca ub. roku ok. Dol 600. Jest to dużo biorąc pod uwagę, że Polaków w San Francisco i okolicy jest nie więcej jak 1500 osób. ■ 6 listopada ub. rok. odbył się w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku wieczór poświęcony pamięci Józefa Wittlina. Przewodniczyła Zoya Juryeff, a przemawiali Tymon Terlecki i Wiktor Weintraub. Recytowały Karin Falencka i Tola Korian. ■ W wyniku porozumienia telewizji warszawskiej z Fundacją Kościuszkowską w Nowym Jorku ma się ukazać 17 filmów dokumentalnych obrazujących historię i dzień dzisiejszy Polonii Amerykańskiej. ■ 14. 1. 77 zmarł w Nowym Jorku, w wieku 89 lat, Ludwik Honigwill, adwokat, wieloletni członek Bundu, członek zarządu Stowarzyszenia Polskich Prawników w Nowym Jorku. ■ University of Michigan w Ann Arbor postanowił nadać tytuł *doctor honoris causa* Czesławowi Miłoszowi. Uroczystość ma się odbyć w początkach maja br. ■ 3. 2. 77 zmarł nagle w Waszyngtonie dr Józef Gidyński — w okresie międzywojennym wybitny adwokat w Poznaniu, a jednocześnie socjolog. Był on uczniem prof. Fl. Znanieckiego i czynnie z nim współpracował. Na początku drugiej wojny światowej znalazł się w USA. Był wieloletnim dyrektorem polskiej sekcji *Głosu Ameryki* a później dyrektorem sekcji wschodnioeuropejskich. Po przejściu na emeryturę powrócił do advokatury i prowadził kancelarię w Waszyngtonie. Był bliskim współpracownikiem *Kultury*, z której redaktorem przyjaźnił się od czasów przedwojennych. ■ Nagrody Fundacji Jurzykowskich na rok 1976 otrzymali: Mark Kac, matematyk, profesor Rockefeller University; Wacław Szybalski, profesor onkologii University of Wisconsin; Stanisław J. Konturek, profesor i dziekan Instytutu Fizjologicznego Akademii Medycznej w Krakowie; Piotr Wandycz, historyk, profesor Yale University; Wiktor Weintraub, historyk literatury, profesor Harvard University; Jan Józef Lipski, eseista i krytyk literacki z Warszawy; Bronisław Przyłuski, poeta — Londyn; Hilary Krzysztofiak, malarz — Monachium; Alfred Leopfe, tłumacz literatury polskiej na niemiecki — Szwajcaria; Szimson Meltzer, tłumacz literatury polskiej na hebrajski — Izrael.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

W Australii powstał Obywatelski Komitet Pomocy dla Robotników w Polsce. Wpłaty należy kierować na adres: Polish National Special Fund, 8 Newton Road, Strathfield, N.S.W. 2135. ■ Dr Jan Szrednicki z wydziału filozofii Melbourne University został mianowany profesorem nadzwyczajnym. Dr Szrednicki jest również redaktorem międzynarodowego wydawnictwa pra-

filozoficznych. ■ Założyciel i dyrektor Australian Film and Television School, prof. Jerzy Toeplitz, został wybrany jednym z trzech wiceprezów organizacji noszącej nazwę International Liaison Centre for Film and Television Schools z siedzibą w Brukseli. ■ Audycje w języku polski nadawane są obecnie w Sydney, Melbourne, Canberra, Adelaide i Perth. Programy przygotowywane są przez Komitety Radiowe wyłonione spośród polskich mieszkańców wymienionych miast. Kierownicy i wykonawcy polskich programów pracują bez wynagrodzenia. ■ Stan konta bankowego Funduszu Wiozącego Polonii Australijskiej im. gen. Juliusza Kleberga wynosi Dol. A. 12.309 — zaś obroty Polskiej Kasy Kredytowej w Hobart (Tasmania) wyniosły w roku finansowym, zakończonym 30. 6. 1976 r., milion dolarów. Polska Kasa Kredytowa w Hobart „Polcos” została założona w 1966 roku i obecnie dysponuje majątkiem w wysokości 700 tysięcy dolarów australijskich. ■ Prezesem Stowarzyszenia Polaków w Queensland „Polonia” został p. Fr. Rutyna, zaś prezesem Prezydium Zjednoczenia Polek w Australii jest inż. Maria Krupska. ■ Studenci pochodzenia polskiego w Melbourne mogą ubiegać się o stypendia, których fundatorami są następujące organizacje: Koło Techników Polskich w Wiktorii — Dol. A. 300, 200 i 100; Spółdzielnia Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki wraz z *Tygodnikiem Polskim* — Dol. A. 250 oraz firma Contal — Dol. A. 250 ■ Polska Fundacja Kulturalna im. dr. S. Gruski w Sydney przekazała do dyspozycji ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego dotację w wysokości Dol. A. 170 z przeznaczeniem na jego działalność kulturalną wśród polskich robotników. Dotacji w wysokości £ 79 udzielono Polskiej Radzie Bibliotecznej w Londynie na zakup półek dla Biblioteki Polskiej w Londynie. ■ Australijski Urząd Statystyczny stwierdził, że w ub. roku przyrost ludności w Australii był najniższy od dwudziestu lat. Liczba mieszkańców Australii wzrosła zaledwie o 140.500 czyli tylko o 1,04%. Minister imigracji McKeller wyraził obawę, że bez dalszego stałego napływu imigrantów przyrost ludności spadnie do punktu zerowego. ■ Udostępnione niedawno dokumenty, pozostające dotychczas w archiwach państwowych ujawniły, że rząd australijski nie zgodził się na założenie w północno-wschodniej części Australii kolonii dla europejskich Żydów, proponowanej przez przedstawiciela żydowskiej organizacji „The Freeland League for Jewish Territorial Colonisation”, dr. I. Steinberga. Dr Steinberg odwiedził Australię z początkiem 1939 roku. Rząd Federalny w 1941 roku zdecydował, że okres wojny nie jest odpowiednim czasem do rozważenia takiej propozycji. W lutym 1944 roku dr Steinberg ponownie zwrócił się z prośbą do rządu australijskiego w tej sprawie. Nie wpłynęło to jednak na zmianę decyzji władz australijskich. ■ Profesor Jerzy Zubrzycki z Australian National University został mianowany prezesem Rady do Spraw Etnicznych. Rada ta jest ciałem doradczym ministra imigracji i składa się z 24 członków. ■ Polski uczyony, dr Jerzy Krupiński — dyrektor naukowej Mental Health Authority stanu Victoria, powiedział, że badania przeprowadzane przez jego zespół wskazują na to, że krytyczny okres w życiu imigrantów niektórych grup etnicznych występuje po siedmiu latach osiedlenia, kiedy to w procesie asymilacji matki pozostają w tyle za dziećmi. Mężczyźni najczęściej popadają w choroby psychiczne po osiągnięciu stabilizacji materialnej. Zdaniem dr. Krupińskiego imigranci najłatwiej popadający w choroby psychiczne należą do grup etnicznych, których imigracja należy do stosunkowo niedawnych, ponieważ nie mogą się oprzeć na osiadłych tu i zadomowionych rodakach. Badania dr. Krupińskiego wykazują również, że dzieci imigrantów przybyłe w wieku lat 10-11 są najbardziej podatne na schorzenia psychiczne, najczęściej ze względu na stosunki panujące w szkole, gdzie pozostają w tyle za swymi rówieśnikami władającymi językiem angielskim. ■ Spółdzielnia Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki w Melbourne zakupiła film zrealizowany przez brytyjską

„Granada Television” pt. „3 dni w Szczecinie”, dotyczący strajku stoczniowców w styczniu 1971 roku. Film ten będzie wyświetlany w całej Australii. ■ Australijski rząd federalny przyznał jednorazową dotację w wysokości Dol. A. 497.000 na budowę Domu Emeryta Polskiego, który ma stanąć w Sydney. Podczas pobytu w Sydney w listopadzie 1976 roku bp Szczepan Wesoły poświęcił teren, na którym stanie ten ważny obiekt społeczny. ■ W Domu Polskim w Newcastle (New South Wales) odbyła się 15. 1. 77 konferencja pod hasłem „Polonia australijska i światowa”. Konferencję przewodniczył redaktor *Wiadomości Polskich* w Sydney p. Jan Dunin-Karwicki.

Jerzy DOBROSTANSKI

KRONIKA KANADYJSKA

25. 12. 76 zmarł redaktor tygodnika *Czas* Józef Michał Krajewski. ■ Kanadyjski Instytut Studiów Ukraińskich na Uniwersytecie Alberta i międzywydziałowy Komitet Studiów Komunistycznych i Europy Wschodniej na Uniwersytecie McMaster organizują trzydniową konferencję na temat „Polska i Ukraina: przeszłość i współczesność”. Blizsze informacje dotyczące konferencji można uzyskać u przewodniczącego prof. P. J. Poticzynja, Uniwersytet McMaster, Hamilton, Ont., Kanada. ■ Zbiórka na pomoc robotnikom w Polsce, zainicjowana przez Zarząd Główny Kongresu Polonii, przyniosła do połowy stycznia bież. roku Dol. 3.000. Do akcji włączył się Związek Polaków w Kanadzie, który nie należy do KPK i prowadzi zbiórkę we własnym zakresie. ■ Ambasada PRL w Ottawie została wzmocniona osobą Wacława Tomkowskiego, który obejmuje stanowisko pierwszego radcy w randze ministra pełnomocnego. Przybywa on po raz drugi do Ottawy, którą opuścił przed czterema laty. ■ Rząd PRL zakupił za sumę ponad 300 tys. dolarów rezydencję magnata alkoholowego McGuinnessa, położoną na przedmieściu Toronto. Będzie to siedziba Konsulatu Generalnego, który zostanie uruchomiony wiosną bież. roku. Sprowadzono z kraju specjalną grupę robotników, aby dostosować zakupiony obiekt dla celów biurowych. ■ Art Gallery w Windsor dzięki dotacjom dwóch instytucji państwowych: The Canada Council i The Ontario Arts Council zorganizowali wystawę prac Krystyny Sadowskiej. ■ W Edmonton powstał nowy ośrodek badań związanych z krajami centralnej i wschodniej Europy pod nazwą Central and East European Studies Society of Alberta. W skład władz wchodzi przedstawiciele różnych grup etnicznych z prowincji Alberta, a dyrektorem wykonawczym jest Piotr Czartoryski. Zadaniem tej instytucji społecznej jest poparcie badań oraz publikacja prac historycznych o grupach etnicznych w Albercie. Ludność tych grup stanowi 30 % ogółu mieszkańców. Chodzi o oczywiście o grupy ze środkowej i wschodniej Europy. Grupa polska — według danych ze spisu ludności 1971 roku — liczy 44.325 osób. Instytucja ta ma również współdziałać z Division of East European Studies uniwersytetu Alberta w Edmonton. Ukazała się już pierwsza publikacja pt. „Pionierzy z Europy Wschodniej: Wspomnienia” pod redakcją pp. Tova Yedlina i Joanny Matejkowej, która zawiera wspomnienia siedmiu osób, w tym dwóch Polaków. ■ Zwycięstwo wyborcze separatystów w prowincji Quebec spowodowało szereg trudności dla grup etnicznych, w tym i dla polskiej. Jedną z najważniejszych jest problem językowy w szkolnictwie i w życiu codziennym, a przede wszystkim w stosunkach z władzami miejskimi i prowincjonalnymi. Sytuacja jest ciągle niepewna, ale chwilowo władze prowincjonalne nie zajęły się jeszcze grupami mniejszościowymi, poza utrzymaniem ustawy językowej w szkolnictwie — mimo zapowiedzi, że zostanie zrewidowana. ■ W dniu 4. 2. 77 prof. Zbigniew M. Fallenbuhl z uniwer-

sytytu w Windsor wygłosił na Carleton University — w ramach Adam Mickiewicz Memorial Lecture — odczyt o polityce gospodarczej Polski w latach 1970-tych. Był to z kolei 8-my doroczny wykład na tej uczelni, poświęcony zagadnieniom dotyczącym Polski. Wykłady są otwarte dla publiczności i po każdym referacie ma miejsce dyskusja. Do roku 1976 wykłady te, organizowane przez Fundację im. Adama Mickiewicza, były finansowane przez tę Fundację i przez Carleton University. Obecnie ze względów oszczędnościowych Carleton University wycofał się z tej imprezy i cykl wykładów w całości finansowany jest przez Fundację im. Adama Mickiewicza.

■ *Kronika Tygodniowa* — organ polskiego Stowarzyszenia Demokratycznego, będącego organizacją polskich komunistów w Kanadzie, od stycznia bież. roku ma nowego redaktora — Stefana Włodarskiego. Władysław Dutkiewicz, wieloletni redaktor tego pisma a zarazem główny działacz polskich komunistów, figuruje obecnie w stopce jako redaktor honorowy. Stefan Włodarski, autor pracy pt. „The Origin and Growth of the Polish National Catholic Church”, książkę Polskiego Kościoła Narodowego, był wykładowcą w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. W Toronto przebywał od kilku lat; pomagał bp. Józefowi Niemińskiemu, proboszczowi miejscowej parafii PKKN, jednocześnie współpracując anonimowo z *Kroniką Tygodniową*. Latem 1975 między bp. Niemińskim a ks. Włodarskim miał miejsce konflikt, w następstwie którego Włodarski został usunięty z wszelkich funkcji w parafii z zakazem wykonywania obowiązków duszpasterskich. Od tej chwili dr Włodarski występuje w *Kronice Tygodniowej* już pod nazwiskiem. ■ Premier Pierre Trudeau mianował dwóch senatorów należących do grup etnicznych, mianowicie Włocha i Ukrainca z Montrealu. W związku z tym grupa włoska uzyskała swego pierwszego przedstawiciela, a ukraińska drugiego (pierwszym jest prof. P. Juzyk z nominacji b. premiera konserwatywnego Diefenbaker). Grupa polska znowu została pominięta.

Boh

KRONIKA NIEMIECKA

Reżyser Roman Wionczek ukończył pracę nad pełnometrażowym kolorowym filmem dokumentalnym pt. *Dialog między Wisłą a Renem*. Scenariusz jest osnuty na tle wizyty Edwarda Gierka w Republice Federalnej w lecie 1976 roku. Autorem komentarza jest redaktor *Polityki* — Mieczysław F. Rakowski. ■ Autor ukrywający się pod pseudonimem „Tadeusz Jutro”, opublikował na łamach tygodnika *Rheinischer Merkur*, serię artykułów na temat dywersyjnej akcji Służby Bezpieczeństwa, posługującej się Ośrodkiem Dokumentacji i Studiów Społecznych (ODISS), mającej na celu rozbić Grupy Znak, Klubów Inteligencji Katolickiej oraz zaostrzenie cenzury w stosunku do *Tygodnika Powszechnego*. Ostatnio przebywał z poufną misją w Bonn Zygmunt Drodzdek, który bezskutecznie usiłował nawiązać kontakty z niemieckimi kołami kościelnymi i politykami chadeckimi. Kilku rozmówców starał się przekonać, że grupa skupiona wokół piosenkarza Tadeusza Zabłockiego „stanowi prawdziwą reprezentację polskich katolików świeckich”. Seria artykułów w *Rheinischer Merkur* wywołała zaniepokojenie wśród kół partyjnych i ich kolaborantów ze środowisk pseudo-katolickich. W związku z tym uczestnicy konferencji ODISS-u w Warszawie zadenuncjowali znanego publicystę katolickiego — Andrzeja Micewskiego, jako rzekomego autora rewelacji publikowanych w kolonistycznym tygodniku. W specjalnym oświadczeniu wydanym przez redakcję *Rheinischer Merkur*, raz jeszcze podano do wiadomości, że pod pseudonimem „Tadeusz Jutro” ukrywa się autor wprawdzie obczany z sytuacją panującą wśród środowisk katolickich w PRL i jeżdżący

do Polski, ale mieszkający stale za granicą. Donos na Micewskiego jest jeszcze jednym dowodem dywersyjnej działalności ODISS-u. ■ W NRF wydano zarządzenie, na mocy którego przesiedleńcy z PRL mogą zniemczać swoje nazwiska, omijając dotychczasową skomplikowaną procedurę. ■ W dniu 31 grudnia 1976 roku rozgłoszono *Deutsche Welle* nadała ostatnią audycję w języku polskim. Personel sekcji polskiej został przejęty przez radiostację *Deutschlandfunk*, również z siedzibą w Kolonii. Program polski tej radiostacji, kierowany przez znanego naukowca i publicystę dr. Karla Hartmann'a (autor książki *Polen*), jest nadawany obecnie cztery razy dziennie; w sumie 150 minut. ■ W Hamburgu powstał *Obywatelski Komitet Wspomagający na rzecz akcji krajowego Komitetu Obrony Robotników*. Na czele OKW KOR stanął Maksymilian Pelc. W skład Komitetu wchodzi: W. Broniów-Orliński, Józef Kaczmarszyk, Edmund Hulz, Jerzy Szymula, Edmund Karasch i Stanisław Jasiński. ■ Władze NRF odmówiły wiz wjazdowych delegacjom Polski, ZSSR i Kuby na międzynarodową konferencję zajmującą się badaniem zbrodni Hitlerowskich rozszerzyła wiz delegacji z PRL miał być prof. Czesław Pilichowski. Widać z tego, że kierowana przez niego Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich rozszerzyła zasięg swojej działalności. ■ W 1975 roku w NRF przetłumaczono 30 pozycji z języka polskiego, w tym 14 pozycji to książki beletrystyczne. ■ Prof. Gotthold Rhode, wykładowca na Uniwersytecie w Moguncji historii Europy Wschodniej, w artykule ogłoszonym na łamach bońskiego pisma *Kulturpolitische Korrespondenz*, apeluje do władz niemieckich o zainteresowanie się losem i opieką nad polskimi pisarzami mieszkającymi w NRF. ■ Ośrodek Szkolenia Studentów w Moguncji, otwiera 31 sierpnia bież. roku roczny kurs języka polskiego. Weźmie w nim udział 36 studentów. Kurs ma charakter modelowy. Nauka języka, geografii i historii Polski, będzie także wprowadzona w innych ośrodkach uniwersyteckich NRF. Szereg Uniwersytetów Ludowych (*Volkshochschule*) wyraziło już gotowość prowadzenia podobnych kursów. ■ Od 1972 roku — 50 studentów z warszawskiej Wyższej Szkoły Rolniczej, odbyło praktyki w gospodarstwach rolnych w Szlezewiku-Holsztynie. Natomiast Uniwersytet w Kilonii, uskarża się na brak kandydatów na praktyki w polskich PGR-ach.

Andrzej J. CHILECKI

Z OSTATNIEJ CHWILI

16-2-77

Radio Warszawa I podało, że Prezes Rady Ministrów PRL zwrócił się na wniosek Ministra Spraw Zagranicznych do Rady Państwa PRL o ratyfikację Paktów Praw Człowieka. Chodzi o Międzynarodowy Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych oraz o Międzynarodowy Pakt Praw Cywilnych i Politycznych. Oba zostały przyjęte przez ONZ i otwarte do podpisu w Nowym Jorku jeszcze w dn. 16. 12. 1966 roku. Do ich wejścia w życie wymagana była ratyfikacja przez 35 państw, co trwało ponad 9 lat. Pierwszy z tych Paktów wszedł w życie w styczniu, drugi w marcu 1976 roku. Polska jest jedynym krajem komunistycznym, który je dopiero obecnie poddaje ratyfikacji. W przeciwieństwie do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela ONZ z dn. 10. 12. 1948 roku, posiadającej jedynie moralno-deklaratywne znaczenie i przyjętej w swoim czasie przez Polskę, oba Pakty stanowią normy prawa narodów, formalnie wiążące państwa, które je ratyfi-

kowały. Pakt Praw Cywilnych i Politycznych rozbudowuje gwarancje prawne w procesach. Świadkowie obrony winni być w tych samych okolicznościach przesłuchiwaani w obecności oskarżonego jak świadkowie oskarżenia, oskarżonym gwarantuje się rzetelny proces przed niezawisłym sądem, bicia, torturowanie, poniżające traktowanie więźniów i zmuszanie ich do przyznania się do winy są zabronione, w razie niesłusznego aresztowania lub skazania przysługuje pokrzywdzonemu prawo do odszkodowania.

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 267 — STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIEŃ KATYNIA

Wspomnienia oficera W.P. jeńca Kozielskiego.

Książka zawiera następujące rozdziały:

Nadciągająca burza. — Mobilizacja. — Od Piotrkowa pod Katyn. — Spod Katynia do Kujbyszewa. — Kujbyszew. — Droga do Teheranu. — Raport o zaginionych oficerach. — Katyn z perspektywy trzydziestolecia. — Dialektyka Katynia. — Czy Chruszczow chciał ogłosić prawdę o Katyniu? — Katyn a sojusz sowiecko-niemiecki. — Rosja a Polska.

Str. 360.

Cena F. 50,00.

TOM 268 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: R. Zambrowskiego — *Uwagi o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku*; Z. S. Siemaszki — *Brygada Świętokrzyska 1945-1946*; R. Buczka — *Udział Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we francuskim Ruchu Oporu*; W. Sukiennickiego — *O oddźwięk w sercu*; P. Wandycz — *MSZ w okresie międzywojennym. Odpowiedź na Ankietę*; B. Szczuckiego — *Trzydzieści lat w służbie nauki polskiej*; J. Lewandowskiego — *Dzieje sprzed dwudziestu lat oraz obszerny dział WSPOMNIENI, RECENZJE i POLEMIKI.*

Str. 240

Cena F. 25,00.

Listy do Redakcji

Kopenhaga 25 października 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Zamieszczony w Nrze 7/346-8/347 *Kultury* list Jadwigi Maurer zawiera szereg twierdzeń słusznych, choć dotychczas rygorystycznie negowanych przez większość, skądinąd znakomitych, historyków literatury. Redakcji *Kultury* należą się słowa uznania za opublikowanie w Nrze 4/343 eseju Czesława Miłosza „Romantyczność” (którego echem jest list J. Maurer), gdzie największy zapewne z żyjących poetów polskich przełamuje od wielu dziesięcioleci przestrzegane tabu, wspominając m.in. o żydowskim pochodzeniu A. Mickiewicza. Ale zarówno zastrzeżenie Miłosza — niemal równie znakomitego historyka literatury, jak poety — twierdzące, że *Encyklopedia Judaica* „może zbyt pochopnie przyjmuje żydowskie pochodzenie matki Mickiewicza za udowodnione”, jak i niektóre ze sformułowań J. Maurer, są dobitnym dowodem na okoliczność, jak mało są znane, nawet ludziom dobrze znającym historię Polski, sprawy poważnej części ich współziomków.

Chciałbym po krótko uzupełnić luki, względnie sprostować niektóre nieścisłości:

1) J. Maurer twierdzi, że niski status społeczny rodziców Barbary Mickiewiczowej wyklucza jakoby jej pochodzenie od frankistów. W rzeczywistości przekrój społeczny sekty frankistów był bardzo szeroki, należeli do niej w okresie jej powstania zamożni kupcy i służący, rabini i rzemieślnicy. Trudno określić jej liczebność; niektórzy autorzy oceniają ją na blisko 30 tysięcy głów. Zapewne przeszło połowa przyjęła chrzest. Tylko część tych ostatnich uzyskała nobilitację. Nawet na Litwie, gdzie obowiązywał przepis III Statutu lit. z 1583 r. przyznający neofitom szlachectwo, spotykamy się z wypadkami „nagany szlachectwa” (proces o zaprzeczenie przynależności do stanu szlacheckiego). Inni uzyskali wpis do ksiąg miejskich. Mieszczanami byli m.in. Wołowscy, potomkowie Eliszy Szora, karczmiarz rohatyński, który torował drogę Frankowi; nobilitację uzyskali dopiero w latach 20-tych i 30-tych XIX-go wieku.

2) Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu sekta frankistów istniała jeszcze przez wiele dziesięcioleci po śmierci jej założyciela. Henryk Wiercieński w swych „Pamiętnikach” przytacza opowiadanie swego stryja z czasu powstania listopadowego, o tym jak szukając nocą prezydenta m. Lublina Finkego, znaleźli go przy „sederze” (wieczera paschalna). Finke był frankistą i obchodził żydowskie święta. *Allgemeine Zeitung des Judentums* w korespondencji z Warszawy z lipca 1838 roku pisze o działającej w Królestwie sekcji frankistów, której członkowie zawierają małżeństwa niemal wyłącznie między sobą, a wielu z nich zajmuje wybitną pozycję w społeczeństwie.

3) Jakkolwiek nie można jak dotąd przedstawić dokumentów metrykalnych, stwierdzających żydowskie pochodzenie Adama Mickiewicza, to istnieje szereg dowodów pośrednich na tę okoliczność: a) relacja Ksawerego Korczaka Braniczkiego, który w liście dedykacyjnym do Stanisława Tarnowskiego („Brama Pokuty”, Paryż, 1879) pisze m.in.: „Adam Mickiewicz, z którym byłem w dużej zażyłości, często mawiał: mój ojciec Mazur, moja matka Majewska z przechrztów tak więc jestem na wpół Lechitą i na wpół Izraelitą i tym się szczycę”; b) relacja Karla Varnhagen von Ense o rozmowie z Karoliną Jaenisch-Pawłową, niegdyś narzeczoną Mickiewicza, która

mu opowiadała, że Mickiewicz był Żydem; c) wspomniana wyżej korespondencja z Warszawy w *Allgemeine Zeitung des Judentums* zawierająca m.in. następujący ustęp: „...największy poeta, jakiego Polska kiedykolwiek wydała, a być może największy poeta naszych czasów Mickiewicz, przynależny jako frankista do naszej nacji”. Twierdzenie to, choć niewątpliwie znane Mickiewiczowi (korespondencja była omawiana w *Młodej Polsce* wydawanej przez Eustachego Januszkiewicza), nigdy nie było zdementowane.

Ujawnione dotychczas dowody pozwalają stwierdzić co najmniej to, że Mickiewicz był przekonany o swym żydowskim pochodzeniu. Wydaje mi się to nie mniej istotne od jego genealogii, nie jest jednak wykluczone, że i tę uda się wkrótce otworzyć, na podstawie ocalałych materiałów dokumentalnych.

Łączę wyrazy wysokiego poważania,

Ignacy HENNER

Sutter Creek, Calif., 20 stycznia 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Na marginesie niezmiernie ważnych myśli p. H. Czajkowskiego w jego „Akcja propagandowa na własnym podwórku” (*Kultura* Nr 1/352-2/353, strona 224), pragnę wyrazić opinię, że wszystko to o czym p. Czajkowski pisze pozostaje, niestety, w sferze pobożnych życzeń.

Główną myślą p. Czajkowskiego jest: „Chodzi przede wszystkim o dotarcie do społeczeństw, do zwykłych obywateli, o ukształtowanie ich opinii”.

Chciałbym poinformować p. Czajkowskiego, że od przeszło 3 lat istnieje pismo działające całkowicie po tej linii. Jest nim *Fragments* — przekłady niektórych artykułów *Kultury* na angielski — funkcjonujące w niezmiernie trudnych warunkach finansowych, przy prawie że ZEROWYM zainteresowaniu polskiej emigracji, nie mówiąc już o poparciu przez jakąś polską organizację lub fundację.

Będę bardzo rad jeśli p. Czajkowski i inni czytelnicy *Kultury* podzielać jego poglądy zgłoszą swe prenumeraty i zakupią wydane uprzednio numery *Fragments* (a jest ich przeszło 30) w celu zapoznania się z wartością materiałów przekazywanych „tym zwykłym ludziom” w celu kształtowania ich opinii o sprawach Polski Niepodległej.

Łączę wyrazy szacunku,

Charles JOEL
Redaktor *Fragments*

Towarzystwo Przyjaciół Kultury
Oddział w Lund (Szwecja)

OSWIADCZENIE

Zbiórka na fundusz socjalny KOR prowadzona przez Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Lund przyniosła do dnia 20 stycznia br. 4.370 skr. Tylko w drugiej połowie grudnia i w pierwszej połowie stycznia, a więc po rozesłaniu ulotki do Polaków zamieszkałych w południowej Szwecji, wpłynęło 1.020 skr. Z tych terenów wpłynęło również nopad 1.000 skr. na podane w ulotce konta Osteuropeiska Solidaritetskommitten oraz TPK w Sztokholmie. Wszystkie pieniądze zostały już przekazane do Kraju. Dziękujemy w imieniu KOR. Zwracamy się z prośbą o dalsze wpłaty na potrzeby Komitetu Obrony Robotników.

A. KORASZEWSKI

(ciąg dalszy ze str. 2-giej)

WPŁATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

M. Sienko, South River, N.J. (USA), po raz drugi	F. 24,90
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz jedenasty	F. 99,60
Roman Szczurkowski, Paryż	F. 50,00
Dr Marian Turski, Belleville, Ont. (Kanada), po raz trzydziesty	F. 418,30
J. Uhmeyer, Portsmouth, Va. (USA), po raz piąty	F. 39,85
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 59,70
Jan Woźniak, Londyn, po raz trzeci	F. 85,00
Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA), po raz drugi ..	F. 175,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż, po raz szósty	F. 100,00
Wiktor Zahorski, Detroit, Mich. (USA), po raz piąty	F. 24,90
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz jedenasty	F. 358,55
Dr A. C. Zaleski, Forest Hills, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 9,80
Halina Zielińska, Rapperswill (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób Władysława Wolskiego	F. 100,00
Z. M., Sydney (Australia), po raz dziewiąty	F. 530,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz dziesiąty ..	F. 59,75
Bezimiennie z Genewy	F. 10,00
Bezimiennie z Halifaxu, N.S. (Kanada)	F. 242,00
Bezimiennie z Kraju (100 Fl. hol.)	F. 198,00
Bezimiennie z Monachium	F. 160,00
Bezimiennie z Ottawy (Kanada), po raz trzeci	F. 240,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada) — dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 143,88
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 50,00
Bezimiennie z San Rafael, Cal. (USA)	F. 30,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Stanisław Alexandrowicz, Lund (Szwecja)	F. 34,00
B. A., Stockholm	F. 57,50
Gabriela Bronicka, Rocky Hill, Conn. (USA)	F. 98,60
Tadeusz Bronicki, New Britain, Conn. (USA)	F. 49,80
Andrzej J. Chłodziński, Kolonia (NRF)	F. 100,00
Ireneusz Erdman, Malmö (Szwecja)	F. 115,00
Władysław Lewandowski, Malmö (Szwecja)	F. 34,00
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA)	F. 249,00
J. i M. Pański, Angered (Szwecja)	F. 57,50
Feliks Ponar, Angered (Szwecja)	F. 57,50
Dr A. Richter, Bahamas	F. 127,50
Stefania Romaniuk, Ramat Gan (Izrael)	F. 74,70
W. Stankiewicz, Göteborg (Szwecja)	F. 69,00
Two Przyjaciół Kultury w Lund (Szwecja). (Zebrali A. Korasze- wski)	F. 340,00
Lillian Vallee, New York	F. 22,40
Witold Wołowicz, Enskede (Szwecja)	F. 57,50
Zebrane przez pracowników firmy J. & K. Metal Specialties, Chicago, Ill. (USA)	F. 498,00
Norbert Zaba, Sztokholm	F. 57,50

Anonimowo z Allschwill (Szwajcaria)	F. 100,00
Anonimowo z Edynburga (Wielka Brytania)	F. 65,45
Anonimowo z Noisseville (Francja)	F. 50,00
Bezimienne z Round Lake, Ill. (USA)	F. 109,50

W miesiącach styczni i luty br. wpłynęła na Fundusz Kultury z przeznaczeniem na Komitet Obrony Robotników łączna suma F. 5.013,01. Zgodnie z zaleceniem KOR'u (Komunikat Nr 5 z dn. 21 grudnia 1976) aby darów nie przekazywać bezpośrednio do Komitetu, gdyż władze polskie pieniądze te konfiskują, powyższą sumę przekazujemy na podane przez KOR konto bankowe: IRVING TRUST COMPANY, 36-38 CORNHILL, LONDON, E.C.1. (Wielka Brytania) ACCOUNT No 80-1829. (*Appeal for Polish Workers*) Zwracamy uwagę licznych, spontanicznie powstających Komitetów Pomocy na to zalecenie KOR'u.

REDAKCJA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1977.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczną	roczną
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczet, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lymen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 215-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliasingen, Tel. (01184) 14073. Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5019 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2839; B. Kraskowski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Vary rev. Donald Mallinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziekanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 888-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 68 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 140; półroczna — F. 75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 270 — WACŁAW SOLSKI

MOJE WSPOMNIENIA

Niezmiernie żywo napisane, wspomnienia Wacława Solskiego są jednocześnie ważnym dokumentem historycznym. Ich autor brał czynny udział w rewolucji rosyjskiej stykając się blisko i współpracując z Leninem; następnie odgrywał wybitną rolę w międzynarodowym ruchu komunistycznym, od którego odszedł w końcu lat dwudziestych.

„Wspomnienia” są 14-tą książką Wacława Solskiego w języku polskim. Jego poprzednia książka „Władza” została uznana za najlepszą książkę polską wydaną poza krajem w 1976 roku. Wacław Soski jest *fellow* Guggenheim Foundation w New Yorku.

Str. 388.

Cena F. 55,00.

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚC NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.

TOM 272 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in. prace Wł. Gomułki: *Polemika z „Archiwum Ruchu Robotniczego”*; R. Dębickiego: *Węgry a wojna polsko-rosyjska w 1920 roku*; J. Rakowskiego: *Diariusz wrześniowego dramatu*; W Krzyżanowskiego: *Lata bukareszteńskie*; ks. Fr. Cegiełki: *A. G. Roncalli w Paryżu* oraz obszerny dział recenzji.

Str. 240.

Cena F. 30,00.

TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej adwokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.

Cena 13 F